

Łódź **Odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 31 (1582)

ROK XXXI

30 LIPCA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

- **Miss Polonia '88** — str. 12
- **Erotyzm a seksualizm** — str. 7
- **Człowiek, który nie pasował do schematów** — str. 6
- **Raport w sprawie Cyganów** — str. 10
- **Dlaczego Michail Tuchaczewski przegrał pod Warszawą** — str. 1 i 4

Miasto odwróciło się od Śródmieścia, obrosło na obrzeżach nowymi osiedlami, które same wielkością przypominają miasta. Zaczęliśmy więc powoli tracić wszystkie wartości, jakie przez lata nagromadziły się w Śródmieściu: gospodarcze, kulturalne, społeczne. Jak je teraz odzyskać?

Czy nastąpi powrót do Śródmieścia

Degradacja śródmieścia Łodzi postępuje powoli, ale nieustannie i nieuchronnie. Czy można ją zatrzymać? Ale jak? Co może zadecydować, że śródmieście Łodzi odzyska swoją wartość i znaczenie? Co może temu sprzyjać, a co przeszkadza? Oto niektóre tylko problemy, nad którymi toczyła się dyskusja w redakcji „Odgłosów”. W dyskusji tej udział wzięli:

— **KAZIMIERZ BALD** — urbanista, generalny projektant planu Łodzi w roku 1970 i 1975,

— **ANDRZEJ GAWŁOWSKI** — poseł, przewodniczący Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego w Łodzi,

— **ZDZISŁAW LIPSKI** — architekt, prezes Towarzystwa Urbanistów Polskich Oddział w Łodzi,

— **MIROSLAW WIŚNIEWSKI** — architekt, główny projektant planu rozwoju śródmieścia z 1974 roku,

— **MARIAN ZDROJEWSKI** — publicysta, radny RNML, działacz spółdzielczości mieszkaniowej w śródmieściu.

— Czy urbanisci mają wizję, jak powinno wyglądać w przyszłości śródmieście Łodzi?

ZDZISŁAW LIPSKI: — Ja się straszliwie boję słowa „wizja”. Wizja to jest coś takiego, co może łatwo zmienić się w fatamorganę. Trzeba trzymać się ziemi i spojrzeć na Śródmieście nie poprzez wizję (tyle już ich było, tyle było programów — i co?), lecz od strony problemu, jakim stopniowo stawało się Śródmieście. Mamy więc obszar stosunkowo duży, o olbrzymich wartościach materialnych. Mamy też układ urbanistyczny oraz budynki, które są niezaprzeczalną wartością kulturową. Wszystko to jest niezwykle cenne. Tymczasem miasto, obrastając w nowe dzielnice

na swoich obrzeżach, przestało się interesować tym, co jest w środku. Przyjęto jakby fakt, że centrum Łodzi jest wieczne. I oto, przez 40 lat, do wojny doszło obecnie do stanu katastrofy. To, o czym chcemy dziś mówić, trzeba nazwać alarmem dla Śródmieścia.

— Czy pan aby nie przesadza?

Z. LIPSKI: — Nie! Dyskutowaliśmy na ten temat w Towarzystwie Urbanistów Polskich i doszliśmy do wniosku, iż problem jest na tyle poważny, że trzeba za wszelką cenę znaleźć sojuszników, abyśmy wspólnie mogli go rozwiązywać. Wandalizm niegdyś zdobył Rzym, burząc w nim kilka budynków, zaś słowo „wandalizm” zapadło w świadomości następnych pokoleń. Jak będziemy oceniali my, jeśli doprowadzimy do tego, że olbrzymie zasoby kulturowe Śródmieścia znikną? A przecież znikają... Degradacja następuje w wielu płaszczyznach: począwszy od tego, że nikt nie sprząta, poprzez to, że budynki się wala, starzeje się i psuje infrastruktura techniczna, rośnie pauperyzacja mieszkańców... Od tej właśnie strony musimy spojrzeć na Śródmieście. Wznieśliśmy, możemy je mieć w każdej chwili.

MARIAN ZDROJEWSKI: — A jednak pewne wizje, koncepcje są ważne, skoro widzimy ich cząstkowe, ulonne rezultaty, w postaci nie dokończonych fragmentów nowej zabudowy w Śródmieściu, że powołam się na przykład Manhattanu. Rzecz w tym, iż żadna z tych koncepcji, powstałych w latach 70., nie została konsekwentnie i do końca wprowadzona w życie.

MIROSLAW WIŚNIEWSKI: — Bo też i miasto nie jest tworem, który łatwo poddaje się wizjom architektów czy urbanistów. Wpływając — wedle naszych możliwości — na kształt miasta, dotykamy wyłącznie jego widzialnej, zmateralizowanej części. Reszta — są to struktury niewidzialne — pole działania sił gospodarczych i społecz-

Wojna polsko-radziecka w 1920 roku.

Dlaczego Michail Tuchaczewski przegrał pod Warszawą

GIEORGIJ ISSERSON

Wojna z białymi Polakami zajmuje zupełnie szczególne miejsce w historii wojny domowej. Na polskim froncie Armia Czerwona walczyła już nie przeciw wewnętrznej kontrrewolucji, lecz zadła cios obcym interwentom.

Michail Tuchaczewski był godzien tego, żeby stanąć na czele czerwonych armii, prowadzących uderzenie na Warszawę, na północ od Polesia. Atak na Warszawę miał ogromne znaczenie polityczne i mógł odmienić całą sytuację międzynarodową.

„Podejście naszej armii pod Warszawę — mówił W.I. Lenin na IX Wszechrosyjskiej Kon-

ferencji Partyjnej — udowodniła bezspornie, że gdzieś blisko ni leży centrum całego systemu światowego imperializmu, opierającego się na Traktacie Wersalskim”.

Dowodząc w 1920 roku armiami Frontu Zachodniego, Michail Tuchaczewski osiągnął szczytów swojej sztuki strategicznej. Jego plan ofensywy Frontu Zachodniego ze względu na wielkość swej skali i wspieranie koncepcji głębokiego manewru oskrzydlenia prawą flankę z okrażeniem Warszawy z północy i zachodu może być postawiony obok najwybitniejszych wzorców sztuki wojennej.

Co głównie charakteryzuje plan Michaila Tuchaczewskiego, to rozmach koncepcji i zdecydowane postawienie celu.

Pod względem wykonania plan ten nie był bez zarzutu: głęboki zamach prawym skrzydłem wokół Warszawy przy słabym zabezpieczeniu lewej flanki krył w sobie niebezpieczeństwo. Manewr oskrzydlenia prawą flankę nie był zabezpieczony pewnym ułożeniem osi zachodzenia i w tym tkwi-

ła pięta achillesowa planu Michaila Tuchaczewskiego.

O kampanii 1920 roku zachowała się tylko jego niewielka praca „Wyprawa za Wisłę”, będąca cyklem jego wykładów, wygłoszonych w Akademii Wojskowej w lutym 1923 roku. W tej pracy Michail Tuchaczewski wyjaśnia plan operacji Frontu Zachodniego i motywy, jakimi się kierował, stawiając sobie za cel wyjście prawym skrzydłem uderzeniowym za Wisłę.

Oczywiście wielu rzeczy w tej pracy nie dopowiada i powieść w niej nie może o tym, co doprowadziło do klęski operacji warszawskiej w 1920 r. Przecież do rubieży rzek Narew i Bug natarcie rozwijało się z ogromnym sukcesem i przeciwnik, rozbity w szeregu walk, wycofywał się bezładnie, nie będąc w stanie zatrzymać się i stawić opór.

Autor tych słów, uczestnik natarcia na Wisłę, pamięta, jak w marszu do rubieży rzek Niemna i Narew nasze wojska, natchnione hasłem „Weźmiemy Warszawę!”, przechodziły po 30 kilometrów dziennie, rażąc i pę-



Foto: Konrad Turowski
Rys.: Rafał Ciesielski



Warszawa, sierpień 1920

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożewski,
Andrzej Gębarowski.

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy
Kwiciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz
Szymanski-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Białecki,
Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadowski,

Grzegorz Gązda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wacław

Kocznów (Iwanów),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasiuk, Karol J.

Strusiński, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa — Książka
— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrócenia za-
treść ogłoszeń redakcja nie od-
powiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach woje-
wódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa —
Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach
— Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płatnia prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli

2. Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa — Książka — Ruch” o-
płatnia prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli

3. Dla indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
ne w miastach — siedzibach Odd-
ziałów RSW „Prasa — Książ-
ka — Ruch” oplatnia prenume-
ratę wyłącznie w urzędach pocztowych

4. Nadawca odpowiada za treść
własnych dla miłośnika zamieszka-
nia prenumeratora Wpłat do-
konuje się używając blankietu
„Wpłaty” na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa — Książka — Ruch”

5. Prenumeratę za zleceniem wysyła-
jącego do granicy przysyłają RSW
„Prasa — Książka — Ruch”
Centrala Kolportażu Prasowego
ul. Twardowska 23
00-958 Warszawa konto PKO BP
XV Oddział w Warszawie nr
1658 201045 139 11 Prenumerata

za zleceniem wysyła się do granicy
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc
dla zleceniodawców indywidualnych
i o 100 proc. dla zleceniodaw-
ców instytucji i zakładów pracy

Terminy przyjmowania prenume-
raty na kraj i do granicy —
od dnia 10 listopada na 1 kwartał
i półrocze rok następny —
do dnia 1 października dla zleca-
jących w okresie prenume-
raty roku bieżącego

Zam. 2266, 5-10

Przegląd prasy

Na podstawie drugiej części
anegdot literackich opublikowa-
nych w miesięczniku „POE-
ZJA” (nr 5) można sądzić, że
niektórzy znani pisarze i poeci —
jak to się mówi — za ko-
nier nie wylewają. Wiele za-
bawnych historyjek związa-
nych jest z pićm alkoholem.

W czasie Festiwalu Poezji w
Dzierżoniowie zrobiono składkę.
Do sklepu monopolowego udali
się Marek Wawrzkiwicz i Ed-
ward Stachura. Kiedy doszli do
lady, autor „Siekierzady” po-
wiedział: „Niech będzie po-
chwalony Jezus Chrystus, po-
proszę trzy litry gorzalki!”

Marek Wawrzkiwicz i Jerzy
Górzański byli jurorami w kon-
kursie poetyckim w Świdwinie.
Mieszkali w dwuosobowym po-
koju. Po upojnym wieczorze,
kładąc się spać, Górzański
przykrył się kołdrą nie wzdłuż,
lecz w poprzek. Na zwróconą
uwagę, odpowiedział w sposób
niegrzeczny i wulgarny.

„Rankiem zobaczyłem po-
tworka zmarnotrawionego uparci-
cha — ambicja nie pozwoliła
mu w nocy przykryć się ina-
czej. Postanowiłem puścić w
niepamięć zniewagę i nie udo-
wadniać, że na moje wyszło.
Zaczęłam nim potrzasać, jako
że zbliżała się pora śniadania-
wa. Wywiał się następujący
dialog.

— Górzański: — Oj, nie
budź mnie, taki piękny miałem
sen...

Ja: — A co ci się śniło?

— Górzański: — Śnił mi się
trzydziesty Jerzy.

Pół godziny później jedliśmy
śniadanie. I jeszcze raz się po-
twierdziło przysłowie: sen —
mara, Bóg — włara...”

Sławomir Kryśka pamięta, że
kiedyś podczas biesiadnego
spotkania Zbigniew Jerzyński za-
rzucał kurtkę i wybiegł po
wódkę. A wrócił przerażony i
bez alkoholu. Co się stało?

„Krzyczył: — Koledzy,
dzisiaj objawił mi się znak zwi-
astujący jak nisko upadniemy!
Istnie wspólczesne Mane, Tekel,
Fares...”

Ołóż zbieg okoliczności chciał,
że i Jerzyński, i obecny na spo-
taniu Jan Himilsbach mieli
identyczne kurtki. Z tym, że w
kieszeni, w której Zbyszek
zwykle nosił pieniądze, Himils-
bach przechowywał zawiniętą
w papier szklaną szklankę dla-
czegoś akurat mu zaważającego.
Zbyszek oczywiście pomy-
lił kurtki.

— Wchodzi do monopolowe-
go, bierze półwódkę — relacjo-
wał poeta — slegam do kie-
szeni i nie patrząc na znajdu-
jący się tam papier, kładę
przed ekspedientką... W tym
momencie pojąłem, co poel-
mam na myśl pisać: styliza-
cja cisze. Rozkoszne przeżycie.
Dopiero kiedy spojrzałem na
ładę i zobaczyłem leżący tam
zamiast banknotu papier ze
sztuczną szklanką Himilska...

— Górzański nie przynosił, a
czy chociaż zabrał szklankę?
zapytał z niepokojem Himils-
bach.

Jan Himilsbach wspomina o
początkach swej kariery pi-
sarskiej. Przy wódkę poznawał
różnych twórców. W połowie
lat pięćdziesiątych siedział w
„Harendzie” na Krakowskim
Przedmieściu. Z Andrzejem
Brychtem i Romanem Sliw-
kiem dyskutowali o malar-
stwie. Atmosfera była nerwo-
wa...

„Wymianę zdań przerwała
nam niestety milicja, i to w
niezbyt grzeczny sposób. An-
drzej i Roman gdzieś zniknęli.
Ja zniknąć nie mogłem, bo
wiedziałem, że w punkcie rozmowy
nie miałem już na sobie ani
marnyarki, ani koszuła, a prze-
cież to obraza obywateli, że
walczyłem się półgłowy w biały
dzień po śródmieściu. MO też
tak uważało, więc abym nie
grzył przechodniów, zosta-
łem odeprowadzony na komisa-
riacie na Woli. Rankiem
słysze, jak po celach chodzi
profos i w każdej pyta: — Jest
tu van Gogh? — van Gogh
niestety się nie zgłosił, więc
zamiast niego mnie zaprowa-
dzono do dyżurnego. Na kartce
przed nim widzę trzy nazwis-
ka: van Gogh, Zbigniew Kup-
czyński, to był bardzo ciekawy
malarz, i moje. Zaczyna się na-
plawia pytać, czy to nazwiska
kumpli z „Harendy”, a głównie
mecz o tego van Gogha, więc
mówię spokojnie, że on się za-
strzelił, stąd mogą go sobie
darować. A milicjanci zaraz: —

skąd miał broń? — Odpowia-
dam: — Słowo honoru, nie
wiem... — Wtedy przyszedł ja-
kiś officer, coś tam pozeptali
i zgodnie stwierdzili, że war-
cia i żeby mnie wyrzucić, bo
tylko kłopotów narobi. Aha!
Wychodząc uprzytomniłem so-
bie, co było przyczyną mego
sporu z Brychtem — ani chybi
dywagowaliśmy na temat ma-
larstwa, jak zazwyczaj przyszl
artyści. Pewnie kiedy milicja
przerwała nam rozmowę, przy-
znaje — nieco zaletrzewioną,
w pierwszym momencie nie
zwróciłem uwagi, że dawnych
partnerów już nie ma. I pró-
bowałem kontynuować rozmowę
z przybyszami, powtarzając
bez przerwy dwa wspomniane
nazwiska”.

Andrzej Brycht podobno jest
spokrewniony z Marianne Pie-
chalem i dlatego nazywa go
wujkiem. W początkach lat
sześćdziesiątych młody pisarz
szokował drastycznym słowni-
ctwem. Marek Wawrzkiwicz
pamięta charakterystyczne za-
ręczenie w łódzkim Klubie Dzien-
nikarzy.

„Wszedł Brycht, zbliżył się i
stentorowym głosem zadał kur-
tuzyjne pytanie:

— K... jak leci, wuju?

Marian Piechal nieco póź-
wieniał i z dystynkacją odparł:

— Po ch...!

Był to jeden z niewielu przy-
padków, kiedy Andrzej Brycht
nie znalazł właściwej odpowie-
dzi”.

Na temat Andrzeja Brychta
pisze się ostatnio coraz więcej.
Pisarz przebywa od kilku mie-
sięcy w kraju. Drukujemy je-
go najnowszą powieść pt. „Azył
polityczny”. W miesięczniku
„KONTRASTY” (nr 7) rozma-
wia z nim Michał Bołtryk,
który wcześniej (nr 1 z 1987 r.)
opublikował reportaż pt. „Szu-
kam Andrzeja Brychta”.

Andrzej Brycht mówi, że nie
lubi tenisa, żeglarskiego, nart i
turystyki, nie znosi koni, nie
interesuje się polityką. W pisa-
niu uważa się za średnio dys-
tansowca. Zamierza napisać
trzytomową powieść o swoim
życiu.

„Mam dużo materiału, jak
pan się może domyślić, wojna,
okupacja, powstanie warszaw-
skie, dojrzewanie w staliniz-
mie, więzienie, wojskowy kor-
pus górniczy, praca w redak-
cjach, robenie tak zwanej ka-
riery, podróże, cztery małżeń-
stwa, wyjazd z kraju, przemysł
narkotyków, wrastanie w nowy
kraj, parę lat życia z Murzyn-
ką, małżeństwo z Japonką,
przygody na wszystkich konty-
nentach, wreszcie znów Polska.
(...) Wie pan, jak wszedłem po-
raz pierwszy do Związku Li-
teratów kilka miesięcy temu i
popatrzyłem na moich dawnych
kolegów, wydawało mi się, że
moje życie, to był tylko
sen”.

W artykule na łamach
„KULTURY” (nr 29) Andrzej
Brycht pisze o przemysle pi-
sarskim w Polsce. Krytykuje
system sprzedaży książek i za-
sady wypłacania honorariów.

W tym samym tygodniku Ur-
szula Bielewska pyta popularne-
go aktora, Jerzego Trelę, człon-
ka PZPR, czy wie o tym, że
na wybitnych artystów należą-
cych do partii spogląda się
dziś bardzo podejrzliwie. Oto
odpowiada:

„Wiem. Co ja na to...? Dla-
tego właśnie będę partyjny da-
le. Nie można dzielić ludzi na
czerwonych, zielonych i żół-
tych. Są to podziały, które lu-
dzie sami sobie wymyślili, w
które się włożyli, wbiili. Nie.
Myślę, że powinni funkcjonować
jedynie dwa pojęcia w
stosunku do ludzi: Dobro i Zło.
Według tych kryteriów powin-
no się oceniać człowieka, w
tych kategoriach powinno się
z nimi rozmawiać, a nie z po-
jęci stronić, czy ugrupo-
wania, czy ugrupowania. W
każdym razie — nie
w kręgach sztuki. To, że je-
stem partyjny, jest moją pry-
watną sprawą. (...) Uważam, że
nie muszę się tłumaczyć —
dlaczego należę do PZPR. Albo
ktoś mnie akceptuje albo nie.
A muszę panią jeszcze pocie-
szyć, że jak byłem młody, na-
leżałem do harcerstwa, pozna-
łem wtedy wielu ludzi. Jeden z
nich jest obecnie przedstawicie-
lem podziemia. Spotka-
liśmy się przypadkowo
przed świętami, był na lekkim
rauszu. Klepnął mnie przyjaźnie
po ramieniu i powiedział: „Nie
się nie martw. U nas wyroku
nie masz”. Może będę miał. Z
tymi wyrokami różnie bywa.
Na przykład mogę dostać wy-
rok od własnej partii. Tak się
też zdarzało. (...) A skoro już
tak weszliśmy w ten temat, to
powiem pani, iż zdaje sobie
sprawę z tego, iż partia jest w
pewnym sensie skompromito-
wana. Nie, nie mówię — nie
partia, lecz ludzie, którzy tę
partię tworzą. I dlatego w tej
chwili należy znaleźć sposób

na to — nie chcę powtarzać
słów już wypowiedzianych — że
«partia musi odzyskać wiary-
godność». Wiarygodność par-
tia odzyska wówczas, kiedy pa-
wróci do formy swoich idea-
łów. Jeżeli przestanie być par-
tią tylko i wyłącznie aparatu.
Proces ten musi nastąpić i to
szybko. Ale wyłącznie poprzez
ludzi, a nie poprzez hasła”.

KRZYCZA LICZBY

W poprzednim numerze
„PRZEGŁADU TYGODNIOWE-
GO” (nr 29) Piotr Aleksandro-
wicz omawia najnowszą publi-
kację Głównego Urzędu Staty-
stycznego pt. „Mówią liczby”,
która wkrótce będzie w księ-
garniach. Wydawnictwo to
ukazuje sytuację Polski w la-
tach 1960—1985/86 na tle pięciu
krajów socjalistycznych i czie-
recen kapitalistycznych w Euro-
pie. Podane w nim liczby nie
inowia — zdaniem autora —
lecz krzyczą. Pobieżna lektura
egzepliarza korektorskiego na-
suwa m. in. następujące reflek-
sje:

„Spotkać można jeszcze gdzie-
niegdzie prony pozytywnie ocę-
ny czy to lat 60, czy pierwszej
połowy lat 70. Tymczasem
warto patrzeć z odległej
perspektywy. Widac wówczas
wyraznie, że w całym 20-leciu
nasz rozwój odbywał się wol-
niej niż w innych państwach,
także zachodnich. Ponieważ
punkt startu był niski, nawet
pooporne tempo rozwoju ozna-
czają powiększanie się dyspa-
nsu w stosunku do państw kapi-
listycznych. W bloku socja-
listycznym nie dogoniliśmy na-
jlepszych, przeganią nas siab-
si. Strach pomyśleć, jak wyglą-
dałyby tabele uzupełnione o
Japonię, Tajwan czy Koreę
Południową.”

To ogólne wrażenie pozosta-
wania w tyle znajduje liczne
przykłady i wytłumaczenia w
publikacji. Oto pada młt o wy-
sokim poziomie: wykształcenia
polskiego społeczeństwa — co
drugi robotnik w Polsce ma za-
ledwie wykształcenie podstawo-
we, a jedna trzecia musiała się
zadowolnić zasadniczym zawodo-
wym. Oto na stanowiskach nie-
robotniczych zaledwie co czwar-
ty zatrudniony ma wykształce-
nie wyższe. (...)

Jeszcze inna miara cywiliza-
cyjnego zapóźnienia — liczba
zatrudnionych w tak zwanych
sektorze prymarnym (rolnictwo,
leśnictwo, przemysł wydobyw-
czy). W Polsce — niemal jedna
trzecia pracowników. W świecie
wschodnim i zachodnim — od
25 do zaledwie 1 procent. Nie
dziwne, że z kolei w uslu-
gach — transporcie, handlu i
łączności pracuje tylko co siód-
my Polak i zajmujemy ostatnie
miejsze wśród wybranych do
porównania państw.

Są w tej pouczającej ksią-
żeczce dane budzące grozę. Oto,
znovu dla przykładu, produk-
tywność środków trwałych w
budownictwie i przemysle wę-
glowym zmalała od 1960 roku
pięciokrotnie, w rolnictwie
dwukrotnie, a w całym prze-
mysle wynosi zaledwie 70 proc
cent produktywności z wyda-
waloby się niecywilizowanych
początków lat 60. Oznacza to,
że przez cały ten okres inwe-
stowaliśmy coraz więcej, by
coraz mniej z tego mieć”.

DOSWIADCZENIA WĘGERSKIE

Na Węgrzech żyje obecnie
około 10 tysięcy Polaków lub
Węgrów pochodzenia polskiego.
Ukazuje się tam w języku pol-
skim „NASZA GAZETA” (nr 4)
— wydawnictwo Komitetu
PZPR w Węgierskiej Republice
Ludowej. O gospodarce węgier-
skiej ciekawie opowiada radca
ekonomiczny ambasady PRL w
Budapeszcie Stanisław Nie-
czkarz.

Z rozmowy, którą przeprowa-
dził Konstanty Migdał, dowia-
dujemy się, że Węgry poprawia-
ją równowagę rynkową i
dynamikę eksportową poprzez
obniżenie dochodów pienię-
żnych ludności. Przedsiębiorstwa
obowiązują 2,5 proc. próg pla-
cowy. Przekroczenie tej granicy
wymaga zapłacenia podatku
w wysokości aż 1000 procent.
Tylko niektóre przedsiębior-
stwa nie placą tak horrendal-
nych podatków, ale muszą speł-
nić sześć niezwykle trudnych
warunków (m. in. trzeba osią-
gać minimum 13 proc. rentow-
ności bez żadnej pomocy finan-
sowej z zewnątrz). Na razie
udaje się to około 280 zakła-
dom małym i średnim, a nie
gigantom.

E. L.

PYTAMY:

Jaki był miniony tydzień?

KRZYSZTOF ŻEBROWSKI, dyrektor „Fotoop-
tyki”:

— Miniony tydzień był jednym z ostatnich, kończących blis-
ko 8-miesięczny remont pomieszczeń przy ul. Próchnika 1, gdzie
otworzymy już wkrótce nasz duży, elegancki, nowoczesny wy-
posażony salon oftalmiczny. W najbliższych dniach specjaliści
niemieccy z „Zeissa” zakończą montaż maszyn i urządzeń. Bar-
dzo ham też pomogli ludzie z „Budremu”, od dyrektora Jerzego Ko-
ja, którzy wykonali na czas stolarkę aluminiową, zachowując przy
tym stare, secesyjne formy architektury. Dopytywano się nas,
czy zdążymy otworzyć salon na 22 lipca. Ja myślę, że po miesia-
cach bardzo trudnego do przeprowadzenia remontu, nie ma zna-
czenia tydzień w tę czy w tamtą stronę — ważne jest, aby od-
było się bez „niedoróbek”. Nie chcę zdradzać szczegółów, ale
zapowiadam, że wygląd wnętrza może wywołać u pierwszych
klientów pewien szok. Nawet Niemcy przyznali, że nie widzieli
dotąd tak eleganckiego salonu „Zeissa”. Tyle, jeśli chodzi o
moją branżę. Ze smutnych wydarzeń wspominam to najsmut-
niejsze, które przeżyłem bardzo boleśnie: śmierć — niespodzie-
waną — mojego przyjaciela, Janka Matczaka.

GRZEGORZ GAZDA, prodziekan Wydz. Filolo-
gicznego UL:

— W ubiegłym tygodniu pojawiła się wreszcie nadzieja na za-
kończenie wojny pomiędzy Iranem i Irakiem. Mamy na kulturo-
znawstwie studentów arabskich; ich opinie i reakcje przybliżyły
mi ten konflikt, będący największą otwartą raną współczesnego
świata. Przechodząc do spraw krajowych: co roku z zainteresowa-
niem oczekuję, kim będą laureaci nagród państwowych w dzie-
linie kultury. Wybór nazwisk świadczy o „opłycie” władzy w
obec najważniejszych zjawisk w sferze twórczości artystycznej i
literackiej. Z satysfakcją przyjąłem więc nagrodę dla Andrzeja
Kusniwicka, którego powieści wysoce sobie cenię. Był to dla
mnie, poza tym, tydzień pod znakiem lektur. Za najciekawszą
uważam dzienniki Marii Dąbrowskiej. W przeszłości nazywa-
niskie z przekasem i ironią „autorytetem moralnym narodu”.
Z lektury jej dzienników wynoszę przekonanie, iż rzeczywiście
takim autorytetem była. Szkoda, że nie znalazła godnych się-
bie następców wśród pisarzy. Nie mogę też nie wspomnieć o
tym, co mnie ostatnio fascynuje: mam na myśli publicystykę ra-
dziecką (m.in. niezwykle ciekawe artykuły w „Ogonioku”) oraz
proces przywracania literaturze radzieckiej wielkich nazwisk
poetów i pisarzy rosyjskich XX wieku — Cwietajewej, Achma-
towej, Pasternaka, Zoszczenki... Co się tyczy Solżenicyna, to —
jak przeczytałem — miesięcznik „Nowy Mir” wydrukuje po-
wieści „Oddział chorych na raka” i „Pierwszy krag”. Zapozna-
łem się z nimi w czasie pobytu we Francji. Moim zdaniem,
mieszczą się te powieści w nurcie najwybitniejszej epiki rosyj-
skiej, od Puszkina poczynając, na Rybakowie kończąc; zaś ich —
nazwijmy to — „horyzont odwagi”, nie sięga teraz dalej, niż
niektóre publikowane współcześnie w ZSRR książki. Trzeba jed-
nak pamiętać, że Solżenicyn pisał je o wiele wcześniej, w zu-
pełnie innych warunkach! Nie wspomina się jeszcze o możliwości
druku innych utworów tego pisarza: o powieści „Sierpień, 14-go
roku”, zaplanowanej jako początek eposu, a także o trzytom-
owym „Archiwelu Gulag”. Ten ostatni utwór przeniknięty jest
dolegliwie tonem ironii, gorzkiego szyderstwa, zapamiętały anar-
chii — ale formy literackie są chyba podobne.

WOJCIECH MARZYŃSKI, szef prywatnego biu-
ra podróży:

— Miałem dość przykry wypadek: musiałem w ostatniej chwi-
li, dosłownie na kilka dni przed wyjazdem, przekwaterować
dzieci, przykujące się na kolonie. Miał wyjechać do Hawy, gdzie
przełaził na duży (160-miejscowy) dom wypoczynkowy. Cześć
pokoiów zajęli kolonijści z Belchatowa, reszta miała być dla nas.
Okazało się jednak, że dzieci z prywatnego biura nie „zmie-
ściły się w puli”, chociaż dom stoi teraz nie w pełni wykorzystany.
Nikt nas o tym wcześniej nie powiadomił: dobrze, że sta-
ramy się skontrolować miejsce pobytu na 2-3 dni przed rozpo-
częciem turnusu. Gdyby nie to, byłoby naprawdę źle. W Hawie
powiedziano nam: trzeba było przyjechać, gdy zbierała się ko-
misja kwalifikacyjna. A przecież nie możemy być zawsze i wszę-
dzie tam, gdzie załatwiamy wypoczynek — przy takiej skali jest
to już niemożliwe. Musimy więc — chcąc nie chcąc — polegać
na pracy urzędów. Te zaś pierzga wciąż trudności. Odnoszę wra-
żenie, że czują się teraz zagrożone — chcą za wszelką cenę u-
dowodnić swoją przydatność. Inna zła wiadomość: dostaliśmy te-
lefon od naczelnika Krynicy, że nie będą już z nami współpra-
cować, bo kwatery, brak wody, itp... Naczelnik nie jest jednak
wrogiem prywatnych biur podróży, bo — jak wiem woda i kwa-
ter starczyła dla innego biura, z innego regionu, które wpłaciło
w ub. roku do kasy urzędu 400 tys. zł. Ja tak nie zrobię, bo to
nie mieści się w jakimkolwiek prawie.

Pytał: ANDRZEJ GĘBAROWSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Jak to było z „Cudem nad Wisłą”? Zdaniem ZENONA J.
MICHAŁSKIEGO — nie było cudu. Starły się na przedpolach
Warszawy dwie armie, z których każda miała swoje moralne
racje...

— Poland, Poland...? — zastanawiała się dziewczyna z Nowej
Zelandii. — A gdzie to jest? Inaczej zareagował chłopak z Izra-
ela. Zapytał, czy znamy Łódź, bo on wiele o niej słyszał od o-
jca, który tam się urodził — reportaż ZOFII KĘDZIORY z pod-
róży w Himalaje.

— BOHDAN GADOMSKI dotarł do Państwowego Szpitala
Klinicznego w Bydgoszczy i przeprowadził rozmowę z KRZYSZ-
TOFEM KRAWCZYKIEM. Popularny piosenkarz wraz z żoną
Ewą i synem Krzysztofem uległ bardzo poważnemu wypadkowi
na trasie Kolobrzeg — Warszawa. Jego samochód uderzył w
drzewo.

— Turan zajmował ziemie od Syr-Darii do Jeziora Aralskiego
i Morza Kaspijskiego, posiadając dużo złota i wielkie stada bydła.
Nad jeziorem Issyk-kul „należono niedawno, podczas wykopalisk
archeologicznych, dzieło sztuki jubilerskiej, unikat w skali świat-
tovej — korespondencja WASYLA KOCZNOWA pt. „Wszyscy
Jestemy Azjatami”.

— Jest godzina 4.00. Na mokry peron stacji w Olsztynku wy-
stępuje się kilkudziesięciu harcerzy. Mimo zimna wszyscy ubrani
w krótkie spodnie. Plecak ukryte pod pelerynami sprawiają
wrażenie, jakby to była wycieczka wielbłądów — reportaż MAR-
KA JUŚKIEWICZA z wyprawy na Pola Grunwaldzkie.

— Przebudzenie nie należy do najmielszych. Ktoś mi wali
pięścią w dach, wrzeszcząc w znanym mi ze szkoły języku, bym
odjeżdżał. Dopiero piała rano, naszych już prawie nie ma —
korespondencja DARIUSZA DOROŻYŃSKIEGO z drogi nad Mo-
rze Czarne.

— Po przyjeździe z Nairobi do Dar-Es-Salaam, wynajmuje
pokój w najtańszym hotelu. W samoobsługowej restauracji na
widozłym miejscu wisi duży plakat. Trudno wyrazić sobie bar-
dziej zrozumiałą i zwięzłą informację o chorobie AIDS — z le-
karskami w Afryce rozmawia LUDWIK GEBEL.

Na odwrót nie ma już miejsca

Zastanawiałem się wiele nad tym, dlaczego do tej pory nie wydano słynnej książki Melchiora Wańkowicza „Sztafeta”. Poszedłem wręcz do biblioteki, wziąłem tę książkę i zacząłem ją przegrywać. Nosi ona podtytuł: „Książka o pochodzie gospodarczym”. Jej prototypem była „Bura COP” — plan reparycyjnej wyprawy do Centralnego Okręgu Przemysłowego.

„Trzy wydania mojej książki pt. „COP” — pisał Melchior Wańkowicz we wstępie do „Sztafety” — które przeszły się w ciągu kilku miesięcy, wskazywały jak sprężyna, która czytelnikowi wiadomości planowej przynosiła broszurę o Centralnym Okręgu Przemysłowym i zbył po niej w stosunku do zainteresowania jakie zbudził jej tytuł”. Postanowiłem więc ją poszerzyć, rozbujać i pogłębić i tak powstała „Sztafeta”.

Z tej ziemi

Trochę wstydliva sprawa

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

J. Ramiński napisał 30 stycznia 1938 roku o pracy Melchiora Wańkowicza „COP” następującą opinię:

„Nikt nie pisze o C.O.P. Po co? Jedyną Wańkowicz, ten tutaj posiadający typowe dziennikarskie zacięcie, wyuczając się z historii — jak nikt inny aktualność tematu, zainteresował się C.O.P. Jego repozycja przepojony jest dumą i podziwem, gdy opowiada o „dach prostych i serdecznych” jak to tam w zapadłych, wędrujących wioskach buduje nową Polskę”.

„Zwrot”.

„Sztafeta” Melchiora Wańkowicza jest niewątpliwie pociechą i politycznym (rozdział polityczny zagranicznej) i ekonomicznym. Ale przecież nie można II Rzeczypospolitej wymazać z całych dzieł polski. Dwudziestolecie międzywojenne — czy to się nam odoba czy nie — jest częścią dzieł narodu. To właśnie wtedy stała się znowu Polska wolna i zaczęła tworzyć nową, odrodzoną państwowość. Jak ją tworzyła? — to już zupełnie inna sprawa. Jest to kwestia oceny, a nie faktów. Faktów bowiem nie wolno ani odrzucać, ani negować.

Budując Polskę Ludową Rzeczpospolitą staraliśmy się odrzucić wszystko, co było przed wrześniem 1939 roku, negując całość tamtego okresu. A jeśli dokonywaliśmy jakichkolwiek porównań, to na niekorzyść II Rzeczypospolitej. Na temat tych porównań Zbigniew Żalucki tak napisał w książce „Drogi do pewności”: „Prawdę powiedziawszy już dawno uznaliśmy, że nam te wszystkie porównania Polski burżuazyjno-obszarniczej z Polską Ludową ostatecznie ozbrydły. Mamy już ich po uszy, właściwie przecież nic nie znaczą”.

Odeszliśmy więc od porównań, ale ciągle trwał negatywny, jednostronny, zbytnio uproszczony obraz II Rzeczypospolitej.

„Sztafeta” Melchiora Wańkowicza nie pasowała do tego obrazu

Z tego powodu nie mogła się ukazać. Ale powoli zmieniamy ten obraz, próbujemy obiektywizować dzieło II Rzeczypospolitej, nie uciekając od krytycyzmu, pokazywać zarówno pozytywne tamtego okresu dzieła Polski, jak i negatywne. Każdy okres — co dziś wiemy zbyt dokładnie — ma swoje dobre i złe strony. Dokonując się nieustannie proces rozwoju społecznego, przynosząc nie tylko same sukcesy, ale i klęski. Można więc dziś spojrzeć na „Sztafetę” Melchiora Wańkowicza z życzliwością, traktując tę książkę jako dokument minionych czasów, bo takim dokumentem jest w istocie.

„Ale jest w „Sztafecie” rozdział ostatni, który dotyczy spraw bolesnych, trudnych i skomplikowanych. Można powiedzieć, że to taka rodzima biała plama. Rozdział ten nosi tytuł: „Fanfara zaolziańska” i opisuje w tonie mocarstwowym zajęcie Śląska Cieszyńskiego — zwanego wówczas Zaolziem — przez wojska polskie dowodzone przez gen. Władysława Bortnowskiego. Czyn ten był wówczas, a i jest też dziś, bardzo różnie oceniany. Nie ma czym się chwalić. Ale można poznać panujące wówczas poglądy i nastroje.

Księstwo Cieszyńskie przeszło do Czech w XIII wieku

I ten argument podnosili Czesi, twierdząc, że Polacy osiedlili w Księstwie Cieszyńskim dopiero w XIX wieku. Faktem jednak było, że w wielu powiatach Księstwa Cieszyńskiego przebywali Polacy, a w innych Czesi.

30 października 1918 roku w Cieszynie powstała Rada Narodowa Księstwa Cieszyńskiego z ks. Józefem Londzinem na czele, któremu pomagali Tadeusz Reger i Jan Michaj-

wania ziem będących pod kontrolą Rady Narodowej Księstwa Cieszyńskiego. Władze warszawskie, a Naczelnik Państwa Józef Piłsudski osobliwie, próbowały narastający konflikt załagodzić poprzez negocjacje. Nic to nie dało. 23 stycznia 1919 roku wojska czeskie uderzyły na Bogumina oraz w kierunku Górnej Wisły. Obronę zorganizował płk. Franciszek Latinik. W wojsku polskim znalazło się 5 tysięcy ludzi. Przedtem był zaledwie tysiąc. 26 stycznia 1919 roku wojska polskie opuściły Cieszyń. Wycofały się na linię Wistry.

Trzy dni trwała bitwa pod Skoczowem. Wojska czeskie nie sforsowały linii Wistry. 30 stycznia 1919 roku zawarto rozejm. 3 lutego 1919 roku podpisano w Paryżu porozumienie o wytyczeniu nowej linii podziału Śląska Cieszyńskiego. 26 lutego 1919 roku wojska polskie wróciły do Cieszyna i

działając raczej demonstracyjną. (...) Równocześnie, jednak najważniejszą obserwacją sowieckiego terenu wskazywała, że Rosja nie czyni żadnych przygotowań wojskowych do interwencji. Po sławnej „czystce” w wyższym korpusie oficerskim sowiecka Armia Czerwona znajdowała się w bardzo złym stanie”.

Czechosłowacja była w fatalnym położeniu tak wewnętrznym, jako państwo wielonarodowościowe, jak i zewnętrznym. W Monachium Anglia i Francja kosztownym rozbiorem Czechosłowacji chciały uratować pokój. Tak się im przy najmniej zdawało. Była to całkowicie błędna ocena postępowania Adolfa Hitlera i popierających go Niemców. O czym miano się już niedługo w Europie przekonać. Ale nie uprzedzamy faktów. W każdym razie w Monachium sprawy mniejszości polskiej w CSR nie uregulowano. Stworzono dla tej sprawy szerokie możliwości.

„Sześćdziesiąt cztery mocarstwa — stwierdza „Dodatek” — oświadczanie do układu monachijskiego dotyczące mniejszości polskiej i węgierskiej w Czechosłowacji” z 29 września 1938 roku — oświadczając, że jeżeli zagadnienie mniejszości polskiej i węgierskiej w Czechosłowacji nie zostanie uregulowane w ciągu trzech miesięcy w drodze porozumienia pomiędzy zainteresowanymi rządami, stanowiąc przedmiot następnej konferencji szefów rządów czterech mocarstw”.

Chciałoby się powiedzieć: drzwi otworzone, dalej już robicie sami! A sytuacja była poważna. 1 października 1938 roku A. J. Drexel Biddle, ambasador USA w Polsce, przekazał pismo na ręce Józefa Becka, w którym znalazło się takie stwierdzenie: „Prezydent wierzy szczerze, że rząd polski uzna za możliwe przyczynić się w tym momencie do pokoju w Europie unikając starcia zbrojnego i rozwiązując trudności istniejące między Polską a Czechosłowacją metodami pokojowymi”.

Trwały negocjacje, wymieniały pisma. Edward Benes pisał do Ignacego Mościckiego, Ignacy Mościcki pisał do Edwarda Benesa, ale nie z tego nie wynikało. 30 września 1938 roku Józef Beck przesłał Kazimierzowi Papce — posłowi polskiemu w Czechosłowacji — instrukcję, w której zawierał następujące zalecenie:

„1. Pierwszy, doraźny, to sprawa odzyskania ziem, do których mamy słuszne prawo.

2. Drugi, to cała pozycja Rzeczypospolitej w stosunku do nowej Europy i sposobu jej rządzenia.

W tej poważnej chwili rozumieć, że jedynie odważna decyzja może określić zasadnicze oblicze naszego państwa”.

Ta odważna decyzja to było ultimatum z 30 września 1938 roku, które kończyło się następującym stwierdzeniem:

„Rząd polski oczekuje odpowiedzi niedwuznacznej, przyjmującej lub odrzucającej żądania sformułowane w przedłożonej nocie, do południa 1 października 1938 r. W wypadku odrzucenia lub braku odpowiedzi, rząd polski czyni jedynie rząd czechosłowacki odpowiedzialnym za dalszy ciąg zdarzeń”.

Rząd CSR przyspytał „do muru” nie miał innego wyjścia. W nocy z 1 października 1938 roku rząd CSR odpowiedział między innymi:

„...wobec noty rządu polskiego z 30 września i zmuszony okolicznościami, rząd czechosłowacki przyjmuje propozycję w niej zawartą”.

I wtedy nastąpiło „bohaterstwo” wkroczenie wojsk gen. Władysława Bortnowskiego na Zaolzie. Formalnie w obronie ludności polskiej. Ale czy politycznie i moralnie akt ten może być usprawiedliwiony? Myślę, że mimo „Fanfary zaolziańskiej” książka Melchiora Wańkowicza „Sztafeta” — jako i tylko dokument minionych epok — powinna być wydana.

A może ktoś z wydawnictw ma ją już w planie, o czym nie wiem?

Frysztatu. Prace Komisji Międzynarodowej ukończono w czerwcu 1920 roku. Armia Czerwona — po wyprawie Józefa Piłsudskiego na Kijów — parła na zachód, pod Warszawę. W Spałowski Grabski zgodził się na uregulowanie sporu o Śląsk Cieszyński według propozycji Komisji Międzynarodowej, które były dla Polski niekorzystne. Czechosłowacja miała poparcie Francji. Rządowi polskiemu zależało na pomocy Anglii i Francji w ewentualnych rokowańach z Rosją Radziecką.

W ocenie polityki rządu polskiego zaraz po odzyskaniu niepodległości, i w ocenie polityki Józefa Piłsudskiego, wyrażamy często zastrzeżenia i pretensje, że więcej zainteresowania wykazywano dla wschodnich latyfundiów magnackich, niż dla zachodnich przemysłowych rejonów. I przykład Śląska Cieszyńskiego jest tego potwierdzeniem. Ślązacy i Wielkopolanie musieli się walczyć o prawo należenia do Polski. Wielkopolanom to się w pełni udało. Ślązkom — częściowo. Co później miało — niestety — negatywny wpływ na losy Polski. Był to brak troski o zachodnią granicę — odstąpiła Polskę niemal całkowicie przed niemiecką agresją.

Józef Piłsudski — jak to przypomniał Melchior Wańkowicz w „Sztafecie” — powiedział na podziemnej delegacji Śląska Cieszyńskiego: — Czekać z wiarą i wytrwałością. Powtarzam, my się was nigdy nie wyprzedzimy. No i nadszedł taki moment, kiedy można było spełnić obietnicę Józefa Piłsudskiego, choć jego już nie było między żywymi.

Natomiast w „Nocie delegacji polskiej na Konferencję Pokojową w sprawie granicy zachodniej Polski” tak pisał o Księstwie Cieszyńskim:

„Terytorium Ks. Cieszyńskiego (Teschen), obejmujące 2 282 km kwadratowe jest zamieszkałe przez 435 000 mieszkańców (1910), z których 54,8 proc. stanowią Polacy, 27 proc. Czesi, a 18 proc. Niemcy. Ludność czeska jest skoncentrowana w powiecie frydeckim (78 proc.), położonym w południowo-zachodniej części kraju, podczas gdy Polacy zajmują powiaty cieszyński (77 proc.), frysztański (64 proc.) i bielski (78 proc.). Niemcy znajdują rozproszeni w miastach i centrach handlowych kraju.

Spółród ziem polskich, nie wchodzących w skład Państwa Polskiego w chwili rozbiorów, Cieszyńskie pierwsze zaczęło odradzać się narodowo. Już w 1848 r. na Zjeździe Słowiańskim, reprezentant Cieszyńskiego manifestował swoją narodowość polską, a pierwszy dziennik, który został w tym kraju założony — był „Dziennik Polski” (1848). Od tego czasu Polacy cieszyńscy zaczęli coraz mocniej wchodzić w życie i w politykę ziem polskich.

Polska żąda całej polskiej części Księstwa Cieszyńskiego; przynajmniej prawa Czechów do powiatu frydeckiego”. Wszystko wydawało się być tu na dobrej drodze. Wydawało się, że spór będzie rozstrzygnięty w duchu stosunków łobrosądzkich. Przecież oba państwa odzyskały niepodległość po długich latach niewoli. Ale nie nie wyszło z tych nadziei.

Wszystko wydawało się być tu na dobrej drodze. Wydawało się, że spór będzie rozstrzygnięty w duchu stosunków łobrosądzkich. Przecież oba państwa odzyskały niepodległość po długich latach niewoli. Ale nie nie wyszło z tych nadziei.

Wszystko wydawało się być tu na dobrej drodze. Wydawało się, że spór będzie rozstrzygnięty w duchu stosunków łobrosądzkich. Przecież oba państwa odzyskały niepodległość po długich latach niewoli. Ale nie nie wyszło z tych nadziei.

Wszystko wydawało się być tu na dobrej drodze. Wydawało się, że spór będzie rozstrzygnięty w duchu stosunków łobrosądzkich. Przecież oba państwa odzyskały niepodległość po długich latach niewoli. Ale nie nie wyszło z tych nadziei.

Wszystko wydawało się być tu na dobrej drodze. Wydawało się, że spór będzie rozstrzygnięty w duchu stosunków łobrosądzkich. Przecież oba państwa odzyskały niepodległość po długich latach niewoli. Ale nie nie wyszło z tych nadziei.

Wszystko wydawało się być tu na dobrej drodze. Wydawało się, że spór będzie rozstrzygnięty w duchu stosunków łobrosądzkich. Przecież oba państwa odzyskały niepodległość po długich latach niewoli. Ale nie nie wyszło z tych nadziei.

Wybuchła mała wojna

W grudniu 1918 roku Czesi stworzyli w Opawie ośrodek administracyjny dla Śląska Cieszyńskiego i Opawskiego i przygotowali się do zaatakowania

Ambitny i dalekosiężny program radzieckiej przebudowy w gospodarce i społeczeństwie budził olbrzymie zainteresowanie na Wschodzie i na Zachodzie. Eksperci i politycy różnych orientacji wyrażali nawet poglądy, że pierestrojka jest największym wydarzeniem w życiu narodu radzieckiego od czasu rewolucji październikowej. Kurs reformatorski, którego ojcem duchowym i szermierzem jest Michaił S. Gorbaczow, stanowi przedsięwzięcie na wskroś rewolucyjne, jest swoistą „rewolucją w rewolucji”. Na kwietniowym plenum KC KPZR w 1985 r. po raz pierwszy od kilkunastu lat, stanowczo i poważnie sformułowane zadanie uzdrowienia kulejącej gospodarki radzieckiej. M. Gorbaczow wyraźnie określił leitmotiv nowej polityki gospodarczej:

„Najważniejszy problem polega obecnie na tym: jak i w jaki sposób kraj może osiągnąć przyspieszenie rozwoju gospodarczego?... Historyczne losy Związku Radzieckiego i pozycja socjalizmu we współczesnym świecie w dużej mierze zależą od tego, jak będziemy dalej prowadzić tę sprawę”.

Konieczność przyspieszenia rozwoju gospodarczego w Kraju Rad wynika z wielu względów. Najczęściej radzieccy ekonomiści podkreślają potrzebę poprawy standardu życiowego społeczeństwa, konieczność utrzymania zdolności obronnej kraju na odpowiednim poziomie i bezwzględnie nowoczesnego całego gospodarki. Te trzy cele „magicznego trójkąta” radzieckiej polityki gospodarczej — konsumpcja, obronność i nowoczesność — mają dla przywódców Związku Radzieckiego mniej więcej jednakową wagę. Pociąga to za sobą konsekwencje dla polityki gospodarczej: przemieszczenie środków między tymi trzema celami są w znacznej mierze ograniczone (wprawdzie proces zbrojenia przyczynia się do zwolnienia środków na cywilne cele, ale są to, jak dotychczas skomne kwoty) i wobec tego niezbędne jest zwiększenie wydajności całej gospodarki, podniesienie efektywności i jakości produkcji. Gospodarcze radzieckie potrzeba jest trwała intensyfikacja, której należy, jak twierdzi kierownictwo polityczne państwa, nadać ten sam polityczny wydźwięk, jaki swego czasu nadano uprzemysłowieniu kraju.

W dyskusjach na temat szans obecnego programu przebudowy w gospodarce często wraca się do nieudanych prób reformowania gospodarki, które miały miejsce w czasach N. Chruszczowa i L. Breżniewa. Stare reformy nie mogły się udać, gdyż były to, zdaniem prof. A. Aganbegiana, uchodzące za czolowego doradcy ekonomicznego M. Gorbaczowa, jedynie reformy polowiczne, reformy zachowujące decydujący wpływ systemu administracyjnego na gospodarkę. Na przykład w 1965 r. zmianami objęto tylko przemysł i rolnictwo, ale nie budownictwo i komunikację. Również planowanie, reglamentacja i system bankowy pozostały nienaruszone. Nowe metody zarządzania były obcym ciałem w całym organizmie. To obce ciało nie mogło się rozwinąć i zostało po prostu wessane przez tradycyjny system. Należy dodać, że w 1965 r. prawie nic się nie zmieniło w sferze politycznej, w nadbudowie ideologicznej, w działalności partii i jej aparatu. Dziś przebudowa odbywa się nie tylko w gospodarce, lecz w całym społeczeństwie, w całym systemie partyjnym i państwowym. Przebudowa ma charakter globalny i to pozwala rokować nadzieje na sukces obecnych przemian.

Rysm charakterystycznym przebudowy radzieckiej jest fakt, że przeobrażenia w sferze ideologicznej, w kulturze, literaturze itp. wyprzedzają reformę gospodarki. Jak powiada prof. A. Aganbegian „łatwiej jest oddychać, ale przeciętny człowiek nie odczuwa jeszcze zmian w sferze materialnej”. Dotychczas uruchamiano w gospodarce głównie rezerwy podstawowe, ale nie został przekroczony próg odczuwalności, zbyt wolny jest postęp w zaspokajaniu potrzeb materialnych społeczeństwa. Opóźnienie zmian w gospodarce w stosunku do odczuwalnych już przeobrażeń w sferze ideologii wynika ze specyfiki procesu przebudowy tak dużego organizmu gospodarczego, jakim jest gospodarka radziecka. Olbrzymi transatlantyk potrzebuje więcej czasu na zmiany kursu niż mała jednostka. Utrwalana przez dziesięciolecia tradycyjne struktury gospodarcze (przemysł, surowce) łatwo się nie poddają. Siły inercji, stare myślenie i partykularyzm branżowy są realnymi barierami na drodze do postępów zmian w gospodarce radzieckiej. Ekonomiści radzieccy twierdzą, że nowy mechanizm ekonomiczny zostanie upowszechniony w gospodarce radzieckiej na początku lat dziewięćdziesiątych. Obecnie następuje stopniowe wdrażanie rozwiązań reform w przedsiębiorstwach. Tak więc owoce reformy pojawiają się za 2-3 lata, chociaż nikt nie przepowiada, że w okresie tym zapadnie obfitość dóbr konsumpcyjnych. Oczekuje się poprawy, ale nie bogostanu konsumpcyjnego.

Wszystkie ważniejsze reformy podejmowane w Kraju Rad były reformami ogólnymi, wielolateralnymi w życie środkami administracyjnymi. Obecnie również reforma została zainicjowana przez najwyższe czynniki polityczne, lecz równocześnie w procesie przebudowy aktywnie uczestniczą masy pracujące. M. Gorbaczow stanowczo odrzuca model socjalizmu państwowo-biurokratycznego i lansuje model oparty na świadomym uczestnictwie mas w nowej rzeczywistości. Dlatego też radziecki przywódca uczynił demokratyzację głównym motorem przebudowy w dziedzinie gospodarki. Na XIX Konferencji KPZR M. Gorbaczow przypomniał, że wszystkie poprzednie reformy rolnictwa i przemysłu rozbiły się o rafa przestarzałego systemu społeczno-politycznego, którego istotą stanowiły nakazowo-administracyjne metody rządzenia społeczeństwem. Błąd niedoceniania warstwy społeczno-politycznej reformy nie może się powtórzyć, gdyż — jak konstatuje M. Gorbaczow — „na odwrót nie mamy już w ogóle miejsca”. A rezygnacja z radykalnych przemian w sferze społecznej byłaby właśnie takim odwrótem.

Przebudowa systemu funkcjonowania gospodarki polegająca na wprowadzeniu do niej mechanizmu rynkowego i kategorii towarowo-pieniężnych jako regulatorów ekonomicznych wymaga krytycznego odniesienia się do stereotypów dotyczących kształtu gospodarki socjalistycznej. Do stereotypów tych należy zaliczyć między innymi przekonanie o stabilności cen w socjalizmie, a także odrzucanie możliwości wystąpienia bezrobocia i upadłości przedsiębiorstwa w gospodarce socjalistycznej. W burzliwych dyskusjach ekonomiści radzieccy podejmują próby przełamywania owych stereotypów, które zapadły głęboko w świadomości społeczeństwa radzieckiego i centralnego aparatu gospodarczego. Bez cienia przesady można stwierdzić, że jednym z najtrudniejszych problemów radzieckiej przebudowy jest zmiana systemu kształtowania cen w handlu detalicznym. Obecnie trwają dyskusje, czy należy podnieść ceny mięsa, produktów ubocznych i pieczywa. Ceny te zostały po raz ostatni ustalone w 1962 roku i od tamtego okresu nie były zmieniane. Subwencje państwowe wynoszą w przypadku mięsa 3 ruble do 1 kg, a mleka 30 kopiejek do 1 litra.

Radykalne zmiany w gospodarce niosą za sobą określone koszty społeczne, związane głównie z przemieszczeniem siły roboczej. Ekonomiści radzieccy utrzymują, że bezrobocie nie zagraża gospodarce narodowej, chociaż przesunięcia siły roboczej obejmują w ciągu najbliższych dwunastu lat 15 mln osób. Proces ten już się rozpoczął, w ubiegłym roku po raz pierwszy w historii ZSRR nastąpił spadek zatrudnienia w sferze produkcji materialnej. Uwzględniając te zjawiska tworzy się nowe miejsca pracy w dziedzinie usług, rozszerza się zakres działania sektora spółdzielczego i prywatnego, opracowuje się system reorientacji zawodowej itp.

WITOLD KASPERKIEWICZ

W listach przychodzących do redakcji zawarte są również pytania dotyczące stosunków polsko-radzieckich. Czytelnicy pytają na przykład o wojnę polsko-radziecką 1920 roku. Nosimy się z zamiarem opublikowania kilku artykułów na ten temat. Jako pierwszy publikujemy artykuł Georgija S. Issersona, który ukazał się w 5 numerze „Drużby Narodów” z 1988 roku. Artykuł ten przedstawia punkt widzenia radzieckiego historyka wojskowości. Georgij S. Isserson urodził się w 1898 roku, zmarł w 1976 roku. Ukończył Szkołę Podchorążych w Peterhofie jeszcze przed rewolucją. Wstąpił w szeregi Armii Czerwonej i był uczestnikiem, między innymi, wojny z Polską w 1920 roku. W latach następnych ukończył Akademię Wojskową i później

pracował w Akademii Wojskowej im. Michaiła W. Frunzego, w Akademii Sztabu Generalnego oraz w innych wojskowych instytucjach. W 1941 roku, już jako generał dywizji, został aresztowany i skazany na pobyt przez 10 lat w obozie oraz pozbawienie praw obywatelskich na lat 5. W 1955 roku Trybunał Wojskowy Sądu Najwyższego ZSRR anulował ten wyrok, jako bezpodstawny. Szkic Georgija S. Issersona opublikowano wraz z komentarzem J. Gellera. Autor komentarza napisał między innymi: „Zainteresowanie wydarzeniami konfliktu radziecko-polskiego roku 1920 nie wygasło w Istocie nigdy. Długo rozpowszechnia się na ten temat mnóstwo nieudolnych komentarzy. I jest

to — generalnie rzecz biorąc — zrozumiałemu skąd wziąć wiarygodne świadectwa, jeśli literatura specjalistyczna (nawet publikacje z lat ostatnich) nadświetla ten problem niedostatecznie i w szeregu wypadków i uprzedzeniem, kładąc odpowiedzialność na niepowodzenie kampanii na głównodowodzącego sił zbrojnych republiki Siergieja Siergiejewicza Kamieniewa i dowódcę Frontu Zachodniego Michaiła N. Tuchaczewskiego”. Szkic Georgija S. Issersona jest próbą innego pokazania przyczyn klęski wojsk radzieckich pod Warszawą. W następnym numerze zamieścimy szkic Zenona J. Michalskiego poświęcony bitwie nad Wisłą i widzeniu wojny 1920 roku zarówno przez Józefa Piłsudskiego, jak i Michaiła Tuchaczewskiego.

ze str. 1

dząc przed sobą przeciwnika. 3 Korpus Konny, dowodzony przez wybitnego dowódcę kawalerii G.D. Gaję, wyprzedzał z prawą odstępującą kolumną białych Polaków i gromił ich pod Grodnem, Łomżą i Ostrołęką. Nikt nie wątpił w pomyślny rezultat operacji.

Ale oto, przekroczywszy linię rzek Narew i Bug, cały Front Zachodni jak gdyby zawisł w powietrzu, dlatego że o głębokiego zachodzenia została pozbawiona punktu oparcia, a cała operacja — pewnej bazy operacyjnej.

Jeszcze i obecnie wyrażany jest punkt widzenia, który w swoim czasie sformułował dowódca katedry historii wojskowości Akademii Wojskowej im. M.B. Frunze — W.A. Mielikow: w roku 1920 należało zatrzymać się na Bugu. Ten pogląd, nie pozbawiony pewnego uzasadnienia (trzeba było przegrupować się i podciągnąć tyły), mógł być wysunięty, oczywiście, jedynie post factum, kiedy prowadzi się rozważania po odkryciu kart i kiedy wiadomo, co było potem.

Trzeba zupełnie nie wyobrażać sobie całej realnej sytuacji natarcia na Warszawę, żeby wysnuwać koncepcję zatrzymania się na Bugu. Jesliby wówczas, w roku 1920, po osiągnięciu rubieży Bugu ktoś zajął się o zatrzymaniu, uznano by go za zdrajcę, albo za wariata. Poza tym niebawem ożywił politycznym w naciągających wojskach taka niewydarzona myśl nikomu nawet nie mogła przyjść do głowy.

Oto dlaczego Michaił Tuchaczewski, uważał, że „przy tym ustrząsł, którego doznała armia polska, mieliśmy prawo i obowiązek kontynuowania natarcia. Zadanie było śmielsze, trudniejsze, złożone, ale nie miało zadania nie rozwiązuje kwestii świątecznych”.

W.I. Lenin także uważał za konieczne kontynuowanie natarcia i nawet w sytuacji kryzysowej wysłał 13 sierpnia 1920 roku telegram do Rady Wojskowo-Rewolucyjnej Zachodniego Frontu a w nim pisał:

„Ofensywa Polaków czyni dla nas bardzo ważnym wzmocnienie naszego nacisku, choćby na kilka dni. Zróbcie wszystko, co możliwe, wyjdźcie, jeśli uważacie za słuszne, rozkaz do wojska o tym, że dziesięciokrotny wysiłek obecnie, zapewnią Rosji korzystne warunki pokoju na wiele lat”.

Historia nigdy nie wybaczyłaby Michaiłowi Tuchaczewskiemu, jeśli by, doszedłszy do Bugu, zatrzymał się.

Przecież właśnie to było potrzebne wycofującej się, zdeorganizowanej armii białych Polaków, żeby wygrać choć kilka dni, uporządkować się, przegrupować i przejść do kontrofensywy. Zadanie polegało na tym, żeby nie dać im możliwości uczynienia tego. Dlatego natarcie i ściganie do końca, do osiągnięcia ostatecznego celu — ten styl sztuki dowódczej Michaiła Tuchaczewskiego w sytuacji 1920 roku był uzasadniony. Tym razem zwycięstwo nie zostało osiągnięte. Michaiła Tuchaczewskiego czekała klęska. Jak wiadomo, Włodzimierz Lenin nie powiedział mu ani słowa wyrzutu. Ale na pewno obarczył go winą, jeśli by Michaił Tuchaczewski powstrzymał pomyślnie rozwijające się natarcie, prowadzące do tak ważnego politycznego zadania.

Istota problemu sprowadzała się nie do tego, czy się na Bugu zatrzymać czy nie zatrzymać, lecz do tego, jak operacyjnie zabezpieczyć kontynuowanie ofensywy, która, kontynuowana na zasadzie inercji, z każdym kolejnym kilometrem stawiała Front Zachodni w coraz bardziej niebezpiecznym położeniu.

Czy Michaił Tuchaczewski to rozumiał?

Początkowo nie, i w późniejszym okresie nie ukrywał tego. Poważnie się jedynie niepokoiło stan swoich tyłów i już w lipcu meldował Radzie Wojskowo-Rewolucyjnej Republiki, że tabory i tyły mocno odstąpiły, odwrócenie zniszczonych linii kolejowych postępuje powoli i następują przerwy w zaopatrzeniu wojsk. Ale w Kwaterze Głównej niewłaściwie rozumiano żądania Michaiła Tuchaczewskiego. Pośpieszny odwrót białych Polaków brano tam za ich rozgromienie (typowy błąd krótkowzrocznej strategii) i zamierzano nawet odwołać z Frontu Zachodniego niektóre oddziały. Jedynie dzięki energicznemu protestom Michaiła Tuchaczewskiego ta bezpodstawa decyzja nie była wprowadzona w czyn. Już w tym momencie Michaiłowi Tuchaczewskiemu przyszło rozpocząć walkę z Dowództwem Naczelnym.

Jednak w rozwoju operacji Michaił Tuchaczewski początkowo nie widział żadnego szczególnego niebezpieczeństwa i wierzył w sukces. Wiare tę umocniła w nim podjęta 2 sierpnia 1920 roku przez Biuro Polityczne KC RPK(b) uchwała o połączeniu pod dowództwem Frontu Zachodniego wszystkich sił Zachodniego i nacierającego na południe od Polesia Południowo-Zachodniego Frontów, żeby skierować je koncentrycznie na rozgromienie warszawskiego zgromadzenia nieprzyjaciela. Ta uchwała została zatwierdzona przez Plenum KC 5 sierpnia 1920 roku.

Przekonany, że Front Południowo-Zachodni będzie poszukiwał ścisłego współdziałania z

Dlaczego Michaił Tuchaczewski przegrał pod Warszawą

Frontem Zachodnim na kierunku lubelskim, Michaił Tuchaczewski uważał, że „mogliśmy i powinniśmy zdecydować się na uderzenie na Wisłę i że to uderzenie miało pełne widoki na końcowy sukces”.

Jednak podjęta na wniosek Włodzimierza Lenina niezwykle ważna uchwała KC RPK(b) o połączeniu działań frontów na kierunku warszawskim nie była wykonywana od samego początku i sabotowana przez dowództwo Frontu Południowo-Zachodniego (dowódca — A.I. Jegorow, członek Rady Wojskowo-Rewolucyjnej — Józef Stalin). Dowództwo frontu, widocznie nie pogodziło się z tym, że zwierzchnie dowództwo spoczywa w rękach Michaiła Tuchaczewskiego i że oni, w wyniku tego, odsunęli się w tak ważnej operacji i nie mogą dzielić sukcesu. Małostkowa dbałość o osobisty prestiż przeważała tu nad optymalizmem wojskowo-politycznym i wymaganiami strategii państwowej wagi.

Rzadkie w historii naszej partii ignorowanie niezwykle ważnej uchwały KC RPK(b) nastąpiło akurat w decydującym etapie prowadzenia wielkiej operacji ofensywnej.

Dowództwo Frontu Południowo-Zachodniego zamiast dążyć do ścisłego współdziałania z Frontem Zachodnim w koncentrycznym natarciu w kierunku północno-zachodnim na Lublin, zawróciło znacznie wcześniej (około 12 lipca) na południowy zachód, skierowawszy i Armię Konną od Równego na Dubno. Po podjęciu uchwały przez KC RPK(b), otwarcie ją ignorując, front kontynuował koncentrację głównych sił na kierunku lwowskim, gdzie, według dyktanda i upartego poglądu Józefa Stalina, jakoby leżał środek ciężkości całej polskiej kampanii. Nasti historycy wojskowi powinni się kompetentnie wypowiedzieć w tej kwestii i wyświecić błąd polityczny Józefa Stalina w 1920 roku, którego dopuścił się świadomie i który podciągnął za sobą tak poważne konsekwencje strategiczne.

Czym mogli kierować się Józef Stalin, twierdząc się przy swojej decyzji o skierowaniu głównego uderzenia na Lwów?

Czy istniały po temu jakieś rozsądne polityczne lub strategiczne racje? Przecież nie raz powtarzał, że w strategii najważniejszy jest wybór kierunku głównego uderzenia. A główny kierunek uderzenia prowadził w 1920 roku na Warszawę. W.I. Lenin oceniając kampanię niejednokrotnie to podkreślał. O jakimże zasadniczym znaczeniu kierunku lwowskiego można mówić w świetle tej leninowskiej opinii, jeśli poprowadzenie głównego uderzenia Frontu Południowo-Zachodniego na Lwów rozchodziło się decentrycznie z natarciem Zachodniego Frontu na Warszawę i na pniu burzyło współdziałanie z nim? Z punktu widzenia strategii nawet zdobycie Lwowa nie mogło mieć znaczenia dla zwycięskiego wyniku operacji Frontu Zachodniego i nie mogło mieć wpływu na zdobycie Warszawy. „Kto idzie na Warszawę przez Lwów?” — z ironią i gorczy zauważył później Włodzimierz Lenin.

Kiedy przed Michaiłem Tuchaczewskim zarysował się cały przerażający obraz rozchodzących się kierunków natarcia Frontów Zachodniego i Południowo-Zachodniego, kryjący w sobie groźne niebezpieczeństwo dla jego lewej flanki, którą stanowiło tylko słabe zgromadzenie mozyrskie i pozostawiający ją sam na sam z całym głównym zgromadzeniem warszawskim przeciwnika, przeraził się i jak potem opowiadał, przez kilka godzin pozostawał w głębokim zamyśleniu. Michaił Tuchaczewski zaczynał pojmować, czym to grozi. Czasu na poprawę położenia pozostało mało; liczyły się dni i godziny. Ale jeszcze nie było za późno. W tych godzinach Michaił Tuchaczewski przejawiał ogromną operatywność i energię; nie odchodził o przewodu łączności z Moskwą. Swoim naleganiem wywalczył u Naczelnego Dowództwa 11 sierpnia 1920 roku spóźniony rozkaz do Frontu Południowo-Zachodniego przetrwania natarcia na Lwów i przegrupowania XII i I Armii Konnej na Lublin.

Dowództwo Frontu Południowo-Zachodniego odmówiło wykonania tego rozkazu. Na naleganie Michaiła Tuchaczewskiego nastąpiło jego potwierdzenie, ale i tym razem Józef Stalin nie podpisał rozkazu o zawróceniu I Armii Konnej na północny zachód.

Wreszcie po wielkiej stracie czasu nastąpiło formalne przekazanie I Armii Konnej do podporządkowania operacyjnego dowództwu Frontu Zachodniego. Jednak wykonania rozkazu o jej wycofaniu spod Lwowa i skierowaniu na

Włodzimierz Wołyński odmówiło teraz dowództwo I Konnej (dowódca armii — Siemion Budionny, członek Rady Wojskowo-Rewolucyjnej — Klimient Woroszyłow). Kiedy zaś po potwierdzającym kategorycznym rozkazie Michaiła Tuchaczewskiego dowództwo Armii Konnej zaczęło na koniec opieszałe i niechętnie rozkazy ten wypełniać, moment krytyczny już minął. Kilka dni wcześniej sytuacja mogła być jeszcze zmienić, ale obecnie (20 sierpnia) ta możliwość została przegapiona. Czas, pozostawiony do dyspozycji przez bieg wypadków, minął.

Grupa uderzeniowa Józefa Piłsudskiego, w tył której mogła „wczepić się” Armia Konna, jeśli była w porę wycofana spod Lwowa i skierowana na północny zachód, już rozwijała natarcie na nieczym nie zabezpieczoną lewą flankę wojsk Michaiła Tuchaczewskiego i, odparwszy ją, przypierała główne siły Frontu Zachodniego do granicy Prus Wschodnich.

Armie Frontu Zachodniego, już podchodzące pod Warszawę, nie mogły jej wziąć i poniosły klęskę.

Jako strateg i dowódca wojskowy Michaił Tuchaczewski udowodnił w kampanii 1920 roku, że jest godzien wielkich idei Włodzimierza Lenina. Był strategiem leninowskiego stylu. Oto dlaczego tak rwał się na Warszawę. Michaił Tuchaczewski widział w tym ważne zadanie polityczne, mające w owym czasie ogromne znaczenie międzynarodowe. Taki strateg nie znalazł się w dowództwie Frontu Południowo-Zachodniego. Przeciwnie, postępowano tam na przekór leninowskiemu pojmowaniu podstawowego zadania politycznego kampanii polskiej 1920 roku. Nie pojmowali tego zadania po leninowsku także w Kwaterze Głównej.

W Tezach Komitetu Centralnego z 23 maja 1920 roku „Front polski i nasze zadania” powiedziane było, że wojnę z państwami polskimi należy rozpatrywać „nie jako cząstkowe zadanie Frontu Zachodniego, lecz jako centralne zadanie całej robotniczo-chłopskiej Rosji”. Ale w Dowództwie Naczelnym nie pojmowano całej wagi uderzenia na Warszawę, nie starano się o połączenie wysiłków dwóch frontów na głównym, warszawskim kierunku i nie zrozumieliśmy się w porę o wzmocnienie i uzupełnienie sił Frontu Zachodniego, odgrywającego główną rolę w całej kampanii.

Michaiłowi Tuchaczewskiemu wypadło decydować w kwestiach, przekraczających jego kompetencje jako dowódcy frontu i leżących w zakresie kompetencji Naczelnego Dowództwa. W ten sposób zmuszony był brać na swoje barki zadania, przekraczające jego siły. Ale, nie bacząc na trudności, z wiarą szedł naprzód. Nie wiedział przecież jeszcze przy tym, że później, w październiku 1920 roku, W. Lenin powie:

„Sprawa wyglądała tak, że jeszcze kilka dni zwycięskiego natarcia Czerwonej Armii i nie tylko Warszawa byłaby zdobytą (to byłoby jeszcze nie tak ważne), ale zburzony byłby pokój uwersalski”.

Czy słowa te nie stanowią najlepszego uzasadnienia ofensywnej strategii Michaiła Tuchaczewskiego w 1920 roku?

W roku 1920 w wojnie z białymi Polakami byliśmy bilszy zwycięstwa. Jednak zwycięstwa nie osiągnęliśmy, nie zdobyliśmy Warszawy, i plan Tuchaczewskiego nie powiódł się. Zalał się. Kto ponosi winę za to? Teraz historia może i powinna odpowiedzieć wprost na to pytanie.

Winę za to ponoszą, przede wszystkim, J.W. Stalin, A.I. Jegorow, S.M. Budionny i K.J. Woroszyłow, będący wówczas dowódcami Frontu Południowo-Wschodniego i I Armii Konnej. Zasadniczą rolę w załamaniu się operacji odegrała uporczywa niechęć Józefa Stalina, a dalej Siemiona Budionnego i Klimienta Woroszyłowa do skierowania się na północny zachód, dla koncentrycznego połączenia z Frontem Zachodnim pod Warszawą. Niechęć ta wykraczała poza ramy wagi strategicznej i politycznej i należy odnieść ją do motywów o charakterze subiektywistycznym i etycznym. Dowódcy Frontu Południowo-Zachodniego i Armii Konnej widocznie rozumowali tak: Tuchaczewski rwie na Warszawę i ma ją zdobyć. Więc my zdobędziemy przynajmniej Lwów i nie pozwolimy aby tylko Tuchaczewski uwiecznił wawrzyn zwycięstwa.

Lwowa nie zdobyli, a doprowadzili do przegrania całej kampanii.

Zresztą, gdyby nawet zdobyli, nie by się nie zmieniło, i Front Zachodni z odesłaną lewą

flanką i tak poniosłby klęskę. Małostkowe, subiektywistyczne podejście do realizacji najważniejszych zadań strategicznych i politycznych i jawny partykularyzm strategiczny pozbawiły Front Zachodni w roku 1920 współdziałania z Frontem Południowo-Zachodnim, i to powinno być surowo osądzone.

Wiele przytaczano argumentów na usprawiedliwienie działań Frontu Południowo-Zachodniego na kierunku lwowskim. Mówiono o niemożności przegrupowania Armii Konnej spod Lwowa na kierunek lubelski. I pola walki nie można było opuścić — chociaż żadnych specjalnych walk pod Lwowem nie było. I konie były zmęczone. I zaopatrzenia nie było. Przytaczano też inne argumenty dla wydobycia Józefowi Stalinowi, usprawiedliwienia jego posunięć i świadectwa ich słuszności. Dowódcą I Armii Konnej, która odegrała historyczną rolę w wojnie domowej, to w każdym razie nie przynosi zaszczytu.

Armia Konna nie wyszła na tyły grupy uderzeniowej Józefa Piłsudskiego, ale treptała w miejscu w bezcelowych działaniach pod Lwowem. Nigdy żadnymi argumentami Józef Stalin, Klimient Woroszyłow i Siemion Budionny i ich późniejsi obrońcy nie usprawiedliwią tego faktu przed historią. Michaił Tuchaczewski z powodu swego młodego wieku (urodził się w 1883 r. — przyp. tłum.) i niedostatecznego doświadczenia w prowadzeniu wielkich operacji strategicznych w ciężkich dniach klęski jego armii nad Wisłą nie mógł stanąć na odpowiednim poziomie, chociaż wykazał się głębokim zrozumieniem sytuacji w skali całego polskiego teatru wojny. Po raz pierwszy znalazł się w takiej sytuacji, poczuwając się do spoczywającej na nim odpowiedzialności przed rewolucją, przeżył w sierpniu, dni 1920 roku wielką tragedię. Nie mając odpowiedniego wsparcia Michaił Tuchaczewski przegapił porę dla trudnego, ale jednak możliwego, przegrupowania z daleka wysuniętego prawego skrzydła do swego środka i lewej flanki; atakowanej przez całą grupę uderzeniową Józefa Piłsudskiego. W końcu, kiedy nastąpił kataklizm, być może nieświadomie nie mógł dobrze wypełnić obowiązku dowódcy wobec wojsk, na które spadło nieszczęście.

W czasie, gdy nad Wisłą rozgrywał się straszliwy dramat,

i kiedy bezsilne wojska Frontu Zachodniego, pozbawione nabożów i pocisków, bez zaopatrzenia i bez zwierzchniego dowództwa — walczyły o swe istnienie, przyparły do granicy Prus Wschodnich, Michaił Tuchaczewski ze swoim sztabem znajdował się daleko w tyle. Całe jego dowodzenie przebiegało operacji operatorem na przewodach telegraficznych, i kiedy łączność przewodowa została zerwana, dowódca został bez wojska, jako że nie mógł już przekazać mu ani jednego rozkazu. A wojska frontu zostały bez dowódcy i dowodzenia. Dlatego cały finał operacji rozgrywał się bez jego udziału. W czasie wojny 1920 roku Michaił Tuchaczewski nie umiał jeszcze wrzucić się dawnej praktyki, charakterystycznej dla warunków strategii liniowej, i dlatego stał się bezczynnym widzem pogromu swojej armii. Kiedy stał się dla niego jasny obraz już zaistniałej katastrofy i kiedy już niczego nie mógł zrobić, zamknął się w swoim sztabowym wagonie i cały dzień nikomu nie pokazał się na oczy.

Wiele lat potem, w prywatnej rozmowie, powiedział tylko, że przez ten dzień postarzał się o dziesięć lat, dojrzał i zrozumiał pełnię znaczenia myśli Klausewitz’a o „tarcach” na wojnie. Można było się domyślać, o jakich „tarcach” mówił Michaił Tuchaczewski. Miał na myśli, niewątpliwie, te tarcie, których przyszło mu doświadczyć w kontaktach z Naczelnym Dowództwem, dowództwem Frontu Południowo-Zachodniego i Armii Konnej, i których nie mógł przełamać. W każdym razie sens wypowiedzi Michaiła Tuchaczewskiego sprowadzał się do tego, że w 1920 roku ponosił klęskę nie tyle z rak białych Polaków, ile z powodu owych „tarc”.
Spytano wtedy Michaiła Tuchaczewskiego, dlaczego w tamtych krytycznych dniach nad Wisłą nie pojawił się osobiście wśród swoich wojsk i sam nie zorganizował ich wyrwania się z okrażeń na północ od Warszawy. Pomysławszy, Michaił Tuchaczewski odpowiedział, że rola dowódcy frontu wówczas pojmowana była inaczej, że sam nie mógł tego uczynić i uczynić tego nie pozwolono by mu. W każdym razie, Michaił Tuchaczewski nie może ponosić odpowiedzialności przed historią za to, że w warunkach roku 1920 nie uratował sytuacji za cenę własnego życia.

GEORGIJ ISSERSON

(„Drużba Narodów”, 5, 1988)

Opracowanie i przekład:
EWA KATARZYNA NOWAK

Czy nastąpi powrót do Śródmieścia

ze str. 1

nych, powiązania funkcjonalne instytucji i fabryk układy wzajemnych zależności władzy i społeczeństwa — wszystko, co stwarza niezwykle skomplikowany spłót uwarunkowań i okoliczności, którą można ignorować, ale nie sposób uniknąć ich wpływu. Końcowy rezultat wizji architekta czy urbanisty jest zawsze wypadkową owych niewidzialnych sił, kształtujących widzialne oblicze miasta. Rozwój aglomeracji zależy zatem od stanu harmonii, panującej pomiędzy grupami tych sił. Obraz miasta, jaki widzimy, stanowi najwierniejsze odbicie organizacji politycznej i gospodarczej społeczeństwa, jego poziomu cywilizacyjnego i jego kultury.

— Wynika stąd, że „niewidzialna struktura” lat 70. w sposób wyjątkowy nie sprzyjała konsekwentnym, do końca obmyślanym zamierzeniom?

M. WISNIEWSKI: — Lata 80. są gorsze. Wyjątkowość lat 70. polega — moim zdaniem — jedynie na dramatycznej rozbieżności między stanem świadomości a możliwościami. Zasadnicza zmiana na korzyść w poglądach zarówno władzy jak i środowiska zawodowego na problem Śródmieścia zawiązała w próżni wobec malejących dotąd możliwości realizacji nowych idei. Aby mieć szerszą perspektywę proponuję prześledzić to: zjawisko historycznie, na przestrzeni dziejów Łodzi.

W pierwszym okresie jej rozwoju, do czasów przed Powstaniem Styczniowym, mamy do czynienia z rozsądną opieką władzy. Opracowywane plany wyprzedzają nawet potrzeby rozwojowe miasta. Panuje swolista równowaga czynnika politycznego, ekonomiczno-finansowego i technologiczno-materiałowego. Później następuje okres żywiołowego rozwoju. Faktyczne rządy obejmuje kapitał, zaś władza, carska biurokracja, potrzeb miasta nie rozwiązuje. Przewagę osiągnął więc czynnik ekonomiczno-finansowy, o wszystkim decydowała gra sił kapitału.

Później — warte odnotowania są czasy samorządu lewicowego z lat 1927–33, kiedy Łódź stała się miastem awangardy, tak pod względem inicjatyw kulturalnych, jak i społecznych (że przypomnę osiedle Józefa Montwiła-Mireckiego na Polesiu). W okresie tym inspirującą rolę odgrywał czynnik polityczny, ale brakowało pieniędzy, toteż rezultaty były połowiczne.

Wytworzona po wojnie nowa sytuacja polityczno-gospodarcza nie ulega właściwie zmianom przez 40 lat: jest władza, która ma dobre chęci, są — w niektórych okresach — finanse i więcej niż skromne możliwości technologiczne — ale przez cały czas brakuje najważniejszej siły, tej siły, która w XIX wieku potrafiła przekształcić spokojne, zapomniane miasteczko w przemysłową potęgę — chodzi o czynnik ekonomiczny. Ten brak, to ciągle sprawa podstawowa. Bez tego nie będzie równowagi, a więc harmonijnego i szybszego rozwoju miasta. Bez tego nie usuniemy konfliktu rozwojowego, przed jakim stanęliśmy: Śródmieście, po wojnie rezerwu mieszkalny i przemysłowy, mające wtedy przewagę wszystkich standardów nad obrzeżami, stoczyło się teraz do roli kopciuszka. Czy ten konflikt rozwojowy zostanie usunięty przez wybudowanie 3 czy 5 wieżowców w centrum Łodzi? Nie! Zbudowano je, bo dają prestiż.

Z. LIPSKI: — Niedawno byłem sędzią w konkursie na śródmieście Giżycka. Jest to pięknie wkomponowane w pejzaż miasto, lecz władze doszły do wniosku, że trzeba w samym środku wybudować wieżowiec, bo podnieśli się w ten sposób jego rangę. Fachowcy im mówią: zepsujecie sylwetę od strony jeziora Niegocin. Nie słuchają... W Łodzi też prestiż wymagał, abymy mieli najwyższe budynki mieszkalne w Polsce. No i mamy — ale jak nie tam mieszkać?

Jeszcze z przełomu lat 60. i 70. pozostała nam spuścizna, z którą musimy się uporać. Mnie się dziś wydaje, że ta zaszłość w postaci nie dokończonych projektów SDM, rejonów ulic Adama Mickiewicza i Romualda Traugutta, została wtedy jakby zrzucona z nieba, na spadochronie, bo władza dostała pieniądze i chciała mieć prestiż. Teraz z kolei władza mówi: owszem, chcielibyśmy, ale nie ma pieniędzy. Nieprawda, pieniądze są! Drzemia ukryte w kieszeniach i umysłach. Trzeba tylko znaleźć sposób, żeby się ujawniły.

KAZIMIERZ BALD: — Chciałem przypomnieć kilka faktów z okresu powojennego kształtowania się rozwoju przestrzennego Łodzi. Nie zawsze sobie uświadamiamy, że zmiany to nie tylko coś od nowa budowanego. Zrealizowano przecież program rozgęszczenia (w krótkim czasie ubyło ze Śródmieścia blisko 100 tys. osób), skrócono z zamieszkiwaniem w piwnicach i na strychach (teraz ponownie odkryliśmy strychy jako wspaniałe wynalazek, zapominając, jak wielkim osiągnięciem było zlikwidowanie poddaszy). Obecnie, po 40 latach, cała ogromna Łódź ma mniej więcej tylu mieszkańców, ilu przed wojną zamieszkiwało centralne rejon miasta, wewnątrz obszaru, zakreślonego linią kolei obwodowej. Wystąpiły więc istotne zmiany, mimo iż nie było inwestycji.

Co się tyczy następnych etapów rozwoju, trzeba przypomnieć, że mamy w planowaniu przestrzennym Łodzi do czynienia z pewną stabilizacją koncepcji. Kolejne plany są kontynuacją poprzednich, stanowią ich uzupełnienie i rozwinięcie w tych kierunkach, które podyktowały potrzeby rozwoju. Było, oczywiście, kilka milowych kroków. Rok 1961 — pierwszy po wojnie plan zagospodarowania przestrzennego, który był naprawdę przełomowy, bo określił rozwój miasta na obrzeżach, w nowych dzielnicach. Następnie, w 1970 roku pojawia się koncepcja nowego planu, zatwierdzonego w dwa lata później. Stworzył on właśnie podstawy programu modernizacji, realizowanego w dekadzie lat 70. Inna rzecz, że realizację programu, wybiórczo skierowanego środki finansowe, przede wszystkim do sfery produkcyjnej. Następny plan z 1975 r. integrował Łódź z jej aglomeracją. Pieniądze przyznawane na przebudowę Śródmieścia dość szybko się wyczerpały. Począwszy od drugiej połowy lat 70. rozpoczyna się okres, który trwa do dziś a który można określić jako najsumniejszy: po prostu coraz mniej dzieje się w Śródmieściu.

M. WISNIEWSKI: — Ten najsumniejszy okres, o którym mówisz, nastąpił niemalże bezpośrednio po zatwierdzeniu w 1974 r. przez Radę Narodową planu zagospodarowania Śródmieścia, którego opracowania się podjąłem. Czyli, że sam fakt posiadania programu, czy też wizji, nie załatwia jeszcze niczego...

K. BALD: — Co nie znaczy, że nie powinniśmy mieć planów. W przypadku Śródmieścia, taki plan istnieje. Problem w tym, że należy go zaktualizować, dostosować do nowych warunków, a co najważniejsze uruchomić mechanizmy sprzyjające realizacji planu.

— Ale jak to zrobić w obecnej sytuacji, jak znaleźć środki?

Z. LIPSKI: — Trzeba, aby władze miasta prowadziły w tej mierze właściwą politykę, ukierunkowaną na wykorzystanie przedsiębiorczości obywateli. Dlatego nie oddać w wieczystą dzierżawę budynki lub nawet grupy budynków — ludziom, którzy zechcą je wyremontować. Zrobia to, gdy będą mieć pewność, choćby w tym, że nikt im mieszkania nie przedzieli na pół, gdy okaże się, że przekracza ono przyjęte normatywy. Istnieje w Śródmieściu duża ilość wolnych miejsc, gdzie stosunkowo tanim kosztem, przy użyciu tradycyjnej technologii, da się wybudować nowe budynki, wkomponowane w starą zabudowę. Oczywiście, jeżeli się za to weźmie na przykład wielka spółdzielnia, wnet okaże się, że jest to przedsięwzięcie nieopłacalne. Ale dlaczego

ma się tego nie podjąć jakoś mała spółdzielnia, jeśli tylko bank zapewni kredyty, czemu nie zakład pracy, firma polonijna, spółka akcyjna, zrzeszenie osób prywatnych? Czy nie byłoby dla miasta opłacalne, oddać im nawet za darmo działki w Śródmieściu, stawiając tylko warunki co do rodzaju zabudowy? Jest to przecież tylko kwestia polityki. Gdyby w Śródmieściu pojawiła się szerzej nawiązując do warunków co do rodzaju zabudowy, to modernizację infrastruktury technicznej, bardzo teraz zapuszczoną. Nie są to rzeczy niemożliwe. Dalej: taki „powrót” do Śródmieścia umożliwi oszczędności, o których się nie mówi, bo trudno je ująć w bilansie — przecież ze Śródmieścia jest wszędzie najbliżej, nie trzeba nowych tras komunikacyjnych, można wykorzystać istniejące obiekty szkolne i inne usługi. Reasumując: należy rozbudzić inicjatywę ekonomiczną różnych grup ludności i przedsiębiorstw. Jest tylko problem otwarcia tej drogi.

ANDRZEJ GAWŁOWSKI: — Łatwo krytykować „wielką płytę” i związaną z nią koncepcję rozgęszczenia poprzez wyjście na zewnątrz, na obrzeża miasta. Krytykujemy jako ludzie o pewnym doświadczeniu, ale wtedy, na początku lat 60., wydawało się prawie wszystkim, że prefabrykacja niesie z sobą szybki wzrost budownictwa. Dzisiaj pragniemy powrócić do Śródmieścia. Jak to uczynić? Myślę, że słusze dokonano tu podziału na czynnik finansowy i ekonomiczny, bo przez lata były one ze sobą błędnie utożsamiane. Zatrzymam się na chwilę przy ekonomii. Szczególnie ważna jest ustawa o podejmowaniu działalności gospodarczej. Nie wystarczy jej uchwalenie przez Sejm — lokalne władze mu-



Foto: Grzegorz Galasinski

szą dać w tej sprawie impuls, bo „stare” dość mocno się trzyma. Zawsze u nas można było przypaść łatką: nowobogacy, milionerzy, budują się, żeby ludzi w oczy kłudo. Trzeba z takim myśleniem naprawdę skończyć. W tym celu, uważam, potrzebny jest stały nacisk na władze wykonawcze, uformowanie się pewnego rodzaju lobby, pilnującego interesów Śródmieścia. Wracam teraz do finansów. Niezbędne jest pozyskiwanie ciągle zwiększających się środków na remonty. Na deszcz złotych z „centrum” nie ma jednak co liczyć...

— A właśnie, co ile można liczyć na dodatkowe możliwości finansowe, związane z nową ustawą o radach narodowych?

A. GAWŁOWSKI: — Widzę pewną szansę dla Łodzi, bo miasto zgodnie z nowymi zasadami, powinno otrzymać więcej pieniędzy, kosztem innych województw. Dotychczas, pod względem wielkości środków, wpływających do kasy miejskiej po redystrybucji z „centrum”, byliśmy za pierwszą dziesiątką. Teraz zasila nas suma proporcjonalnie do dochodu narodowego wytworzonego, a w tym jesteśmy na trzecim miejscu w kraju. W dalszej perspektywie otrzymamy więc środki adekwatne do potencjału przemysłowego, jaki znajduje się w województwie. Ale nie będzie to dużo więcej, biorąc pod uwagę ogromne potrzeby i inflację — zwłaszcza w kilku pierwszych latach. Poza tym... byłem radnym, znam mechanizmy powstawania planów społeczno-gospodarczych. Wyniosłem przekonanie, że jeśli nie będzie zdecydowanego nacisku na realizację celów, uznanych przez ogół za ważne, to administracja będzie działać po staremu, pchając środki tam, gdzie najłatwiej o wizualne efekty, a więc w nowe osiedla, prestiżowe budowle. Dlatego, powtarzam, utworzenie społecznego lobby na rzecz Śródmieścia ma — według mnie — głęboki sens.

Z. LIPSKI: — Wyobraź sobie sytuację, gdy przychodzi grupa ludzi i mówi: chcemy budować dom, czy można akurat w tym i tym miejscu? Pieniądze — odpowiadamy — budujcie. I co, co dalej? — Cisza. Sprawami budownictwa zajmuje się tyle instytucji i wydziałów, że oni w tym utoną. Może potrzebna jest zupełnie nowa — powiedzmy — firma, podporządkowana Radzie Narodowej, realizująca całokształt politykę, określoną przez radnych?

K. BALD: — Nie, tylko nie jedna firma czy instytucja, która w imieniu miasta będzie się tym zajmować, znowu w całości. Potrzebne są setki różnorodnych inicjatyw, mieszczących się w nowych, korzystnych mechanizmach ekonomicznych, umożliwiających efektywne działania. Większe środki z Rady Narodowej na remonty, to również tylko jedno z działań. Chcemy utworzyć lobby. Trzeba jednak wiedzieć, co powinniśmy osiągnąć. Czy potrzebne są jakieś wizje, albo jednorazowe decyzje administracyjne? Ile już było tych wizji, ile uchwał partyjnych, ile decyzji szczebla prezydenckiego! Jużemy naprawdę to przedsięwzięcie. Nie tędy droga. Powtarzam: lobby na rzecz Śródmieścia, jeśli takie powstanie, musi się starać o kreowanie mechanizmów

ekonomicznych, efektywnych, korzystnych dla osób podejmujących konkretne inicjatywy.

— Czy można podać choć w przybliżeniu, o jakie mechanizmy należy się starać?

K. BALD: — Zaczniemy choćby od podatków. Mamy na przykład w Śródmieściu obszary, na których od lat gospodaruje się ekstensywnie: jakieś magazyny, składnice, bazy transportowe. Aż się prosi, aby podnieść tam podatki do takiej wysokości, żeby po prostu przestało się im opłacać zajmować tak cenne tereny. W innym z kolei miejscu, na pustej dotąd działce, można by zwolnić właściciela na kilkanaście lat od podatków, pod warunkiem, że zamierza on przystąpić do budowy. Chodzi o to, żeby obszary Śródmieścia stały się cenne dla ich użytkowników, by doprowadzić do sytuacji, gdy o jedno miejsce bije się kilka osób, pragnących tam realizować działalność gospodarczą lub inne cele.

A. GAWŁOWSKI: — Poruszył pan rzeczywiście ważny problem ustawodawstwa lokalnego. Już stara ustawa o radach pozwalała na prowadzenie aktywnej polityki podatkowej; nowa ustawa zwiększa dalece te możliwości, ale są one ciągle w minimalnym stopniu wykorzystywane.

M. ZDROJEWSKI: — Panowie mówicie o pewnych automatyzmach gospodarczych, które powinny się wytworzyć. Boję się, że one jeszcze nie wystarczą, jeśli zapomnieliśmy, że trzeba też walczyć o kulturę myślenia i działania. Proszę panów, naprawdę mieliśmy w przeszłości wcale ładne pomysły, i one — myślę — powinny być się udać również w starym systemie, gdyby nie brak ciągłości w działaniu, brak szacunku dla dokonanych poprzedników, który odszedł ze stanowiska. Przed 10 laty mówiło się o przedłużeniu alei Tadeusza Kościuszki. Wiedziałem o tym, wprowadziłem się na ul. Franciszka Żwirki. Sądzę, że będzie to w przyszłości jedna z cichszych ulic. Jakże się pomyliłem! Podobnie pomyliłem się, gdy myślałem, że zdolał zainteresować władzę projektem stworzenia w Łodzi Trasy Reymontowskiej, od ulicy Piotrkowskiej, gdzie miał powstać dom kultury z ekspozycją poświęconą Władysławowi Reymontowi, i dalej, ulicą Mickiewicza (przy której znajduje się od niedawna Muzeum Kinematografii), do Rokiczin, gdzie dotąd stoi domek przy stacji, w którym odbywało się wesele Władysława Reymonta. Byliśmy już po licznych rozmowach, chcieliśmy nabyć stroje z filmu „Ziemia obiecana” do naszego muzeum, ścigać z obcych ambasad liczne filmy dokumentalne o Władysławie Reymonie (których, nawiasem mówiąc, Polska nie posiada). Okazało się wszakże, że taki projekt nikogo szczerze nie zainteresował. Nie wzięto pod uwagę, że Łódź aż się prosi o tego rodzaju projekty, że Śródmieście nie ma dotąd własnego domu kultury.

K. BALD: — To, o czym pan mówi, jest kwestią kapitalnej wagi. Jeżeli istnieją pewne zamiary, ogłaszane publicznie, należy to traktować jako zobowiązanie się władzy lokalnej wobec obywateli. Plan musi mieć wprawdzie społeczną akceptację, ale potem nie wolno się z niego wycofać. Jeśli jednak — z ważnego powodu — trzeba zaniechać z wcześniejszych zamiarów, rezygnując musi ponieść dodatkowe koszty na rzeczy tych, wobec których się zobowiązał. Tak w gruncie rzeczy nakazuje społeczny interes. Weźmy przecież przykład nie dokończonych al. Tadeusza Kościuszki — to nie jest sprawa braku środków, tylko braku uporu i konsekwencji. Ileż wydano już pieniędzy na remont np. tych okrajowych tras tramwajowych!

M. ZDROJEWSKI: — Co dwa lata są remontowane!

Z. LIPSKI: — Doszliśmy w ten sposób do ważnego momentu naszej dyskusji — do uświadomienia sobie, że problem Śródmieścia nie jest li tylko sprawą fachowców, ani tylko władz — jest sprawą obywateli miasta, społeczeństwa Łodzi. Ma ona stosunkowo młode tradycje, a wskutek wojny stała się uboższą o połowę swych mieszkańców. Łódźian, święcie przekonanych, że to najpiękniejsze miejsce na ziemi, jest — przypuszczam, mało. A przecież cudzoziemcy potrafili docenić piękno dziewiętnastowiecznej zabudowy. Trzeba zatem odblokować społeczną świadomość, uprzytomnić, że Śródmieście jest sercem miasta, a Piotrkowska st nowi jego symbol. Świadomie użyłem słowa „odblokować”, ponieważ w podświadomości społecznej gdzieś to tkwi, bo ludzie ciągną do Śródmieścia nie tylko na zakupy; czują, że tutaj jest prawdziwe miasto. My, fachowcy, powinniśmy szukać pomocy w opinii społecznej. Cenny jest pomysł ze „Świętem Piotrkowskiej” redakcji „Dziennika Łódzkiego”. Takich inicjatyw, ujawnianych na łamach prasy, powinno być więcej.

M. WISNIEWSKI: — Wracam do tezy o potrzebie równowagi wszystkich sił, kształtujących oblicze miasta. Dyskusja wykazała, jak ważne jest stworzenie przeciwwagi — w postaci czynnika ekonomiczno-finansowego — dla czynnika politycznego. Jedynie stworzenie takiej autentycznej przeciwwagi, może uruchomić samonapędzający się system. Dlaczego do tego wracam? Bo nie mam złudzeń, że przedsięwzięcia, które powinny zostać w Śródmieściu zrealizowane, powstaną innym sposobem — np. poprzez same tylko zabiegi władz. Le Corbusier, wybitny architekt francuski, dla realizacji wymarzonego przez siebie miasta współczesnego, zaprojektował również nowe, wspaniałe społeczeństwo. Utopijna wizja urbanistyczna i utopia społeczna zarazem. Wkrótce jednak nabrał pewności, że jedynym naprawdę wielkim urbanistą był Ludwik XIV, władca absolutny. Szukał takiego mecenatu na Wschodzie i na Zachodzie i — oczywiście — nie znalazł. Już zresztą po pierwszej wojnie światowej proponował rozwiązanie problemu mieszkaniowego we Francji poprzez wykorzystanie całego potencjału przemysłowego, wielką prefabrykację i — naturalnie — przedłużenie powszechnej mobilizacji. Zbliżone metody działań wystąpiły po II wojnie światowej — pod naciskiem ogromnych potrzeb społecznych, migracji do miast i w wyniku zniszczeń w wielu państwach Europy. Postępowano tak również we Francji, lecz mechanizmy ekonomiczne i społeczne już dawno zmodyfikowały i wzbogaciły formy i sposoby postępowania. U nas mobilizacja wciąż trwa, zaś władza nadal czuje się w obowiązku rozwiązywać problemy, nie zmieniając wszakże okoliczności i uwarunkowań własnej pracy. Dobrze by było, żeby choć częściowo zdążyła z siebie ten ciężar nie poprzez przerzucanie go na barki obywateli, lecz poprzez stworzenie takiego systemu gospodarczego, który go udźwignie. Dopóki tego nie uczyni, będzie, jak jest.

— Wspomniał pan o przedsięwzięciach, na które czeka Śródmieście. O jakie konkretne chodzi?

M. WISNIEWSKI: — Generalne zasady planu były następujące: najpierw należy usunąć konflikty rozwojowe, narosłe wokół centrum Łodzi, dysproporcje w stosunku do pozostałych dzielnic. Dotyczy to przede wszystkim stanu budynków, infrastruktury technicznej, układu komunikacyjnego. Potem — trzeba dokończyć, co zostało zaczęte, zalecanych rany spowodowane wyburzeniami, złagodzić dysonanse przestrzenne. Najlepiej gdyby „najpierw” i „potem” móc zrobić równolegle.

M. ZDROJEWSKI: — Ale nie tak, jak dotychczas budowano! Wiadomo już, że czynsz w „mrowiskowcach” na Manhattanie „C” wyniesie kilkadziesiąt tysięcy zł miesięcznie — o ile nie ograniczymy się do 10 pięter wysokości.

M. WISNIEWSKI: — Epoka wieżowców za każdą cenę już minęła, niemniej, musimy znaleźć sposób na doprowadzenie do końca rozrzuconych projektów. Dalej: bardziej szanować to, co nam zostawiła historia — nie niszczyć, nie burzyć, tylko harmonijnie wkomponować nowe budynki w istniejącą zabudowę. I — może najważniejsze — nie rozpraszać się. W Śródmieściu ważne jest przecież utworzenie reprezentacyjnych całości urbanistycznych, cieszących oko przechodnia i turysty. Niechże Łódź będzie wreszcie dumna, jeśli nie z całego Śródmieścia, to przynajmniej z jego dużych fragmentów!

— Dziękuję panom za udział w dyskusji. Mielijmy nadzieję, że przyczyni się ona do odwrócenia — oby jaki najszybciej — niekorzystnego biegu wypadków, do zaprzętkowania tego, co panowie nazwaliście „powrotem do Śródmieścia”.

Dyskusję prowadził i opracował:
ANDRZEJ GĘBAROWSKI

Gdy Marek Jaśkowicz zjawia się na zebraniach lub szkoleniach, grono jest wyraźnie poruszone. Ci, którzy go znają pochylają się w stronę sąsiadów i szepczą coś z uśmiechem. Inni pytają bez ogródek: — Co to jest? Kto to tu wpuścił? — Kręca się z niesmakiem w fotelach, przegryzając świadomość, że to coś należy do tej samej grupy zawodowej co oni. Dla tego grona Marek jest uosobieniem skandalu. — Za to patrolu milicyjne go lubią. W biały dzień przechodzą na drugą stronę zatłoczonej ulicy na jego widok. Pada krótkie: — Dokumencie. Marek pokazuje dowód. — Pracujesz w domu dziecka? — Tak. — Jak? — Jak? — Nie. Jako wychowawca. Chwilowa konsternacja i ręce z pewnym oporem wędrują do daszków. — Dziękujemy panu. Do widzenia. A wszystko przez włosy.

Marek i włosy

Zawsze nosił długie, chociaż nigdy nie identyfikował się z hipisami, ani ich krajową podrobką. Bawią go ci ostatni, zrzucający szkolne mundurki w pierwszy dzień wakacji, aby przez dwa miesiące pospłanować stylowymi ciuchami i minami zjedzonych przez hasz bywalców nowojorskich slumsów. Marka hipisi interesują wyłącznie jako zjawisko.

Przeczytał wszystko, co było u nas dostępne na ich temat. Smakuje wiersze Ginsberga, próbuje zrozumieć Biblię, studiuję Koran, bada hinduizm. Słucha ich muzyki. Głośny „Hair” oglądał w kinie ponad dwadzieścia razy. A włosy?

Traktuje je jako wyraz (— Tylko nie napisz: manifest) własnej osobowości. Gdy przyjmowano go do Domu Dziecka — warunkiem uzyskania pracy było strzyżenie. Obciął. Tyle że znów zapuścił po otrzymaniu etatu. Włosy są dla Marka probierzem małostkowości obcozności.

— Kto z ludzi potraczył na mnie z dezaprobatą wie, jaki jestem naprawdę. Mój wygląd im wystarczy, aby uznać mnie za coś gorszego.

Tak samo jest z wychowankami Marka. Oni nie mają kilkudziesięciocentymetrowych kędziarów, ale wystarczy, że powiedzą skąd są. Z domu dziecka? Wiadomo — złodziej, potencjalny alkoholik lub przyszła dziewczka. Takie opinie przeważają. Szczególnie tu — w podopolskiej Mieścinie. Ze świecą szukać człowieka, który myśli inaczej. Mieścina jest mizerna, zamknięta w sobie i podnosi głos tylko wtedy, gdy samochody przejeżdżające wiodącą tędy trasą międzynarodową ochlapują wiosną i jesienią elewacje domów przyklepionych do szosy. Reszta problemów to sprawy tutejsze. Zapiekło i załatwiane we własnym gronie. Dwie najważniejsze z nich to dzieci z przytulku i Marek.

Problem długowłosych indywidualistów, który w Europie jest legendą od dobrych kilkunastu lat, w Mieścinie nadal spędza ludziom sen z powiek.

Marek i Mieścina

Od czasu urodzin Marka Mieścina niewiele się zmieniła. Życie pulsuje odmierzone przejazdami ciężarówek i atrakcjami restauracji „Kaskada” — Mekki tutejszej rozrywki i kultury, w której rozleciała się smutki i podurzuja przyjaźnie. „Kaskada” tkwi w centrum, na placu Wolności. Przy nim trzy sklepy, kiosk „Ruch”, warzywniak, piekarnia, zakład krawiecki, szkoła, przystanek PKS i ceglana bryła kościoła. Wszystko pogrążone w letargu. Osłupiałe kundie, grzejące się latem na kamiennych progiach domów, poruszają się dopiero wtedy, gdy dzieci wychodzące ze szkoły odwijają drugie śniadanie. Dzieci kłaniają się obcym. Starsi ośmieszają oczy od słoneczka i patrzą na obcych badawczo, bez sympatii.

Rodzice Marka znani są tu jako ludzie uczciwi i pracowici.

— Tylko dzięki nim tolerowany jestem na marginesie tutejszego życia.

Wiele im zawdzięcza. Prości ludzie, którzy poza Markiem mieli jeszcze czworo dzieci — okazali się niezastąpieni w wychowaniu. Dzięki nim Marek wie, co to jest tolerancja.

W Mieścinie tolerancja nie miejska. Wszystko co inne jest złe. Wszystko, czego Mieścina nie rozumie — asnuje na skraj. Marek się skreślić nie da. Nie wyniesie się ani z Mieściny, ani z domu dziecka. Tu jest jego miejsce.

Marek i Dom Dziecka

Zetknął się z nim po raz pierwszy w podstawówce, przez kolegę z klasy, którego tu odwiedzał. Potem miał koleżankę, przychodził do niej i poznawał dzieci. Od tamtej pory zaglądał niemal każdego dnia. Często był tu, niż w domu rodzinnym.

Przyszła do szkoły średniej i kontakt się rozluźnił, gdyż Marek dojeżdżał do opolskiego Technikum Materiałów Wiązanych. Był dobrym uczniem, podobnie jak w szkole podstawowej. Ale ciągle mu czegoś brakowało, nie potrafił znaleźć się na rusztowaniu budowy. Coraz częściej myślał o Domu Dziecka.

Gdy po wakacjach zdawał na studia do Wrocławia — miał za sobą dwa miesiące spędzone w przytulku. Wakał z wspólnymi zabawami i zwierzeń. Poznawania kulkuletnich dramatów, które dla niego — obdarzonego szczególnym dzieciństwem — wywły się szokiem.

Marek i inne życie

Jeden z pierwszych kolegów Marka: — Chłopak tak wspaniały, że wątpię czy kiedykolwiek spotkam podobnego.

Przywiązany był przez ojczyznę do łóżka, musiał patrzeć na orgie, jakie tamten wyprawiał z matką, zapraszając do pomocy pijanych kolegów. Uciekał do „abii”, skąd ojczym transportował go do domu, przykucanego łańcuchem do roweru. Ojczym pedałował ile sił w nogach, a on musiał biec, bo łańcuch ciał skórze. Na miejscu czekało wyniszczone zadawanie bólu i kolejny „spektakl”. W końcu uciekł na dobre i trafił do Domu Dziecka.

Inny, miał siedem lat, gdy matka poszła w Polskę zostawiając pięcioro dzieci. Siedmiolat-

tek był najstarszy, więc zarabiał na zbieraniu butelek, wynajmował się do drobnych prac u ludzi, kupował ziemniaki, gotował je i karmił młodsze rodzeństwo. Przez pół roku jedli tylko chleb i ziemniaki. Po sześciu miesiącach sasiadzi zorientowali się i dali znać na milicję. Dzieci trafiły do Mieściny, ale kolega Marka odszedł z Domu Dziecka w wieku 18 lat, zostawiając czwórkę rodzeństwa, tylko po to, aby zająć się nową trójką przywiezioną przez matkę z kilkuletnich wojaży. Niedawno urodziło się czwarte. Ale on już nie wytrzymał. Jedzie do wuja, do Gliwic i tam podejmuje pracę w kopalni. Dorobi się, przez sąd zabierze matkę całą siódmką i wychowa na ludzi.

Kolejny kolega Marka trafił do Domu Dziecka prosto z meliny i to stało się jego życiowym przekleństwem. Skończył zawodówkę.

— Mało kto idzie do technikum albo liceum. Najzdolniejsi chcą być murarzami, bo to pozwoli im żyć na własny rachunek.

Poznał dziewczynę z takiej samej rodziny jak on. Pobrali się. Wszystkie pieniądze jakie przynosił do domu, jej rodzice przeznaczali na wodkę. Mówili mu:

— Czego ty jeszcze chcesz wyrzutu? Przecież jesteś z domu dziecka. Byłeś i jesteś dziecinem. To i twoje dziecko też może być. Rozwiódł się. Też wybrał kopalnię.

Nie należy ludzi oceniać według ich powierzchowności, ale według tego, co robią i jak robią.

Jeden taki, który nie pasował do schematów

MACIEJ SIEMBIEDA

Można wiele opowiadać. O dzieciach katowanych do nieprzytomności z czystej pijackiej fantazji. O dzieciach uciekających przed rodzicami, gdy przyjadą do Domu Dziecka w odwiedzinie. O dzieciach pojętych jablem w wieku dwóch lat, — potem podkurczonych na polach sąsiadujących z Domem Dziecka. Tylko po co?

Lepiej zamazać tamten świat. Udowodnić im że nie mają żadnego związku z tamtym życiem. Lepiej leczyć zapiekłe rany i nie dopuszczać, aby z ich powodu czuli się gorsi od innych. Lepiej pokazywać im wartości prawdziwe, tkwiące w nich samych.

— Bo oni wszyscy są wartościowi i muszą stać się normalnymi ludźmi.

Z Tomkiem i jego rodzeństwem było tak: przyszli do Domu Dziecka dość dawno temu. Rodziców nie pamiętali, chociaż wiedzieli, że żyją gdzieś pod Warszawą. Marek znał ich jedynie z raportów kuratora, w których niezmienne powtały się przyczyny, z powodu których trójka rodzeństwa znalazła się w Domu Dziecka: awantury, pijanstwo, nierząd. Gdy zaprzyjaźnił się z Tomkiem, chłopak ciągle opowiadał o domu, usprawiedliwiał rodziców, twierdził, że nie mieli warunków do ich wychowania.

— Najgorsza matka lepsza jest od najlepszej wychowawcy.

Tomek bardzo tęsknił. Marek postanowił zadziałać wtedy na własną rękę. Nic nikomu nie mówiąc, zdobył adres wsi koło Rawy Mazowieckiej i pojechał. Wrezył matce fotografie dzieci. Potem długo rozmawiali i ona płakała. Po jakimś czasie chłopcy pierwszy raz pojechali do

domu. Tomek otworzył drzwi i powiedział do zdziwionych ludzi wewnątrz:

— Dzień dobry. Jesteśmy waszymi synami. Nie widzieliśmy się 10 lat, to i nas nie poznacie.

Od tego czasu jeżdżą systematycznie wszyscy troje. Rodzice czynią starania o odzyskanie straconych praw.

Marek i wychowanie

Egzaminy wstępne na studia oblał. Wrócił do Mieściny. Znow zaczął prawie całe dnie spędzać w Domu Dziecka, gdzie nie był gościem, mile widzianym. Oczywiście nie przez dzieci. Te wręcz go uwielbiały. Akurat ogłoszono stan wojenny i trzeba było podjąć jakąś pracę. Wszystko jedno jaką, choć był już zdecydowany i zamierzał przez te kilka miesięcy przygotowywać się do egzaminów wstępnych na pedagogikę otwierającą mu drzwi do Domu Dziecka.

Było wolne miejsce w jednym z opolskich biur. Przyjeżdżał go z rezerwą. Po kątach szepotało się o jego podejrzanym wyglądzie i długich włosach. Kłóregoś dnia dyrektor biura podsunął Markowi pod nos dokument — rodzaj deklaracji dla podejrzanych pracowników. Albo — albo. Podpisał.

Potem musiał robić to jeszcze wielokrotnie. Były chwile, że zwolnienia Marka wręcz żądano. — Marek nie może, się w kuratorskich segregatorach i nigak nie odpowiada pojęciu wychowawcy. Nie uznaje np. pojęcia grupy. — Przecież każdy z moich wychowanków to wielkan kompleksów, wrażliwości i przeżyć różnych w każdym. Jak można sprowadzać ich do wspólnego mianownika?

Psychologii Marek uczy się sam. Najlepszym podręcznikiem są jego podopieczni. Wspólnie z nimi szuka wartości duchowych pozwalających odkryć własną osobowość i uwierzyć w siebie. Razem czytają, poezję, słuchają muzyki. Psychologia Marka sprowadza się do konieczności poznania samego siebie. Daje chłopakom dużo wolnego czasu, co jest niepedagogiczne, ale jemu pozwala na znakomitą obserwację wychowanków.

Spostrzeżenia w Domu Dziecka trzeba zapisywać. Marek się z tym konsekwentnie nie godzi i odmawia prowadzenia zeszytów obserwacji. O tym, co wie na temat każdego z nich — chętnie porozmawia z każdym metodykiem i wizytatorem. Ale zapis wał nie będzie. Tworzenie raportów, dossier wychowanków ułożonych z ran i blizn psychicznych — nie w Marka stylu. Pachnie mu to nienuaturalnością. Przynajmniej nienuaturalnością. Dlatego Marek jest złym wychowawcą. Nie nadaje się. Ze starszymi dziećmi jest na ty, co też dyskwalifikuje go w oczach metodyków, „bo traci autorytet”. Markowi autorytet i respekt niepotrzebny. Dzieci go uwielbiają i uważają za przyjaciela. W Domu Dziecka nie ma potrzeby ogłaszania plebiscytu na najlepszego wychowawcę. Ale kuratorium to nie wystarczy.

Kiedy konflikt przychodzi, dyrektor odetchnął. Bo dyrektor zawsze był z Markiem. Kiedy przychodziły kolejne sugestie i monity jego zwolnienia — dyrektorowi raz zadziwała ręka. Pomyślał: Podpiszę i raz będzie spokój. Ale nie podpisał.

— Ja w Marka wierzę — powie dyrektor. I doda: też miałem kiedyś długie włosy.

Marek i praca

Jest wartość. Tyle że trzeba ją rozumieć. Trzeba ją uczyć. Kiedyś kazano mu z grupą posprzątać podwórce i Marek zrobił eksperyment. Zamiast wydać polecenia, zabrał chłopców na spacer i podczas jakiejś opowieści zauważył mimochodem: popatrzyć jak tu brudno. Migiem było po robocie.

— Oni zamiatali, a ja myślałem, czy ich przypadkiem nie oszukuję. Wtedy któryś podbiegł i zawołał: Marek! Z tamtej strony domu jest jeszcze gorzej. Skoczmy tam posprzątać.

Do pracy nie wolno przymuszać, bo inaczej traci swój sens. Marek znalazł go w życiu, teraz omaga szukać dzieciakom. Uczą się patrząc na niego: pracuje od świtu do nocy. Nie nawidzi wolnych dni. Zarabia, ale pieniądze to tylko środek. Rzadko ma grosz przy duszy. Kupił sprzęt stereo, który służy dzieciom. Własnymi książkami uzupełnia bibliotekę, z której korzystają. Uczy szanować pieniądze. Kiedyś jednego ze starszych wychowanków kradł na Węgry.

— Zauważyłem, że bez sensu traci pieniądze. Powiedziałem: Jacek, składaj, to latem skoczmy na wycieczkę. Z zapomogi i wynagrodzeń za praktykę w szkole odłożył tyle, że ukręcił mu starczyło.

Marek i inne pojęcia

Dom Dziecka. Problem trapi go od dawna. Nie może zrozumieć, dlaczego planowany niedługo sierociniec stał się przechowalnią dzieci nie chcianych. W Mieścinie jest około 30 dzieciaków. Wszystkie są sierotami społecznymi. 70 proc. trafiło tu ponieważ rodzice piją lub prowadzą życie nie dające możliwości wychowania. 30 proc. to inne przyczyny. Również takie, jak brak warunków materialnych czy mieszkaniowych.

Muzykoterapia. Gdzie indziej — w domach dziecka dają wspaniałe rezultaty. U nas mało kto o niej wie. Mamy jeden podręcznik i jednego wykładowcę uniwersyteckiego. Marek prowadzi ją po wojemku. Dzieci słuchają Dyłana i Cohena nie dlatego, że to modne i na czasie. Patrzyli powiedzieć, co to jest i skąd się wzięło. W muzyce znajdują spokój i człowieka.

Dylematy wychowawcze. Marek uważa, że wiele z nich można uniknąć przez zatrudnianie w domach dziecka odpowiednich ludzi. Praca tu powinna być rodzajem powołania. Marek zna różne domy dziecka. Zna wychowawców, którzy czynią dzieciom więcej krzywdy niż pożytku. Zna nauczycieli, którzy w szkole wprowadzają podział na dzieci normalne i dzieci z przytulku.

Marek i przyszłość

W Mieścinie chodzą słuchy, że ktoś się dobrze postarał, aby Marka powołali do wojska. O sam się nie wykrecał, jak sądzą niektórzy. Prosił o odroczenie, bo chciał poczekać, aż najstarsi z jego grupy osiągną pełnoletność i pójdą na swoje. Chciał nim pokierować, nie dopuścić, aby trafili do hoteli robotniczych, gdzie zmarłowało się tylu ich poprzedników. Odroczenia nie dostał.

Wychodził do cywila za kilka miesięcy. Wraca do Domu Dziecka. Niektórzy liczą, że wojsko zmieniło go i wychowało. Inni w to nie wierzą, ale ciężko się przynajmniej tym, że przez kilkanaście miesięcy bez przerwy strzygą Marka na zapakę.

P.S. Nazwa miejscowości została zmieniona.

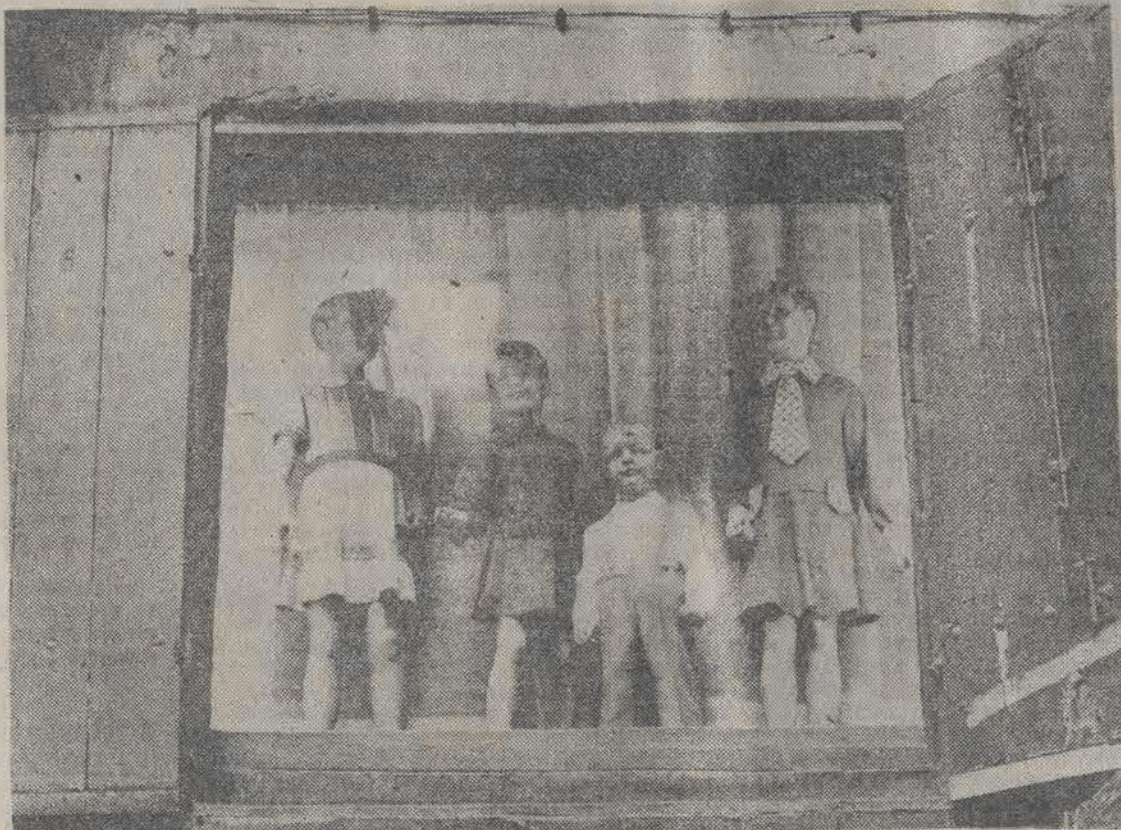


Foto: K. Turonicki

Pisałam już kiedyś, że nie należało do zwolenników pornografii. Jestem zdecydowana przeciwko publicznej pokazywaniu najbardziej intymnych części ciała ludzkiego. Nawet naturyzm uważam za formę demonstracji. Dlatego nigdy nie byłam i nie pójdę na plażę naturystów. Próbuje jednak zrozumieć ten ruch i jestem w stanie go tolerować.

Publiczne rozbieganie, osiwanie z nagością i pornografią zmniejszają ciekawość i napięcie, bez których nie ma prawdziwej miłości. Wszystkie chyba kobiety były nagabywane w czasach szkolnych, żeby pokazywały swoją intymność. Przy czym im większy stawiali opór, im bardziej były stanowcze i nieprzystępne w tej sprawie, tym większe budziły pożądanie i większym cieszyły się szczeniakiem.

Mężczyźni nie cenią łatwych kobiet.

Bardzo to śmieszne i wstydliwe, że młodzi chłopcy usi-

niebieszczko koszuili nocej nie-
czym dym nad ogniskiem, mig-
nęła w spojeniu nóg rozpalona,
przepastna czerń i już zimna,
śliska koldra wpełzła skrycie
na dziewczynę.

Wicio z wrażenia puścił się
futrą okiennej i runął w
dół prosto na psa. Z domu wy-
szedł pułkownik Nalecz w szla-
froku, lecz nikogo nie dojrzał
w świetle latarki. Wystraszone
i obolałe Wicio poszedł przez
las do domu. Po drodze spotkał
nieznanego człowieka, który
opowiedział mu swoje dru-
gie życie. Ów nieznanomy wie-
dział już, że Wicio i Alina będą
się kochać straszliwie aż do-
m. Niestety, nie dokończył
zdania.

W dzisiejszym zepsutym świcie
są ludzie, którzy bardzo
chętnie podpatrują stosunki
seksualne innych (na filmach
lub w rzeczywistości). Niektórzy
tylko w ten sposób doznają
rozkoszy i orgazmu. Podobno
również Elvis Presley lubił
podglądać swych kolegów u-
prawiających miłość z mło-
dziutkami dziewczynami. Są to
już wyraźne dewiacje wynika-
jące z zazwyczaj z rozpustnego

po ejakulacji. Jeszcze raz po-
budził się odważnie, biczując
się łańcuchem lubieżnych wyo-
brażeń próbował rozbudzić pod-
niecenie, biorąc do ust jej sut-
ki, to znów bijąc jej ciało po-
kryte mydłem, potem i pia-
skiem, niby smarem zmiesz-
anym z opilkami żelaza.

Miał zamiar prowadzić tę grę
przynajmniej przez dwie go-
dziny. W końcu kobieta zaczęła
się uskarżać na ból —
szczękając zębami osunęła się
bezwładnie na ziemię. Wszedł
na nią od tyłu, kulaąc się niby
zając, i zakończył wszystko w
ciągu kilku sekund.

W tym przypadku kopulacja
(co za okropne słowo!) była u-
koronowaniem długiej gry mi-
łosnej. Mężczyzna i kobieta od-
czuwali zmęczenie, i pragnęli
już tylko końcowego spełnienia.

W pierwszym moim artykule
na łamach „Ogłosów” (nr 32 z
1987 r.), który nieoczekiwanie
wzbudził ogromne zaintereso-
wanie, przedstawiłam taoistycz-
ną sztukę kochania. Według
tej koncepcji stosunek seksual-
ny powinien trwać bardzo dłu-
go. Mężczyzna musi mieć jed-
nak silną wolę i powstrzymy-

niejsze od przeżyć psychicznych,
od uczucia.

Wiele lat temu Herbert Mar-
cuse proponował rozróżnienie
seksualizmu od erotyzmu. W
pierwszym przypadku miłość o-
granicza się do sfery erogen-
nych, a w drugim wykracza po-
za bezpośrednie strefy erogen-
ne. W środowisku zurbanizowa-
nym, w cywilizacji miłość jest
bardziej seksualna niż eroty-
czna. Zupełnie inaczej wyglą-
dają zaloty na łące niż w sa-
mochodzie, inaczej poza mia-
stem niż na ulicach Manhattanu.
Herbert Marcuse był zwolennikiem
cywilizacji panero-
tycznej, w której całe ciało
człowieka byłoby źródłem przy-
jemności. Droga do tej cywi-
lizacji wiodłaby poprzez rene-
sans „polimorficznej aktywności
przedgenitalnej” oraz zanik
„supremacji aktywności płci-
wej genitalnej”. Najpierw na-
leżałoby jednak znieść ustroje
społeczne oparte na zasadzie
wydajności, nieludzkiej konku-
rencji i manipulacji, w których
nawet seks stał się wartością
rynkową.

W podobnym duchu pisała
Karen Horney. W sytuacji spo-
łecznej upatrywała przyczyn
nervicy, niepewności, lęków,
braku solidarności, uczuciowej
izolacji jednostki. Z pasją o-
skarżała społeczeństwa zachod-
nie:

„Współzawodnictwo dominuje
nie tylko w naszym środowisku
zawodowym, lecz wdziera się
także w nasze stosunki spo-
łeczne, w nasze przyjaźnie, sto-
sunki seksualne i rodzinne,
wnosząc załazek destrukcyjnej
rywalizacji, pogardy, podejrzli-
wości, zazdrości”.

Karen Horney urodziła troje
dzieci. Nie poświęcała im póź-
niej dostatecznie dużo uwagi,
ale odkryła wartość miłości ma-
cierzyńskiej. I dlatego nie mo-
gła zgodzić się z poglądem
Zygmunta Freuda, o czym szer-
zej piszę w następnym od-
cinku, że poród jest dla kobie-
ty jedynie namiastką braku
członka.

„Ja, jako kobieta, zapytuję ze
zdumieniem — a co z macie-
ryzmem? Z błogą świadomo-
ścią, że nosi się w sobie
nowe życie? Z niewysłowionym
szczęściem oczekiwania na po-
jawienie się tej nowej istoty?
Z radością, gdy wreszcie się
ona pojawi i po raz pierwszy
trzyma się ją w ramionach? Z
uczuciem rozkoszy i zadowole-
nia, gdy się ją karmi, ze
szczęściem, jakie się odczuwa
w całym tym okresie, kiedy
niemowlę potrzebuje matczynej
opieki?”.

Karen Horney (1885—1952)
miała sporo romansów. Przez
pewien czas była blisko zwią-
zana z Erichem Frommem. Ten
wybitny psycholog (był może
najwybitniejszy w XX wieku)
stworzył wspaniałą teorię mi-
łości. Ale nie będę o tym pisa-
ła, ponieważ książka „O sztuce
miłości” została wydana w Pol-
sce w 1971 roku, w popularnej
serii „Biblioteka Myśli Współ-
czesnej”, i powinna być dobrze
znana. W każdym razie błyska-
wicznie zniknęła z półek księ-
garskich. Na giełdzie kosztuje
dziś 1300 zł.

Wracam jeszcze do rozróżnie-
nia seksualizmu i erotyzmu.
Seksualizm uważam za cywi-
lizacyjne wynaturzenie, spro-
wadzenie stosunków opartych na
miłości zachowań przynoszą-
cych jedynie ulgę, odprężenie,
rozładowanie napięcia.

**Seksualizm nie daje
poczucia trwałej więzi z
partnerem (partnerką).
W pewnym sensie stanowi
degradację
człowieczeństwa.**

Istotę seksualizmu wyraża w
literaturze Henry Miller. Kie-
dy w 1987 roku zacytowałam
w „Ogłosach” (nr 47) dwa
fragmenty jego prozy, wielu
czytelników było oburzonych.
Pomstowali również na Daniela
Passenta i jego gości z redak-
cji „Literatury na Świecie”,
którzy w telewizji pochwalili
wydanie fragmentów powieści
Henry’ego Millera. Pewien czy-
telnik poinformował redaktora
naczelnego, że zmuszony był
schować przed dziećmi „Ogło-
sy” z moim artykułem „Nie o-
brzydzać seksu”. Było mi z tego
powodu przykro, lecz cieszę się,
że ludzie zachowali wrażliwość.
W przeciwieństwie do Daniela
Passenta i jego gości nie po-
chwalam wulgarnego języka w
literaturze erotycznej.



Mówi: Leszek Jezierski

— Gdy obejmował pan drużynę ŁKS, to zapowiadał pan wy-
sokie wyniki. Ale to się nie bardzo sprawdziło. Dlaczego?

— Zapowiadałem to trochę na wyrost. Ale myślę, że nie by-
ły one takie znowu odległe i nieosiągalne.

— Mistrzostwo Polski było jednak zbyt odległe. Ale już dru-
gie miejsce — osiągalne.

— Tak. Był jednak taki moment, który przeoczyliśmy w ŁKS.
Zbyt zaufaliśmy zawodnikom i to się odbiło na wynikach.

— Ma pan może na myśli ucieczkę Grzegorza Wleziaka?

— Nie. To się stało wcześniej. Nie wszyscy dorosli do roli,
jaką ich obdarzyliśmy. Ale to nie jeden powód. Po prostu ka-
dra, jaką dysponowałem w ŁKS jest niebawym wąską. Na
dodatek Stanisław Terlecki przeniósł się do Podkory Leśnej
i nie uczestniczył w treningach, co się natychmiast odbiło na
poziomie gry drużyny.

— Nie podejrzewa pan nikogo, że sobie pohandlował punk-
tami?

— Czy to zawsze można być pewnym? Zresztą tłumaczyli-
śmy zawodnikom, że jak by tylko kogoś przyłapali, to kara
będzie surowa. PZPN zbytnio nas nie oszczędza. Kary dla
ŁKS są surowe.

— Czy to przypadkiem nie przez to, że pan przyszedł do
ŁKS?

— Chyba nie. Przed moim przyjściem też klubu nie oszczę-
dzano. Sądzę, że wpływ na to ma fakt, że jestem nie-
wygodny, bo mówię, co myślę. Myślę raczej, że ŁKS ma po-
 prostu mniejszą siłę przebicia niż inne kluby w Polsce.

— Jak pan ocenia grę drużyny ŁKS w Intertoto? Powodów
do zadowolenia nie ma.

— Mogło być jeszcze gorzej. Ale widzi pani, do Intertoto
zgłaszałem drużynę ŁKS zimą, w zupełnie innej sytuacji. Mie-
rzyliśmy co najmniej w trzecie miejsce, premiowane rozgrywkami
w europejskich pucharach, wtedy drużynie byłoby nie-
zbędne obcyce na zagranicznych boiskach. A to właśnie da-
wała gra w Intertoto. No, a na grę teraz wpłynęło i to, że
kilku naszych zawodników pojechało z Wojciechem Łazarkiem
do USA. O braku kadry rezerwowej już mówiłem.

— Czyli można powiedzieć, że to dobrze, iż nie gracie w
europejskich pucharach? Bo mogła być kompromitacja.

— Nie oceniałbym tak sytuacji. Zaraz powiem pani dlaczego.
Otoż, gdyby ŁKS grał w pucharach europejskich, to dru-
żyna musiałaby być solidnie wzmocniona, i musiałaby się na
to znaleźć pieniądze. A ponieważ nie gra, to nie ma pieniędzy
nadaj.

— Wygląda to trochę na błędne koło. Jak pan zatem teraz
widzi przyszłość ŁKS w ligowych rozgrywkach?

— Mogłbym odpowiedzieć po prostu: jest, jak było. Ale to
nie wyczerpuje pytania. Widzę jedno wyjście. Drużyna musi
zdobyć takie miejsce, aby mogła grać w pucharach europejs-
kich. Zmienia się wtedy stosunek do niej. Każdy zawodnik
chętnie przyjdzie do klubu, którego drużyna gra w europejs-
kich pucharach.

— Bo się może pokazać na zagranicznych stadionach. Jaki
jest nasz stosunek do zagranicznych wyjazdów naszych pił-
karzy?

— Zawsze ich namawiam, aby działali legalnie. Ale COS za-
graniczne wojaże sportowców uważa za znakomitego sposobu na
zdobycie pieniędzy. Żąda ich tyle, że zagraniczni kontrahenci
szybko się wycofują. Tak „załatwiono” Darka Dziekanowskiego.
O tenuncjacji sprawie Leśniaka, lepiej nie wspominać.

— Zawsze miał pan krytyczny stosunek do władz sporto-
wych.

— Szczerze, że teraz — przy reorganizacji centrum — gdy
sport objął Aleksander Kwaśniewski, coś się radykalnie zmie-
ni, że stare sposoby działania zostaną przecięte. Ale nie
zmienia. Mam taką sytuację, że musimy po 2—3 latach
kupować własnego zawodnika za ogromną sumę.

— Jest pan konsekwentnie przeciwny kontraktowemu piłkar-
stwu?

— W takim wydaniu, jak teraz, tak. Nadal uważam, że
zawodnikowi trzeba płacić za wyniki, za wysiłek, ale nie z
góry obdarowywać go dużymi pieniędzmi. Proszę wziąć ŁKS.
Mówiła pani, że nie spełniliśmy oczekiwań. Sądzę, że 4 mie-
jsce w I lidze, to nie taki znowu zły wynik. Ale dla klubu
z tego nie ma nic. Zawodnicy natomiast nie mogą narze-
kać, im to się opłacało.

— Jest pan pewny, że nikt nie sprzedał meczu?

— Z tymi sprawami do trenera nikt nie przychodzi. Trener
może tylko na meczu ze zdziwieniem przecierać oczy. Ale, czy
ktoś kogo złapał za rękę?

— Zdarzyło się panu przecierać oczy ze zdziwienia?

— Albo to jeden raz? Nie mówię, że akurat podczas ostat-
nich meczów ŁKS, ale pod koniec ligowych rozgrywek, nie tyl-
ko pierwszej ligi, ówsem.

— Może pan powiedzieć, jakie to były mecze?

— Nie, gdyż nikogo nie złapałem za rękę, a władze PZPN
też nie znalazły powodów do ukarania. Mogę powiedzieć tylko
tyle, że czasem łatwo jest awansować do wyższej ligi, gorzej
się w niej utrzymać. Wiele jest klubów, których działacze ma-
ją wygórowane ambicje.

— Skąd się biorą na to pieniądze?

— Też się dziwię. I to tym bardziej, że trybuny są puste,
a pieniądze nie ubywa, przeciwnie — przybywa.

— Dokąd zmierzają reorganizacja gry w lidze?

— Mam zastrzeżenia i nie kryję się z nimi. Boję się te-
go sezonu, bo uważam, że będzie on tragiczny dla wielu klubi-
ków słabych finansowo, bez należytej siły przebicia. A trage-
dia polegać będzie na tym, że to nie poziom sportowy będzie
decydował o miejscu w lidze.

— Jeśli mówimy o poziomie sportowym, to jaka jest w tym
wina trenerów?

— Poziom obniża się we wszystkich niemal dyscyplinach.
Sport polski znika z mapy Europy i świata. Pewnie, że tre-
nerzy jakąś część winy ponoszą. Tym bardziej że usiłujemy
nieudolnie naśladować Zachód, co nie przynosi żadnych re-
zultatów. Ja trwam przy swoim programie treningu, opieram
go na naukowych ustaleniach i własnym doświadczeniu. Myślę,
że o meczach ŁKS można powiedzieć, że kilka było bardzo
dobrych, kilka dobrych, kilka beznadziejnych. Gdyby udało
się wzmocnić drużynę, to mielibyśmy szansę na niezły wynik.

— Jak pan widzi przyszłość reprezentacji?

— Jeśli Wojciech Łazarek oprze ją na tych zawodnikach,
którzy pojechali do USA, choć byli tam również piłkarze z
ŁKS, to czarno widzę. Reprezentację trzeba tworzyć w cza-
sie jesiennych rozgrywek I ligi. Anglia wydaje się być w
zasiegu naszych możliwości, kłopoty mogą już być z Albanią
i ze Szwecją.

— Czy nie ma pan dość płiki moźnej?

— Nie. Wierzę, że jeszcze będą pełne trybuny, piłkarze be-
dą mieć pieniądze i nikt ich nie będzie musiał pilnować.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

Na głębokie współczucie zasługują pary małżeńskie, których stosunki
seksualne trwają zaledwie po kilka minut.

Erotyzm i seksualizm

MIROSLAWA SARBIŃSKA

ja podglądać dziewczęta i ko-
biety. A one oburzają się, kry-
ją, zasłaniają, lecz tak napraw-
dę jest im przyjemnie, że se-
krety ich ciała kogoś niepokoi
i fascynują. Podpatrywanie by-
ło czymś zdrowym i pozytywnym,
choć rodzice i księża u-
ważali inaczej.

Piękny opis podglądania znaj-
dujemy w powieści Tadeusza
Konwickiego „Kronika wypad-
ków miłosnych”. Wicio zakradł
się późnym wieczorem do og-
rodu Aliny, wsadził psu do py-
ska podręcznik chemii, wspiął
się po kratownicy winogrodu i
ostrożnie zajrzał w okno na
poddaszu. Przez muslinową fi-
rankę obserwował nieświadomą
tego dziewczynę. Rozbięła się
przy małej lampie na nocnym
stoliku. Wicio pragnął, żeby to
misterium odbywało się jak
najwolniej.

„Dziewczyna rozpięta sukien-
kę na plecach i ściągając ją
sennym ruchem przez głowę.
A w tym ściąganiu przez głowę,
w tych miękkich, leniwych
gestach, jakby znanych nie
wiadomo skąd od zawsze, w
tych okrągłych manipulacjach
było tyle przejmującego piękna,
że świadomie zapamiętywał je
na całe życie, a właściwie na
wszystkie noce życia. Później
odeszły w mrok białe ramiona
stanki. Zobaczył jej plecy,
zdrętwił się na moment, że nie
są tak szczupłe, jak mogły się
zadawać skryte ubraniem. Spo-
strzegł ich miękkość, delikat-
ność, wstrząsającą odpychowość.
Zauważył skórę złotawą od
lampy albo od reszłorocznej o-
palenizny. Skórę blagą o
silne, czule ręce. Przez ułamek
sekundy zdumiał się spadzisto-
ścią jej ramion i zdążył pomy-
śleć, że takie spadziste, bez-
bronne ramiona będzie kochał
do końca życia. Wtedy ona
odwróciła się niespiesznie. Wi-
ciowi coś czerwonego zalało
oczy, może krew, może tępy lub
deszcz, a najpewniej przytłum
dzikiej emocji. Chciał to zoba-
czyć i zapamiętać, pragnął to
jak najdłużej mieć w oczach,
ale widział w jakichś strzepach
śródmiejskich czerwonych płam i nie
wiedział, czy to było, czy nie
było. Mignęły mu dwie pora-
żające obłaski obdarzone wła-
snym ruchem, zupełnie trójwym-
iarowe, rozczarzone do białości,
słodko bezwstydne, jakby nie-
bale, trochę sennie, ale groźne
dziwnym przecuciem, tajemni-
cze i znane od zawsze nie wie-
domo skąd. A obie miały usta
otwarte do krzyku, okrągłe
urazoworodzone wargi. I nie o-
twarte do krzyku, lecz jakby
stłone do podłuki. I nie by-
ły to jednak wargi, lecz złote
słupki śnieżnego kwiatu, a mo-
że tylko dwie wyniosłe kropki
miodu. Zaszamotała się jeszcze

przesyłu. Podobny charakter
mają tzw. seks-grupy

**Nadmierny liberalizm
erotyczny, osiwanie z
nagością i pornografią
prowadzą do zaniku
wrażliwości, zmysłowej, do
zobojętnienia na bodźce
sex appeal'u.**

Z tego względu nie przyjąłem
z entuzjazmem pierwszego pol-
skiego wydawnictwa pornogra-
ficznego, które przygotował zes-
pół redakcyjny „Reporter”. Z
zainteresowaniem natomiast
przeczytałam artykuł Karola
Jackowskiego pt. „Seks po pol-
sku”. Na podstawie badań doc. Z-
bigniewa Lwa-Starowicza au-
tor podaje, że czas trwania
stosunku seksualnego u 10 proc.
małżeństw polskich wynosi
mniej niż 3 minuty, u 55 proc.
małżeństw nie przekracza 10
minut, a tylko u 35 proc. wy-
nosi powyżej 10 minut.

Na głębokie współczucie, mo-
im zdaniem, zasługują te pary
małżeńskie, których stosunki
seksualne trwają zaledwie po
kilka minut. Jeśli aż dwie trze-
cie małżeństw w Polsce ma
stosunki trwające poniżej 10
minut, jest to fakt tragicznie-
czny. Tak krótkie stosunki ma-
ją sens tylko wtedy, gdy po-
przedzają je długie pieszczoty.
Erotyczne pieszczoty są zresztą
możliwe nawet w najtrudniej-
szych warunkach. W głosnej
niegdyś powieści Abe Kobo
„Kobieta z widym” Niki Jumpel,
uwieczony w jamie wśród nad-
morskich widym, myje dość
poważną kobietę około trzy-
dziestki. Nie jest to jego żona.

„Zaczął od uszu, potem prze-
sunął dlonie pod brode; myjąc
plecy objął je jedną ręką do-
tykając jednocześnie piersi. Ko-
bieta krzyknęła i opierając się
o jego piersi i brzuch osunęła
się na kolana. Była to niewąt-
pliwie pozycja oczekiwania.
Lecz mężczyzna wcale się nie
spieszył. Z rozmysłem, powoli
przesuwał palce z miejsca na
miejsce, masując dokładnie.

Podniecenie kobiety udeiliło
się i jemu. Lecz teraz — ina-
czej niż zwykle — odczuwał
dziwne stęzenie smutku. Kobieta
płonęła, jakby otoczona ja-
chmurą świetlików. Zawiesił ją
teraz — to tak jakby nagle
strzelił w plecy uwolnionego
skazańca. Mężczyzna zachowy-
wał się więc jak szalony, bi-
czując swoje budzące się zmy-
sły.

Lecz perwersyjne namietności
mają także swoją granicę. Ko-
bieta, która początkowo nalega-
ła, teraz zaczęła przejawiać nie-
ukrywany lek przed jego sza-
leństwem. Mężczyzna także czuł
się całkowicie wyczerpany, jak

wał ejakulację. Nie wolno mu
lekkomyślnie tracić nasienia.
Po wytrysku jest bowiem wy-
czerpany i nie zawsze zdolny
do dalszej aktywności seksual-
nej.

**Mistrzowie taoizmu radzili,
żeby stosunki odbywać jak
najciszej i jak najdłużej,
lecz ograniczać przy tym
ejakulację.**

Im starszy mężczyzna, tym
większa musi być różnica mię-
dzy liczbą kontaktów seksual-
nych a liczbą ejakulacji. Jeśli
oboje tego pragną, to mogą się
kochać nawet kilka razy dzien-
nie, nie dopuszczając do wcześ-
nych i zbyt częstych wytrysków
nasienia. Szczególnie należy u-
nikać ejakulacji podczas mro-
żnych zim. Natomiast w okresie
włosny można mieć wytrysk raz
na kilka dni.

Obustronne korzyści z tak u-
prawianej miłości są oczywiste.
Przed wszystkim mężczyzna
jest bardzo sprawny fizycznie i
wciąż gotowy do odbywania
kolejnych stosunków. Kobieta z
kolei ma gwarancję pełnego za-
spokożenia i — co dalej naj-
ważniejsze — czuje się kocha-
na i bezpieczna. Wiadomo prze-
cież, że kobiety wyżej cenią
miłość i macierzyństwo niż zre-
dukowany do biologii seks.

Zaletą stosunków bez ejaku-
lacji jest również to, że odby-
wają się w sposób naturalny:
bez środków antykoncepcyjnych.
Najlepsze nawet prezerwatywy
nie dają pełnej satysfakcji
mężczyźnie i kobiecie. Tylko
nagi członek w pochwie jest
źródłem absolutnej rozkoszy.
Prezerwatywy są dobre i ko-
nieczne dla poszukiwaczy przy-
god erotycznych, bywalców do-
mów publicznych i prostytutek,
czyli dla tych, którzy nie bez
racji obawiają się chorób we-
nerycznych, bądź śmiertelnego
wirusa AIDS. Natomiast inne
sztuczne środki antykoncepcyj-
ne nie rzadko wywołują różne
powikłania w organizmie ko-
biety.

W cywilizacji współczesnej
jest moda na posiadanie więcej
niż jednego partnera (partner-
ki) seksualnego. W tym dążeniu
do mnożenia partnerów
(partnerek) oraz w rosnącej to-
lerancji wobec życia seksualne-
go i dewiacji seksualnych upa-
truje przyczyn zaniku auten-
tycznej miłości. Nadmierna to-
lerancja oraz swoista poligynia i
polandria prowadzą — jak to
określił Ernest Fischer — do
seksualności samotności, bądź
seksualności gry towarzyskiej.
Prawdziwą miłość wypiera
chłódny, oziębły seksualizm
(cool sex) — zachowanie sek-
sualne jest zdecydowanie waż-

Ostatni konsulowie

Boże Te wlicze kty były wcześniej mlecznymi
zębami

Aby nie zatrzeć śladu po miejscu kaźni
Nie dajmy im opuścić naszego świata
Ani tym co do nich należa
Kiedy ostrzejszymi niż widły palcami
Wyszarpywali rozkosz z bezbronnych ciał

Ten namiot z krwi i dymu rozpięty tylko dla
siebie

Ogromny dramat śmierci i miasta świata
Ma za kłownów tylko was których popis
popisuje się

I przemienia w tresurę kabotyńskich szat

O wspólny kawalek znaku zgrozy
Dla nich proszę

Nie więcej miejsca
Niż powierzchnia zmieścić nazwiska i daty

I pytanie ożary z bezimiennych grobów
Po co aż w tyłu mnie zabijaliście

Mnie nieodmiennie jednego.

Barbarzyństwem jest pisać
poezję. To tak, jakbym chciał ob-
jaśnić zrywanie traw czy pospieszne
danie ręki ku morzu. Poezję na-
leży chłonać całym sobą. Wów-
czas dopiero odkrywamy jej pra-
wę, ciepło światła i barwę. Od-
krywamy i ośmielamy się bogactwem
stałemu się poetom bodaj na kil-
ka ulotnych chwil.

Oto otwieram tomik kogoś, kogo
znam od dawna, a tak naprawdę
to nie znam wcale. Fenomen Wa-
syla Kocznowa jest czymś niez-

znanym, a pozostanie ambasadorem naszej
literatury w ZSRR tłumacząc pol-
skich autorów, umożliwiając druk
ich utworów w tamtejszej prasie,
w antologiach...

Długo ponownie — jak niegdyś o-
twieram kolejny tomik wierszy
Wasyli Kocznowa zatytułowa-
ny „Niebieskie strony świata”. I czy-
tam, i wglębiam się w precyzyj-
nie sformułowane, poddane zasku-
kającym myślowym asocjacjiom i
wertującym kartki ponownie wracam
do strof już raz czytanych. Nie,
nie dziwi mnie w polskich wiers-

stry, ale przecież i bardzo ludz-
ki portret. „Jestem brzemieniem”,
„Jestem przesłaniem i oczekiwa-
niem”, „Obracam kołami / niebie-
skie strony świata”, „Jestem star-
szy od was / o Polskę / o poezję”,
by w końcu w bardzo wstrząsają-
cym wierszu „Itaka” napisać:

Byłem mężem
i byłem ojcem
byłem uczonym i poetą
a tu jestem wszystkim i niczym

Myślę jednak, iż najdokładniejszą
charakterystykę daje w jednym z
najlepszych wierszy zatytułowa-
nym „Wasyli Błażenny”. Na placu
Czerwonym w Moskwie jest cer-
kiew pod wezwaniem Wasyli Bła-
żennego. Do niej wchodzi poeta,
także Wasyli. I oto następuje fan-
tastyczna metamorfoza: nie wiado-
mo kto jest kto — Wasyli Błażen-
ny jest Wasyliem Kocznowem, czy
też nagle Wasyli Kocznow, który
wrócił tu „po stuleciech”, jest o-
wym świętym mężem rozmawia-
jącym z carem młazem Groźnym.
To bardzo przejmujący i mądry
wiersz. Jednocześnie jest on sym-
bolem, ponieważ pomiędzy o-
wymi boginiami noszącymi imiona
Przeszłość i Przyszłość.

Mam wszelkie jedno zastrzeżenie
do tej książki: wydawca nie za-
dał by ten ciekawy, a na naszym
rynku literackim, nietypowy tomik
wydać trochę staranniej i na le-
pszym papierze.

EUGENIUSZ
IWANICKI

Wasyli Kocznow: Losy. Wyd. Łódzkie 1987. Str. 88. Cena 100 zł.

PESTKI
DYNI

Nie w tym nowego ani dziwnego, że ar-
tystom — tak jak i niektórym politykom —
leży na sercu losy świata. Każdy człowiek po-
siadający krzywe wyobraźnię, musi z niepokó-
jem patrzeć na to, co inni — a często i on
sami — wyrabiają z tą nieszczęsną planetą;
Planeta Ludzi — jak ją dumnie, romantycznie
i z optymizmem nazywał autor „Małego Księ-
cia”, Saint-Exupéry. Jak się na niej zachowa-
ją, co jej szykują w przyszłości i to wcale nie
takiej odległej. Artysty, najrozsądniejszego au-
toramentu wyobraźni mają dużo — ślad ostat-
nimi czasami tak częste ich uczestnictwo w ak-
cjach na rzecz ochrony środowiska, rozbroje-
nia atomowego i nieatomowego i tym podob-
nych spraw...

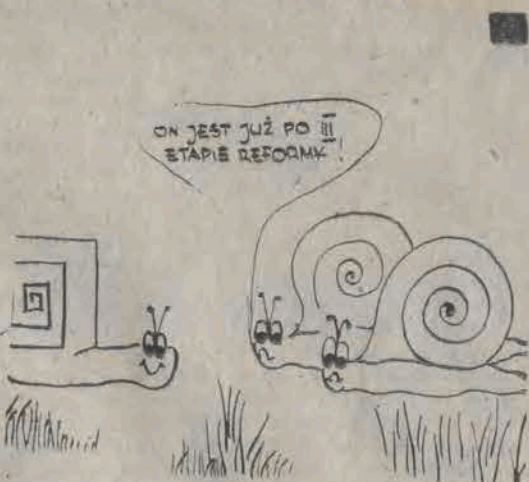
Chciałbym tu odnotować dwie rzeczy. Jedną,
to bardzo interesująca wystawa malarstwa pod
hasłem „ŚWIAT” w Domu Plastyka w Warsza-
wie. Zebrało się na niej sporo znanych naz-
wisk polskich artystów i w efekcie jest co
oglądać. Subiektywne wizje świata, który nas
otacza — od groźnych, apokaliptycznych do
optymistycznych przedstawień — zmuszają do
zastanowienia, sprawiając jednocześnie dużą
satisfakcję estetyczną. Dość rzadko się dziś
zdarza, aby wzniosłe treści i artystyczna for-
ma szły ze sobą zgodnie, w jednej parze. A na
wystawie ŚWIAT spotkałem kilka takich obra-
zów. To dużo.

Druga sprawa, to inicjatywa Ministerstwa
Ochrony Środowiska i Zasobów Naturalnych i
Muzeum Lotnictwa i Jeździectwa w Warsza-
wie, które organizują cykl Manifestacji
Artystycznej na rzecz ochrony środowiska na-
turalnego pod tytułem „Piękno ginącej przyro-
dy — sztuka w obronie środowiska”.

W manifestacji tej imprezy czytamy: „Problem
szkod ekologicznych i wynikającej stąd dewas-
tacji naturalnego środowiska człowieka, stał się
w ostatnich latach pierwszoplanową kwe-
stią egzystencji, palącą, oczywistą i groźną.
Jest to dziś zagrożenie zarówno ogólnospołeczne,
jak i ogólnowiatowe. W tej sytuacji koniecz-
na jest mobilizacja wszelkich środków i moż-
liwości przeciwdziałających tym negatywnym
zjawiskom. Sztuka powinna i może mieć is-
totny wkład w dzieło samochrony człowieka,
poprzez budzenie społecznej aktywności. Sztuka
już niejednokrotnie w historii odegrała taką
rolę. Problem jest publicznie prezentowany gło-
wnie werbalnie, brak jest natomiast przedsta-
wienia go środkami wizualnymi, artystycznymi,
którymi dysponują jedynie sztuki plastyczne”.

Akcja ma charakter ogólnopolski i będzie
powtarzana co dwa lata. Celem jej jest stwo-
rzenie publicznego forum artystycznego na te-
maty ekologiczne. Zatem do roboty, panowie
artysty...

ANDRZEJ GRUN



Niebieskie strony świata

wykrył nawet w naszych, takzschach Wasyli Kocznowa jego fa-
nastyk, czasach. Rosjanin
ukształtowany przez dwie kultu-
ry: rosyjską i polską. W wyniku
powyższego twórczość Wasyli
Kocznowa niemal zatraciła kon-
tury narodowe, a stała się w pełnym
tego słowa znaczeniu słowiańska.
A tym samym stała się uniwersalna.
Pro memorem podaje: debiutował
tomem wierszy rosyjskich „Pier-
wyj dożdz” w 1960 r. Potem, już
mieszkając w Polsce, wydał po
polsku „Listy i plaki”, „Mu-
sile” oraz zbiór eseistyczny pt.
„Uracuna Inomia”. Kiedy — pra-
wie po dwudziestu latach pobytu
w Polsce — powrócił do „swojej
ojczyzny”, znów polawił się wiers-
ze rosyjskie, które ukazywały się
w tomiku pt. „U rodných istoków”.
I tak już chyba zostanie, że w
poetyckiej duszy Wasyli Kocznowa
będą na przemian odzywały
się melodie nadwołżańskie i liry-
mazowieckie. Zapewne dlatego jest

W wierszach jest także wyzna-
nie wiary: poeta uznaje dwie od-
wieczne boginie — Przeszłość i
Przyszłość. Ale — zdaje się mó-
wić — poszukuje Bławy, tej trze-
ciej bogini, choć zdaje sobie spra-
wę, że nigdy nie dotrze do tej do-
skonałości, jak nie dotrą do swo-
jej Itaki. Jesteśmy bowiem wszy-
scy skazani na pięć aktów drama-
tu i musimy go odegrać gorzej
czy lepiej, ale odegrać do końca,
do opadnięcia kurtyny. A tu „Czas
nagłi wszystko na ziemi pędzi za
Czasem”.

Gdyby tomik „Losy” omawiał
zawodowy krytyk, napisałby za-
pewne, że Wasyli Kocznow czyni
w nim nie tylko swoje poetyckie
i filozoficzne wyznaczenie. W
wielu wierszach, mimochodem, po-
daje także własną charakterysty-
kę. Wylania się z tego bardzo o-

mięć te odniesienia trzeba najpierw przeczytać
„strzępy miedunków”.

Na pytanie, czy program wydawniczy przy-
gotowany z myślą o 70-leciu zlikwiduje wszy-
stkie białe plamy, prof. Garlicki odpowiada:
„Nie. Nie jest on tak szeroki jak by się mo-
gło wydawać i chyba nie taki jest jego cel.
Owszem, zlikwiduje on pewne luki, ale nie
wszystkie. Zniszczenia w zasobach bibliotec-
nych spowodowane wojną i innymi późniejszymi
przyczynami są ogromne. Moim zdaniem by-
ło wyrównać należałoby wznowić kilkadziesiąt
tytułów dotyczących tego okresu. Tego nie za-
łatwi żaden program jubileuszowy. Trzeba, aby
nasze wydawnictwa systematycznie, każdego ro-
ku, wznawiały po kilka potrzebnych pozycji.
Tak się już po części dzieje. Np. Ludowa Spo-
dzielnia Wydawnicza wznawia pisma Rataja,
Witosa. Ale braki są jeszcze ogromne.”

Uważam — mówi dalej prof. Garlicki — że
powinny być wydane w całości pisma Dmow-
skiego, Piłsudskiego, publicystyka Korfańskiego,
książki i wybory artykułów innych autorów.
Chodzi o to — powtarzam — by każdy inte-
resujący się tymi problemami mógł bez prze-
szkód dotrzeć w zwykłej, publicznej bibliotece
do poszukiwanych tekstów. Ten okres jest śla-
bo znany przez społeczeństwo, zwłaszcza młod-
szą jego część. Min. dlatego, że przez długi
czas nie było odpowiedniego podręcznika histo-
rii, brak też było odczytów artystycznych, jaką da-
je literatura i film. Często pokazy-
wano zdeformowany obraz. A przecież gdyby
nie 20-lecie nie prowadziłbyśmy dziś tej roz-
mowy. Jeśli w okresie I wojny światowej, do
końca, do listopada 1918 r. nie było jasne, czy
powstanie niepodległa Polska, to od początku
II wojny światowej było oczywiste, że po kła-
sce hitlerowskich Niemiec państwo polskie
musi się znaleźć na mapie Europy. Nikt nie
miał co do tego najmniejszych wątpliwości. I
w tym się mieszcza nasługi i ważność II Rze-
czypospolitej.”

M. B.

Dokumenty epoki,
czyli rozjaśnianie obrazu

dziesięciolecie. Wśród zapowiadanych pozycji
znajduje się biografia „Józef Piłsudski”, prof.
Andrzeja Garlickiego, przygotowana przez Wy-
dawnictwo „Czytelnik”.

Oto co powiedział autor biografii. Adamowi
Frycowi z PAP, który zapytał autora w jakim
stopniu biografia ta jest kontynuacją jego
wcześniejszych zainteresowań i prac.

„Jest ona po prostu powrotem do punktu
wyjścia. Podobną napisałem już przed kilku-
nastoma laty, nie znalazłem jednak wówczas
dla niej wydawcy. Odłożyłem ją więc, a zebra-
ne materiały wykorzystalem w książkach zwi-
ązanych z działalnością Piłsudskiego: „U źródła
obozu belwederskiego”, „Przewrót majowy”,
„Od maja do Brześcia”, „Przewrót do ma-
ja”. Teraz zaś uczyniłem odwrotnie i w opar-
ciu o tamte książki i uzupełniające materiały
napisałem biografię”.

Prof. Garlicki przygotował również do druku
„Moje pierwsze boje” Piłsudskiego i „Strzępy
miedunków” Sławoja Składkowskiego, które u-
każą się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

„Obie te książki — mówi prof. Garlicki — są
wznowieniami, gdyż były wydane przed woj-
ną, przywracamy do obiegu społeczne pewne
dokumenty epoki. Książki mają różny charak-
ter. „Moje pierwsze boje” to spisane podczas
internowania w Magdeburgu wspomnienia twór-
cy legionów, dowódcy I Brygady wspaniale na-
pisane od strony literackiej. Jest to pozycja,
która powinna być obecna w naszych bibliote-
kach tak, by każdy czytelnik interesujący się
Piłsudskim mógł dotrzeć do niej bez trudności.
Jej wydanie uważać można za spłacenie swo-
istego długu kulturowego. Ta książka nie ma

większego znaczenia politycznego, są to bowiem
wspomnienia wojenne, pomaga natomiast od-
tworzyć psychiczny portret Piłsudskiego.
Inna zupełnie jest książka Składkowskiego
bardzo zresztą często wykorzystywana przez hi-
storyków. Była ona kilkakrotnie wznawiana
przed wojną i wydana na emigracji. I ona róż-
ni się, że Sławoj Składkowski nie miał wpraw-
dzie wielkiego talentu politycznego i premierem
był takim sobie, odznaczał się jednak niezwy-
kłym talentem pisarskim. Nieprzypadkowo
przyrównywano go do Paska.

Ta książka jest ciekawa z dwu powodów. Po
pierwsze dostarcza wielu szczegółów z życia
Piłsudskiego, zwłaszcza z okresu po przewro-
cie majowym i oczywiście różnych informacji
o życiu politycznym tamtych czasów. Dostar-
cza też interesujących materiałów dotyczących
relacji wódz — podkomendny. Stosunek Skła-
dkowskiego do Piłsudskiego, pełen niesłychanej
fascynacji postacią Marszałka przechodził nie-
kiedy w swoisty masochizm. Ale żeby zrozu-



Rys. Sławomir Łuczyński

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata

NASI ZA GRANICĄ

Coraz więcej polskich sztuk
współczesnych wystawiają teatry
radzieckie. W Moskwie można o-
bejrzeć „Kopciucha” Janusza
Głowackiego, „Czapę” Janusza
Krasńskiego oraz „Tango” Sła-
womira Mroźka w reżyserii Ma-
cieja Englerta. Teatr im. Jermo-
łowej przygotowuje „Zegnął Ju-
daszu” Iredyńskiego w reżyserii
Bogdana Hussakowskiego, teatr
im. Majakowskiego — „Pulapkę”
Tadeusza Różewicza w reżyserii
Zygmunta Hubnera, a dwie ko-
lejne sceny — Teatr Armii Ra-
dzieckiej i im. Wachtangowa —
sztuki Mroźka „Kontakt” i „Am-
basadorów” w reżyserii Kazi-
mierza Dejmk.

„SMAK KONIA”

Podziwiany za elokwencję i
„barokowy” język prezenter „Pe-
gaza” Bogusław Sobczuk celebrował
(ku uciesze uczestników) ce-
remonie otwarcia i zamknięcia
krakowskich festiwali filmów
krótkometrażowych. Gdy na sce-
nie pojawili się w komplecie ju-
rorzy i — jak to zwykle bywa
na takich imprezach — tłum fo-
toreporterów nasz elegancki pre-
zenter, tłumaczac niesformość
mistrzów aparatu fotograficznego,

zwrócił się do przewodniczącego
jury: Panie przewodniczący, ja
czekam na trytyto kamer... Na-
stępnego dnia widownia na Bło-
niach pokładała się ze śmiechem,
kiedy nasz znajomy z „Pegaza”,
prowadząc konferansje imprezy
„Dzień konia”, powiedział m.in.:
Ileż smaków, ileż nianu-
sów osobowości ma to zwierzę...
Jednak nie śmiech, lecz praw-
dziwą konsternację wzbudził
w kinie „Kijów” na tymże fe-
stiwale Grzegorz Królikiewicz
(jeden z laureatów nagrody pro-
fesjonalnej), który ufundował
własną nagrodę: ugotowane na
twardo... jajko (jajko Kolumba,
jak powiedział) i przynajmniej
Andrzejowi Szczypkowski. Pod nieo-
becność nagrodzonego przez sie-
bie reżysera fundator nagrody
umieścił jajko na scenie kina z
wyrażonym życzeniem, by prze-
trwało tam do przyszłego roku.

WOJNA NA...
HOROSKOPY

Latem 1941 roku konwencja
astrologów USA, zdominowana
przez grupę promieniecką, ogło-
siła horoskop, z którego wynika-
ło, że Hitler wygra wojnę. Miał
to być argument na rzecz neutral-
ności Stanów Zjednoczonych. Kle-
dy wiadomość o tym dotarła do

Churchilla, natychmiast wysłał
do Ameryki znanego astrologa
Louisa de Wohl, który na podsta-
wie tej samej konstelacji gwiazd
przewidział klęskę hitlerowskich
Niemiec. Jednakże „wojna na
horoskopy” nie wpłynęła w spo-
sób zdecydowany na opowiede-
nie się USA po stronie aliantów,
za to miała duże znaczenie pro-
pagandowe.

Te i inne szczegóły ogłosił nie-
dawno profesor historii Univer-
sytetu Oksfordzkiego, Martin
Gilbert, autor biografii Winsto-
na Churchilla.

DAWNIEJ NIE DO
POMYSŁENIA

Przebudowa, demokratyzacja i
jawnosć w działalności edytor-
skiej radzieckich wydawnictw
zdecydowały o tym, iż na pół-
kach księgarskich w ZSRR uka-
zały się — i błyskawicznie zni-
kły — książki autorów wcze-
śniej nie publikowanych lub dzie-
ła, których wydanie przed kilku
laty było nie do pomyślenia. Wy-
mownym przykładem — symbo-
lem nowej polityki wydawniczej
są m.in.: „Dzieci Arbatu”, utwo-
ry Bulhakowa, Achmatowej, Zo-
schenki, Erenburga i innych au-
torów, których publikacja, co się

DUNAJEWSKI, CZYLI
SYN O OJCU

„W lata trzydzieste ojciec wko-
czył z wielkim entuzjazmem, cze-
go odbicie była jego muzyka.
Wtedy stworzył prawie wszystkie
swoje kompozycje: muzykę fil-
mową, operetkową, utwory in-
strumentalne i piosenki. Tworzył
tak dużo, że zdominował swoją
osobowością artystyczną innych
kompozytorów i tak był zajęty
twórczością, że zapominał o re-
czywistości. Zdał sobie z niej
sprawę w latach 40., ale by-
ła wojna, wiele spraw trzeba
było odłożyć na później. Wierzył,
że po wojnie nastąpi rozkwit,
nadejdą lepsze czasy.
Ale stało się wręcz odwrotnie.
I to zalało ojca. Tworzył już
niewiele i jego muzyka nie była
radosna. Zmarł w 1955 r., dwa
lata po śmierci Stalina nie mając
nadziei na lepsze jutro. Zostawił
listy, w których opisywał swoje

Bez tytułu

Dzieła plastyczne tak właśnie nazywane nikogo nie dziwi. Autor takim nazwaniem daje znak, że nie chce narzucać odbiorcy jakiegokolwiek wiatru interpretacyjnego, albo, iż dzieło jest tak jednoznaczne, tak oczywiste, iż żadnych słownych komentarzy nie wymaga.

Chętnie taki zabieg zastosowałbym wobec obrazów Danuty Muszyńskiej-Zamorskiej pokazujących w Salonie Sztuki Współczesnej przy ulicy Piotrkowskiej na przełomie czerwca i lipca. Dzieła te znane chyba powszechnie z reprodukcji na pocztówkach prezentują się w tej formie dosyć nieciekawie, i to bynajmniej nie z powodów najbardziej typowych, że kolor niezupełnie ten sam co na oryginalu, że faktura cokolwiek zgnębiona, że siad ręki malarza nie daje się odczytać. Oczywiście grzeszą tym wszystkim owe pocztówki, ale nie to odgrywa pierwszorzędną rolę. Na wszystkich reprodukcjach, nawet tych lepszych technicznie, ginie jedna cecha obrazów malowanych przez Danutę Muszyńską, cecha bodaj czy nie najważniejsza, która w ogóle te obrazy „robi”.

Najczęstszym tematem w pracach tej artystki jest dziecko, to trzmiel, i na to nie potrzeba poznawać oryginałów, ale już tylko tam możemy dostrzec, że niezależnie od sytuacji jaka malarka układa na obrazie, czy są to dzieci w obozie zagłady, portret dziewczynki z gołębiami, czy maluch wtulony w ramiona matki, wszystkie te dzieci mają takie same oczy, czy tak samo patrzą. Jest w nich jakby tęsknota, smutek, oczekiwanie — uczucie trudne do opisanego kilkoma słowami. I to właśnie dzieło, czy tworzą wartość obrazów Danuty Muszyńskiej-Zamorskiej, one usprawiedliwiają ładność koloru, kompozycję, ale banalną, że całą uwagę zwrócić już archaizm i dostrzeżamy pierwszy spojrzeniem. Wszystkie jakby po to, aby widzieć odbiorca bez przeszkód mógł się spotkać z obiektem, niezmienionym smutnym oczyma. Tak naprawdę nie mają te obrazy tytułów, albo mają jeden wspólny, zawsze bowiem mówią o tym samym.

Malarstwo Mieczysława Wiśniewskiego z Torunia, podkreślam Toruń, aby nie było wątpliwości, iż nie chodzi o rodzinianina o tym samym imieniu i nazwisku, lecz o zwanego z Instytutu Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. M. Kopernika i jego malarstwo. Również nie imieniem czerwca i lipca mogłoby być oglądane w Galerii Sztuki przy ulicy Włocławskiej. Duża wystawa prac z lat osiemdziesiątych, szkoda, że nie podbudowana kompozycjami z lat wcześniejszych. Łąkę te na szczęście wypełnia katalog z rzetelną analizą twórczości artysty, pobra Bożenę Kowalską. Pozwól sobie skorzystać z kilku zdań tego tekstu: „Twórczość Wiśniewskiego jest (...) szukaniem wciąż na nowo związku idealnego z efemeryczną rzeczywistością, wyłączonego matematycznie porządku z przypadkowością, nieuchwytnego czynnika zakłádanej statystyki z dynamiką i przewidywalnością, niegdyś do końca zaprzeczającą i przewidującą ruch. I na koniec: tworze ludzkiej koncepcji i pracy z czystym zjawiskiem natury. (...) Wspomnienie, jakie zostawiała w obrazie — to odczuwanie geometrycznej uporządkowanej przestrzeni w której poruszają się w miarę zblizania do określonej, zmieniająca obok, niemożliwe do odświeżenia występujących kształty sługających się odświeżeniem występujących niekiedy jako punkty, albo czyste płaszczyzny, a czasem przybierających postać trójkątów czy form kolistych lub owalnych”.

Czysta materia plastyczna, chciałoby się powiedzieć, a zarazem coś na przed taką klasyfikacją powstrzymuje. Wszak poszukiwanie, czy raczej ujawnianie równowagi pomiędzy statnością i porządkiem budowy natury, a zmiennością postępowania przez nas tej przejawów nie jest działaniem właściwym tylko malarstwu czy szerzej plastyce. Szkoda tylko, że Bożena Kowalska w odniesieniu do kompozycji Mieczysława Wiśniewskiego z ostatnich mniej więcej dziesięciu lat napisała: „Jest to już właściwie niezmienność w ogólnym kształcie, jego indywidualny i całkowicie własny sposób wypowiedzi. Nim to potrafi wyrazić, niepełnie swoją refleksję i swoją prawdę zarówno o świecie, jak o sztuce”. Szkoda, albowiem nie sądzę, żeby tak doskonale jak u Wiśniewskiego uformowany język wypowiedzi, miał się zarazem okazać ostentacyjnie i łamawo poszukiwaniem innych form ujawniania tego samego problemu. Serię i numery układów to tylko metryczki skrywane treści tak rozległe, że mogą być świadectwem niewiary w artystę stwierdzenia, iż już wyraża (wyraża) „najpełniej i najczysto” refleksję i swoją prawdę zarówno o świecie, jak o sztuce”, choćby się nawet, nam odbiorcom, tak zdawało.

KRYSTYNA NAMYSŁOWSKA

— Linia rozwojowa pańskich zainteresowań i działań zawodowych wydaje się biec od humanistyki do praktyki wirtuozowskiej i kompozytorskiej. Tak przynajmniej można sądzić, biorąc pod uwagę już choćby ukończone przez pana studia: najpierw psychologiczne na UŁ, następnie pedagogiczne w Akademii Muzycznej, potem organowe i wreszcie kompozytorskie. Czy rzeczywiście potrzeba twórczości wystąpiła najpóźniej?

— Niezupełnie. Pojawia się już wtedy, gdy miałem 12 czy 13 lat i objawia dwojako. Po pierwsze, poprzez komponowanie prostych miniatur fortepianowych, zapamiętywanych w trakcie improwizowania a wykonywanych potem na rodzinnych uroczystościach. Po drugie — polegała na częstym zmienianiu „poprawianiu” zadanych mi utworów fortepianowych. Dokonywałem rozmaitych przekształceń: rytmicznych, harmonicznych, dopisywałem cody itp. Nie ukrywam, że było to wówczas pasjonujące.

— A jednak jako pierwsze studia wybrał pan dyscyplinę dość od kompozycji odległą.

— Może dlatego, że kiedy wchodziłem w życie studenckie, mia-

wy zapisu. Ważne też było, aby pisać nie do szuflady, lecz dla konkretnego odbiorcy, mając jako gwarancję wykonania. To również stanowiło mobilizację. Wspomnę, że niejednokrotnie moje studenckie utwory wykonywali wybitni artyści. W klasie Kotońskiego istnieć notabene duża rywalizacja między studentami. Lekcje — co nie spotykane gdzie indziej — są zbiorowe i wszystkie prace wszyscy wzajemnie oceniali.

— Jak, po ukończeniu w studiach, wyglądał pan wewnętrznie poczuł przywiązanie do środowiska? Czy czuje się pan bardziej związany ze środowiskiem łódzkim, czy też warszawskim?

— Jako kompozytorowi, silną rzeczą, bliższe mi jest środowisko warszawskie tam mam gros przyjaciół. Niemniej, należę do Łódzkiego Oddziału ZKP i tu z kolei czuję się najmocniej związany z Bronisławem Kaczmarskim i Sławomirem Kaczmarskim. Wspólnie tworzymy zespół podejmujący problematykę współczesnej twórczości muzycznej w ramach odbywających się 2 razy w roku sesji „Musica Moderna”. W Łodzi także pracuję sta-



— Gratuluję! A jaka jest nagroda?

— Wyjazd na stypendium do dowolnie wybranego kraju zachodniego.

„Szukam nowych brzmień...”

Rozmowa z WIESŁAWEM RENTOWSKIM

iem krytyczny stosunek do poczynań awangardy muzycznej. Nie pociągał mnie panujący szal eksperymentarstwa, nie odpowiadał mi nowinkarstwo liczące się bardziej, aniżeli autentyczne wartości. Sytuacja zmieniła się jednak na początku lat osiemdziesiątych. Na arenie muzycznej weszło nowe pokolenie kompozytorów. Konwencje twórcze uległy pewnemu przeobrażeniu, ewoluowały i dojrzał język muzyczny. Dojrzała także moja decyzja.

— Właśnie, lecz w przeciwnieństwie do większości łódzkich kompozytorów twórcze ostrogi zdobywał pan nie w Łodzi, lecz w Warszawie, w klasie kompozycji Włodzimierza Kotońskiego. Co było powodem takiego wyboru?

— Na egzaminie wstępnym do warszawskiej Akademii Muzycznej spytało mnie — dlaczego nie podejmuję studiów kompozytorskich w Łodzi? Odpowiedziałem całkiem szczerze, że ponieważ ukończyłem tu podstawową, średnią i wyższą szkołę muzyczną i znam gruntownie lokalne środowisko, pragnąłbym zetknąć się ze środowiskiem nowym, z innymi osobowościami, z odmienną świadomością artystyczną i poglądami. W Łodzi studiowałem zresztą jeszcze u M. Pietkiewicza organy. Prof. Przybylski, do którego chodziłem na zajęcia z współczesnych technik kompozytorskich, poparł mój zamiar. Pamiętam jak stwierdził: „Studia w Warszawie będą pana szalenie mobilizowały”.

— I tak się stało?

— Owszem. Prof. Kotoński jest wybitną osobowością nie tylko jako kompozytor, lecz także jako pedagog oraz człowiek. Mawia, że kompozycji nauczyć się właściwie nie można; „albo się dar posiada, albo nie”. Jego zdaniem można jedynie rozwinąć twórczy impuls. Jeśli chodzi o sposób muzycznego wypowiedziania się, Kotoński jest liberalny, potrafi jednak zainicjować, zachęcić do naprawy wywołanej pracy. Przestrzegał też dość rygorystycznie przestrzegania przez kolejne etapy opowiadania rzemiosła, tzn. przez określone formy i składki wykonawcze.

— Na czym zaś polegały profesorskie ingerencje?

— Dotyczyły głównie zagadnień formy, gdyż do niej Kotoński przykładał największą wagę. Na drugim miejscu znajdowały się spr-

awo w Akademii Muzycznej, ucząc propedeutyki muzyki XX wieku, psychologii muzyki, czytania partytur. Wspomnę, że z myślą o wzajemnym zbliżeniu wspomnianych dwóch środowisk dwukrotnie już udało mi się zorganizować koncert młodych kompozytorów z Łodzi i Warszawy. Ta konfrontacja okazała się bardzo pożyteczna.

— Ma pan już niemal dorobek. Niektóre pana kompozycje są wykonywane i nagrywane na płyty także za granicą. Jak określiłby pan główny kierunek własnych penetracji twórczych?

— Od początku systematycznej działalności kompozytorskiej podejmuję stale poszukiwania w dziedzinie nowych brzmień. Robię to zresztą na ogół na innej zasadzie, niż robiono to do tej pory. Kompozytorzy uwzględniali bowiem najczęściej zespoły standardowe, w odmienny sposób traktując poszczególne instrumenty. U mnie traktowanie instrumentów w sensie artykulacji, skali, możliwości wykonawczych jest naturalne i polega na sięgnięciu głęboko w sferę techniczną. Natomiast nietypowe są składy.

— Tuż po ukończeniu studiów kompozytorskich (1966) pisał „Anagram” na fortepian solo prezentowany był z powodzeniem na „Warszawskiej Jesieni”. Od tego czasu zdobył pan szereg nagród i wyróżnień. Wynotowałem tegoroczne: II nagroda i srebrny medal za Koncert na trąbkę Es i orkiestrę symfoniczną na konkursie z okazji 30-lecia Katedry Instrumentów Dętych AM w Warszawie. III nagroda i brązowy medal za Kwartet saksofonowy na tym samym konkursie. III nagroda (I i II nie przyznano) za „Ab ovo” na saksofon altowy i organy na konkursie uświetniającym 10-lecie Festiwalu Muzyki Organowej w Inowrocławiu. Nagroda Kanadyjskiej Akademii Sztuk Pięknych „The Banff Center” za dotychczasową działalność w postaci pobytu stypendialnego w Kanadzie.

— Otrzymałem też właśnie wiadomość o zdobyciu I miejsca na XXX ogólnopolskim konkursie organizowanym przez ZKP dla młodych kompozytorów. Wysłałem na ten konkurs napisany w maju br. utwór „Vayang” na sopran i zespół kameralny.

— Jest pan także koncertującym organistą. Ciekawe, czy świadomość Rentowskiego-kompozytora pobudza jest w jakiś sposób doświadczeniem Rentowskiego-wykonawcy?

— Dzięki praktyce instrumentalnej osiągnąłem na pewno lepsze zrozumienie psychiki odbiorcy podczas interpretowania muzyki w ogóle. Nie chodzi mi w tym wypadku o „repertuar ruchowy” lecz o uświadomienie sobie procesów psychicznych, jakim podlega wykonawca podczas uczenia się utworu oraz występu. Kompozycje staraję się brać do pod uwagę. Tak samo interesują mnie procesy percepcyjne i szukanie optymalnej, z tego punktu widzenia, formy.

— Czy często występuje pan jako organista?

— Często. Od kilku lat współpracuję systematycznie z Krajowym Biurem Koncertowym i gram m.in. na festiwalach muzyki organowej. Opracowuję repertuar szczególny nacisk kładę na muzykę współczesną, ostatnio głównie polską. W najbliższym czasie czeka mnie np. kilka nowych prawykonań. Naturalnie włączam też do występów własne utwory.

— Komponowanie, działalność wirtuozowska, dydaktyczna: pogodzenie tych dziedzin wymaga zapewne znakomitej organizacji pracy?

— Odpowiednia organizacja jest o tyle ważna, że pracuję podzielenie przynajmniej 10 godzin: Przed silnym zmęczeniem choroni mnie niejednokrotnie wspomagała, ale mogę też powiedzieć, że np. ćwiczenie na organach przynosi jakiś odpoczynek po wysiłku twórczym i odwrotnie. Szczególnie, dużo mam zresztą do zawdzięczenia żonie — Magdalenie. Daje mi silne wsparcie psychiczne, mobilizuje i inspirowanie do podejmowania działań twórczych (nie waham się stwierdzić, iż jest moją muzą), a poprzez wspólne dyskusje i jej związany z profesją filozofa — krytycyzm, poszerzam swój światopogląd ogólnohumanistyczny i twórczy.

Rozmawiał: JANUSZ JANYST

Kronika

Z OKAZJI ŚWIĘTA 22 LIPCA przyznane zostały

dorożne nagrody państwowe. W dziedzinie literatury nagrodę I stopnia otrzymał Andrzej Kuśniewicz (za powieści „Mieszkańcy obywateli” i „Nawrócenie”; nagrody II stopnia otrzymali — Jerzy Harasymowicz (za powieści „Kamień na kamieniu” i „Kamień na kamieniu”); W dziedzinie sztuki nagrodę I stopnia otrzymał Tadeusz Kantor.

Za całokształt twórczości malarskiej nagrodę II stopnia wyróżniony został Stanisław Fijałkowski, zaś za twórczość muzyczną — prof. Kazimierz Wilkomirski.

POPULARNA AKTORKA, ALEKSANDRA RIPLEY, pisze dalszy ciąg słynnego bestsellera „Przemienie z wiatrem” (pł. 10 zł) (pł. 10 zł) (pł. 10 zł). Książka ukazała się w 1986 r., nakładem amerykańskiego wydawnictwa Warner Books (tł. 10 zł) (tł. 10 zł) (tł. 10 zł). Trzymajmy nerwy na wodzy, panowie! A póki co, zaciekawiamy kienki. Tylko to nam pozostało!

TRWAJĄ NEGOCJACJE Z ZAGRANICZNYMI DYSKRYTORAMI w sprawie zakupu dla naszych kin zlozonych obrazów z tzw. kina pogranicza (tzw. erotyczne uderzenie). W przypadku pomyslnego ich sfinalizowania zobaczymy na ekranach takie filmy, jak: „Emmanuelle” (reż. Just Jachin), „Kochanek Lady Chatterley” (reż. Just Jachin), „Pierwsze pożądanie” (reż. David Hamilton), „Owece namiętności” (reż. Shuji Terayama), „Imperium zmysłów” (reż. Nagisa Oshima), „Ostatnia kobieta” (reż. Marco Ferreri). Trzymajmy nerwy na wodzy, panowie! A póki co, zaciekawiamy kienki. Tylko to nam pozostało!

WYDAWNICTWO „CZYTELNIK” ODBAROWAŁO NAS z to: książką, pod tytułem „Emmanuelle”. Jest nią nowa builująca powieść Krystyny Kofy pt. „Pawilon małych drapieżców”. Autorka pokazuje do czego prowadzi powikłania w życiu erotycznym. Temat zawsze na czasie. Książka, jak należało się spodziewać, błyskawicznie zniknęła z lad księgarskich.

OD 27 BM. NALEŻY SIĘ SPÓDZIEWAĆ zmasowanego szurmu na warszawską Halc Gwardii. Otworzy w niej bowiem swoje podwoje „Arsenal 83” — czyli ogólnopolska Wystawa Młodej Plastyki. Ponad 400 „gniewnych” artystów z całego kraju, pragnących zrewolucjonizować plastykę i polskie światło, podobnie jak ich poprzednicy z międzynarodowego „Arsenalu” z 1985 r., prezentować będzie to... na co stać obecne pokolenie. Czy spełnia się oczekiwania ze strony organizatorów na wielkie artystyczne wydarzenia? Uwidzimy!

UKAZAŁ SIĘ NOWY TYGODNIK THE WARSZAW VOICE (w języku angielskim) — przeznaczony dla turystów zagranicznych, przybywających do naszego kraju.

SZCZECIN JAKO DRUGI PO WARSZAWIE — odbierać będzie regularnie pierwszy program telewizyjny radzieckiej.

ALERED MIDOWICZ został przewodniczącym, nowo utworzonej Rady ds. Rozwoju Żeglarswa.

ŁÓDZKI „ZESPÓŁ PIESNI I TANCA ANILANA” wystąpi na światowym Festiwalu Folkloru w Portugalii. W tej renomowanej imprezie wezmą udział zespoły z 15 państw. Podczas sierpniowego, miesięcznego zagranicznego tournée, łódzianie dadzą również koncerty we Francji, na wielkich festiwalach ludowych. Zyczymy wielu sukcesów i licznych wrażeń.

PROFESOR ANDRZEJ ZAIORSKI otrzymał dorożną nagrodę „Mieszczyzna Literackiego” za książkę „Spor o Stanisława Augusta” (PIW).

UTWORZONY NIEDAWNO ZAKŁAD HISTORII I KULTURY ŻYDÓW W POLSCE przy Uniwersytecie Jagiellońskim, kierowany przez prof. Józefa Gierowskiego, rozpoczął działalność organizowaniem międzynarodowego sympozjum, poświęconego bibliografii polskich Żydów.

Trzydniowe obrady, z udziałem naukowców ze Stanów Zjednoczonych, Izraela i Polski, pozwoliły ustalić okoliczności, zrodziły się w polskich zbiorach archiwalnych i bibliotecznych.

PIOTR SIENKIEWICZ (l. 42), pułkownik, profesor dr hab., pracownik naukowy Akademii Sztuk Pięknych, kierownik Wydziału w dziedzinie cybernetyki i informatyki, został wybrany prezesem Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Cybernetycznego.

Jego hobby — to kino i muzyka (dubi m.in. utwory Mozarta, Wagnera, Rolling Stonesów. Jest autorem kilku książek z dziedziny fantastyki naukowej i ostatnio opublikował „Poszukiwanie Golema”. Relaksuje się najlepiej podczas wypadów w Tatry.

NAKŁADEM „Iskier” ukazała się, wiele Intrigująca, książka Zbigniewa Świecha pt. „Kwiaty, mikroby, uczeń”.

Tematem tej są tajemnicze zgonu badaczki grobowca Kazimierza Jagiellończyka i jego żony Elżbiety, znajdujące się w Katedrze Wawskiej. (Otwarcie grobowca nastąpiło w 1973 r.). W przebiegu 10 lat prowadzonych tam badań, zmarło nagie 15 uczonych.

Najprawdopodobniej przyczyną ich śmierci był toksyczny mikro, o nazwie aspergillus fratus. Różne, tajemnicze rzeczy dzieją się w świecie.

STANISŁAW NICEJA, złożył do druku w „Ossolineum” monografię cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie. Pochowani są na nim m.in. wybitni luminarze kultury polskiej — Artur Grottger, Seweryn Gierzyński, Maria Konopnicka. Na tym cmentarzu znajduje się również domiemany grób Tadeusza Różyckiego i innych, rozstrzelanych profesorów Uniwersytetu im. Jana Kazimierza.

Spoczywa tutaj też Iwan Franko — ukraiński poeta, historyk, etnograf, twórca ruchu ludowego w Galicji.

PIOTR FRONCZEWSKI wystąpi w roli tytułowej, w skierowanym do produkcji filmie „Konsul” (reż. i scen. Mirosława Borka). Zrealizuje go zespół filmowy „Kadr”.

Film ten oparty zostanie na autentycznych wydarzeniach związanych z działalnością słynnego oszusta Sławy i Silbersteina (polskiego) w książce Aleksandra Rowińskiego „W lepszym towarzystwie”.

DŁA UCZCZENIA 70 ROCZNICY ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI POLSKI Muzeum Narodowe wraz z Muzeum Historycznym m. Krakowa organizują wielką wystawę pt. „Do Ciebie Polsko” (w dnach 30X-31XII br.).

NAJPRÁWDOPODOBNIER JESZCZE W TYM ROKU lodzianie będą mogli oglądać I program Telewizji moskiewskiej. Stanie się to możliwe dzięki przekazaniu przez Michała Gorbaczowa, podczas pobytu w Polsce, cennego daru dla naszego miasta — odbiornika telewizji satelitarnej.

W POBLIŻU TALLINA (stolicy Estonii) powstała pierwsza w Związku Radzieckim oficjalna plaża dla nudystów.

Opracował: JAK

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

przeżycia, że nie może i nie chce stworzyć tak, jak przedtem, bo życie wokół jest tragiczne. Pisał, że ginie, bo nie można już komponować, a skoro umiera twórczość, umiera też artysta. Niektóre z tych listów przedostały się do publicznej wiadomości i rozniosła się pogłoska, że Izaak Dunajewski się zastrzelił. Ale to nieprawda, ojciec zmarł śmiercią naturalną. Gdyby żył, byłby bardzo starym człowiekiem, ale myśle, że cieszyłby się, iż wreszcie jego muzyka pasuje do codzienności...” (Maksym Dunajewski, syn Izaaka, cieszący się wzięciem kompozytor w rozmowie z K. Sanetrą z PAP).

FRANCUSKIE ZABYTKI W RUINIE

„Nigdy jeszcze dziedzictwo kulturalne Francji nie było tak blisko ruiny” — oświadczył ostatnio Michel Parent, generalny inspektor obiektów historycznych. Przewodnik po pałacyku Józefiny Bonaparte w Malmaison jest bardziej dosadny, gdy mówi „idiotów historycznych”.

tychnych, gigantycznych pomysłach” — np. budowy Eurodisneylandu pod Paryżem lub projektu centrum turystycznego w Wersalu — i o losie tysięcy zabytków popadających w coraz większą ruinę w całej Francji.

Tę katastrofalną wizję potwierdził ostatnio paryski tygodnik „L'Express” donosząc o poufnych raporcie na temat stanu „drogowego” francuskich zabytków przygotowany dla byłego ministra kultury François Leotarda. Jak przyznali to nieliczni wyżsi urzędnicy mający dostęp do raportu, jego szczegóły są zbyt bulwersujące, by podawać je do publicznej wiadomości. Zdaniem autorów raportu kredyty przeznaczone na remonty zabytków nie wystarczają nawet na powstrzymanie postępującego zniszczenia. Każdego roku należałoby przeznaczyć 1,88 mld franków na dorazne prace remontowe 13 tys. obiektów sklasyfikowanych w katalogu zabytków, nie mówiąc już o dalszych 36 tys. obiektów zapisanych jedynie na listach obiektów historycznych.

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Longia Pastusiak „Prezydent” (3 t.) — 5000 zł (cena nominalna 2300 zł); Józef Piłsudski „Moje pierwsze boje” — 2200 zł (cena nominalna 1100 zł); Hans Helmut Kirscht „Fabryka oficerów” — 2800—3000 zł (cena nominalna 1100 zł); Henry Miller „Noce miłości i śmiechu” — 700 zł (cena nominalna 370 zł); Inés Mural „Colbert” — 2500 zł (cena nominalna 1100); Albrecht S. Radziwiłł „Pamiętnik” (3 t.) — 3800 zł; „Canaletto” (album) — 3500 zł; Katarzyna Pospieszńska „Cymes, czyli kuchnia żydowska” — 550 (cena nominalna 300 zł); Józef Piłsudski i jego legenda” (pod red. Antoniego Czubińskiego) — 600 zł (cena nominalna 320 zł); Marian Brandys „Generał Arbut” — 1200 zł (cena nominalna 700 zł); „Bosch” (małe wydanie albumowe) — 10000 zł.

Fraszki

FELIKS RAJCZAK

MOŻE

Może już jestem klasykiem: Piszę na wodzie patykiem.

PROPOZYCJA

Warto—postawić pomnik osiu. Za to, że ma mocny kręgosłup.

REWIZJA

Zrewidować rewident! I w tym cała jest puenta.

W DAWNEJ SZKOLE

Riposta była prosta: Chłosta.

BYŁBY

Byłby ekshibicjonista, Gdyby miał swą przeszłość czystą.

JACYŚ Z BURZUAŻY

A oni zawsze przedem — Tylem przed narodem.

— Proszę wszystko przygotować, będę u was za dwadzieścia minut.

Istotnie, wkrótce przyjechał młody mężczyzna, przedstawił się, wziął przygotowane rzeczy i po półtorze godzinie wrócił razem ze mną.

Przy herbacie prowadziliśmy nie kończące się rozmowy. Żalowało mi tylko, że nie ma z nami mojej żony. Była w Moskwie przed dwoma tygodniami. Poszła do NKWD i przyleciała stamtąd jakby na skrzydłach: opowiedziała, że ją bardzo dobrze przyjęto, rozmawiano z nią grzecznie, interesowano się, jak sobie radzi, czy nie potrzebuje pomocy pieniężnej. Na pytanie: „Czy prędko zobaczę męża?” — otrzymała odpowiedź: „W tej chwili trudno powiedzieć”. Ale dodano jeszcze, że śledztwo zbliża się ku końcowi, za dwa, trzy tygodnie wszystko się wyjaśni.

Po kilkugodinnym odpoczynku zjadłem śniadanie i poszedłem na pocztę, aby nadać depeszę do żony. Zawiadomiłem ją, że już powróciłem i prosiłem o jak najszybszy przyjazd do Moskwy.

W swoim czasie, siedząc jeszcze w więzieniu lefortowskim, obiecałem towarzyszowi B., że gdy tylko znajdzie się na wolności, odwiedzi jego żonę i opowie jej, jak wyglądała sprawa jej męża. Przekonany, że dotychczas siedzi w jakimś obozie, prosto z poczty udałem się na poszukiwania. Szybko znalazłem właściwe mieszkanie. Zadzwońtem, drzwi otworzyły się... i z najwyższym zdumieniem ujrzałem swego towarzysza B. w mundurze generalskim. Było to tak niespodziewane, że w pierwszej chwili nie mogłem z siebie wydusić słowa.

Byliśmy naturalnie bardzo radzi, że obydwa jesteśmy na wolności. W żaden sposób jednak nie mogłem zrozumieć, jak towarzysz B. wyszedł z więzienia. Opowiedział mi, że po tym, jak mnie wywołano z rozmową z celi, jego trzymanie jeszcze przez pewien czas w więzieniu lefortowskim, a następnie wypuszczono.

Później długo nie mogłem doprowadzić swych myśli do jakiejś takiej równowagi. Ze oskarżenia, wysuniętego przeciwko niemu, było fałszywe — co do tego nigdy nie miałem wątpliwości, nie mogłem sobie jednak wyjaśnić okoliczności, w jakich został zwolniony. Człowiek służył kiedyś jako oficer w armii carskiej, zupełnie niepotrzebnie oskarżał siebie i innych — i wkrótce zwolniony został z więzienia bez sądu. A mnie pochodzącego z najbiedniejszych warstw, którego ukształtowała i podniosła tak wysoko władza radziecka, mnie, który nie podpisał żadnych fałszywych zeznań, skazano i zesłano nad Koly-me.

Tegoż dnia wstąpiłem do Ludowego Komisarjatu Obrony.

Marszałek Związku Radzieckiego S. K. Timoszenko przyjął mnie bardzo serdecznie. Zameldowałem mu o swoim powrocie z „długotrwałej i niebezpiecznej podróży służbowej”.

— Cieszę się, żeście przetrzymali to wszystko. To najważniejsze! A siły wrócić! Odpoczywajcie,



Aleksander Gorbatow

(7)

poprawiajcie się, a potem do roboty. Datem już polecenie, aby ponownie włączono was do kadry armii oraz wypłacono żołd zgodnie z zajmowanym stanowiskiem za cały trzydziestomiesięczny okres.

Podziękowałem bardzo serdecznie i wyszedłem z gabinetu. Chciałem się z kimś podzielić swą radością, swoim szczęściem... Ale okazało się, że żona jest chora i czeka na mnie w Saratowie. Przyszła wiadomość, że ojciec jej umarł. Brat Jurij został również aresztowany. Później dowiedzieliśmy się, że rozstrzelano go w 1938 roku.

Otrzymałem skierowanie do sanatorium podmoskiewskiego „Archangielskoje”. Po miesiącu, już znacznie silniejszy, pojechaliśmy na dalsze leczenie i odpoczynek do Kisłowodzka.

Powróciłem do Moskwy w dobrym nastroju, pełni energii i radości. Kiedy przyszedłem ponownie do komisarza ludowego, byłem już zupełnie innym człowiekiem.

— No, jak tam, jeszcze na odpoczynek? — zapytał komisarz.

— Nie, wystarczy.

— Znowu do konnicy, czy do innego rodzaju wojsk?

— Nie, do konnicy nie chcę już więcej. Pójdę z przyjemnością do piechoty.

— Obiecmiecie na razie stanowisko zastępcy dowódcy korpusu piechoty, żeby się rozejrzeć i zaznajomić z różnymi innowacjami. A potem zobaczmy.

Następnie komisarz ludowy poinformował mnie, że sytuacja międzynarodowa jest bardzo skomplikowana.

— Znajdujemy się chyba w przededniu wojny, trzeba będzie pracować na całego — rzekł na pożegnanie i życzył mi powodzenia w pracy.

Tego samego dnia otrzymałem rozkaz wyjazdu do 25 korpusu piechoty na Ukrainie.

Wstąpiłem do Saratowa po rzeczy i pojechałem razem do Charkowa. Otrzymałem od dowódcy okręgu wojskowego potrzebne informacje dotyczące mojego korpusu, pospieszyłem do dowódcy korpusu Czyschwałowa. Z żoną umówiłem się, że przyjedzie do mnie, jak tylko

się urządzi. Rozstawaliśmy się więc nie na długo. Nie byliśmy jednak w najlepszym nastroju, jak gdyby przeczuwając, że znów rozstajemy się na lata.

Zapoznałem się z dywizjami. Miały one pełne etaty, ale prawdziwego zgrania wewnętrznego nie dostrzegłem, toteż ogólny stan dywizji wywarł na mnie nie najlepsze wrażenie. Im głębiej wnikałem w różne sprawy, tym bardziej się przekonywałem o słuszności moich początkowych obaw. Brak było niezbędnego ładu, zorganizowania i właściwej dyscypliny wojskowej. Najgorsze było to, że dowódcy na ogół nie widzieli tych braków. Powróciwszy do dowództwa korpusu zameldowałem dowódcy jasno i krótko swoje spostrzeżenia. Dowódca zgodził się ze mną we wszystkim. Ale na usunięcie tych braków nie mieliśmy już czasu — wojna wisiała w powietrzu.

Spodziewali jej się wszyscy, a wśród wojskowych nikt prawie nie miał już złudzeń, że wojny można będzie uniknąć. Mimo to, wiadomość o niespodziewanym ataku lotnictwa nieprzyjacielskiego na Żytomierz, Kijów, Sewastopol, Kowno i Mińsk, na węzły kolejowe i lotniska oraz o przekroczeniu przez dywizje nieprzyjaciela naszych granic — wiadomość ta wstrząsnęła wszystkimi. Dlaczego? Wiele było po temu przyczyn. Ale chyba się nie omyli, jeśli powiem, że główne nasze nieszczęście polegało na fatalnym błędzie Stalina, któremu wówczas ślepo wierzyliśmy i ufaliśmy, gdy tymczasem okazało się, że on nie widział i zdezorientował wszystkich ostawionym komunikatem TASS z 14 czerwca 1941 roku.

(W „Komunikacie TASS”, na który powołuje się autor, powiedziane było, że „zdaniem kół radzieckich pogłoski o zamiarach Niemiec zerwania paktu i uderzenia na Związek Radziecki pozbawione są wszelkich podstaw; odbywające się zaś ostatnio przerzucanie wojsk niemieckich, które zakończyły działania na Bałkanach, do wschodnich i północno-wschodnich rejonów Niemiec, spowodowane zostało najpewniej innymi motywami i nie ma związku ze stosunkami radziecko-niemieckimi”. — Przyp. red. ros.)

Kiedy dowiedziałem się o wybuchu wojny, przede wszystkim pomyślałem: jak to dobrze, że jestem na wolności i zdążyłem już nabrać sił. Ale zaraz potem pomyślałem o żonie: jaki to będzie dla niej cios i czy ją jeszcze zobaczę?

Mówiłem z nią przez telefon, słyszałem jej głos. Sama pogrążona w rozpacz, starała się dodać mi otuchy; mówiła, że najgorsze mamy już poza sobą, że była szczęśliwa przez te trzy miesiące i że starczy jej sił, aby doczekać dnia zwycięstwa.

Tłumaczył:
STEFAN KLONOWSKI
KONIEC

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Raport w sprawie Cyganów

ARNOLD MOSTOWICZ

Rozpoczynamy druk obszernych fragmentów nowej książki Arnolda Mostowicza „Żółta Gwiazda i Czerwony Krzyż”, która niebawem ukaże się nakładem PIW. Są to zbeletryzowane wspomnienia z czasów, kiedy autor był więziony w łódzkim getcie i obozach koncentracyjnych Trzeciej Rzeszy.

Kiedy staram się uporządkować wspomnienia z getta, szukam zawsze jakiegoś punktu w czasie, punktu, który by mi pozwolił do tych wspomnień wprowadzić pewien porządek, ustalić właściwą kolejność wydarzeń. Łatwiej mi powiedzieć, że coś działo się, na przykład, tuż przed likwidacją getta czy po wielkiej szperze, niż konkretnie określić rok czy miesiąc, w którym to wydarzenie nastąpiło. Chociaż z drugiej strony zastanawiam się, czy ta kolejność wydarzeń ma jakiegokolwiek znaczenie? Dziś, po tylu latach? Najwyżej może niektóre fakty uwiarygodnić, ale czy i to jest konieczne...?

Pracowałem wówczas w szpitalu dla zakaźnych chorych. Szpital mieścił się, rzecz jasna, w getcie. Przy ulicy Drewnowskiej. Nie jest to z całą pewnością dla wydarzeń tych istotne, ale chciałbym wyjaśnić (skoro już postanowiłem pisać i o sobie), w jaki sposób znalazłem się w tym właśnie szpitalu. Zaraz po zamknięciu getta — bardzo to ważny odnośnik w czasie! — miałem już za sobą krótki staż w pogotowiu i zgłosiłem się jako wolontariusz do pracy w szpitalu na oddziale chorób wewnętrznych. Nie muszę chyba podkreślać, że moja wiedza praktyczna nie była tak szeroka, bym mógł sobie rościć prawo do pracy samodzielnej. Studia ukończyłem tuż przed wybuchem wojny, w marzeniach dotyczących przyszłości widziałem się raczej przy stole laboratoryjnym, niż przy łóżku chorego. Jeśli jednak, mimo pewnych oporów czy może niechęci, rozpocząłem praktykę lekarską, to po prostu dlatego, że tylko owe studia stanowiły jakąś podstawę, na której mogłem budować moją najbliższą przyszłość. Natychmiast po tym,

jak utworzony został przy Gminie Żydowskiej (albo raczej przy Przełożonym Starszeństwa Żydów — używając terminologii hitlerowskiej) Wydział Zdrowia, zgłosiłem się do pracy w Pogotowiu Ratunkowym. (...) Byłem młody i wierzyłem w siebie. Liczyłem też trochę na pomoc starszych lekarzy, ale jak się szybko przekonałem, nadzieja ta była zupełnie nierealna. Nie tu miejsce, aby się nad tym zjawiskiem szerzej rozwodzić. W każdym razie trudno było wielu starszym właśnie i doświadczonym lekarzom uwolnić się u progu okupacji od obyczajów czy nawyków wykształconych w czasach normalnych. Jakże wielu z nich nie rozumiało, że przed przekroczeniem bramy getta przewieźć przynajmniej trzeba owe obyczaje... Przecież na skutek tej właśnie sytuacji zaszła na samym początku konieczność sprowadzenia z getta warszawskiego do łódzkiego grupy tamtejszych lekarzy. Ich przybycie miało złamać monopol łódzkich kolegów w wielu specjalnościach, monopol, którym szantażowali władze getta...

W każdym razie już podczas pierwszego mego nocnego wyjazdu z pogotowiem okazało się, jak bardzo jest mi potrzebna pomoc bez niej już ten pierwszy samodzielny krok zakończyłby się zupełną klęską. Na szczęście pomoc ta przyszła ze strony starego, zasłużonego pielęgniarza.

Była grudniowa, mroźna noc, jeszcze przed utworzeniem getta. Pogotowie zostało wezwane do przypadku „utrąty przytomności”, jak to zostało przez osobę przyjmującą zgłoszenia zanotowane. Stanąłem przed chorym w starszym wieku, nieprzytomnym. Nie zastanawiałem się, choć nie było to zupełnie bez

znaczenia, kim on jest. Raczej próbowałem dociec, co mu jest, boć przyczyn takiej utraty przytomności mogło być z pięćdziesiąt. Gdy po pierwszych próbach ustalenia diagnozy bezradnie wpatrywałem się w leżającego, stary pielęgniarz, który mi towarzyszył, przysunął się do mnie i cicho szepnął, tak, by nikt nie słyszał: — Pali fajkę, panie doktorze...

Usta chorego podczas oddychania rzeczywiście układały się w grymas przypominający wypuszczanie dymu przez kogoś, kto pali fajkę. Nawet młody lekarz, o ile coś niecoś panięta z patologii, powinien wiedzieć, że „palenie fajki” to typowy objaw towarzyszący wylewowi krwi do mózgu. Felczer Gutentag — takie, zdaje się, było jego nazwisko, musiał mieć duże doświadczenie z podpowiadaniem w szkole. Nikt jego uwagi nie dostyszał. Gutentag pracował w pogotowiu czterdziście pięć lat i chyba trzy pokolenia lekarzy stawiały przy nim swoje pierwsze pogotowiowe kroki. Zmarł później w getcie z głodu...

Reszta poszła już różnie. Puszczanie krwi (tak, tak), odpowledni zastrzyk — byłem już w domu. Wiek chorego nie rokował zresztą wielkich nadziei.

Dziwnym zrzadzeniem losu tym moim pierwszym chorym był człowiek, którego widziałem wprawdzie pierwszy raz w życiu, ale o którym wiedziałem chyba wszystko. Nazywał się Zachariasz Warszawski, był przed laty właścicielem sklepu hurtowego z manufakturą i u niego, z początkiem tego stulecia, rozpoczął, jako chłopiec na posytki, pracę mój ojciec. Mój ojciec, człowiek o zacięciu feletonistycznym (pisał zresztą stale do prasy ukazującej się w języku żydowskim) i o zdolno-

ciach aktorskich niemających (był aktorem w getcie warszawskim), mógł godzinami opowiadać o Zachariaszu Warszawskim, o jego sposobie mówienia, sposobie bycia, o jego zwyczajach i naukach życiowych, o jego stosunku do pracowników czy klientów. I trafił zdarzył, że kiedy wraz z końcem dawnego świata rozpoczynałem, rzucony na szerokie wody samodzielności, pracę lekarską, pierwszym, któremu wypisałem kartę zgonu (nazajutrz po mojej nocnej wizycie), był człowiek, u którego życie samodzielne, po przyjeździe z dalekich Kłobnie, rozpoczął czterdziście lat wcześniej mój ojciec...

Ale widzę, że zagubiłem zasadniczy tok tej relacji. Bo miałem jeszcze wyjaśnić, skąd ta specjalizacja w chorobach zakaźnych... Otóż, jak już wspominałem, byłem początkowo wolontariuszem na oddziale internistycznym. Notabene był to oddział internistyczny, niezwykły. Część męską tego oddziału zajmowali sami starzy, których podzuczano szpitalowi, chcąc się ich pozbyć z domu. Na części żeńskiej natomiast leżały same młode i przystojne kobiety. O ile fakt pierwszy był aż nadto w warunkach gettowych zrozumiały, to drugi był efektem erotycznych wyczynów ordynatora oddziału, doktora M. Doktor M. był skądinąd człowiekiem uroczym i kulturalnym. Słabością jego były kobiety, na oddziale awoim nie uznawał pacjentek powyżej trzydziestki. Jego obchody wzbudzały zawsze sensację. Zlatywały się na nie pielęgniarki z całego szpitala. Podczas badania operował jeśli wolno się tak wyrazić, kilkoma chwytami, które stosował w zależności od potrzeb, albo od walorów zewnętrznych chorej. A więc na przykład brzuch chorej badał wyłącznie pod kocem, jak gdyby nie chciał, obnażając ją przed innymi, narażać jej na wstyd. Lubił też chore kłaść na brzuchu i coś tam poniżej pępek wyszukiwać. Osiuchiwanie czy opukiwanie pęców odbywało się w ten sposób, że zawsze jedna ręka doktora M. spoczywała na piersi pacjentki. Pielęgniarki obserwując te manewry skreślały się ze śmiechu, lekarze asystujący ordynatorowi przyglądali się jego wyczynom z zazdrością i ze zrozumieniem, a chore? Chore na ogół nie protestowały, najwyżej rumie-

niec dawał wyraz ich emocjom.

Otóż ów doktor M., który mnie lubił i często okazywał życzliwość, zaproponował mi pracę asystenta — płatną! — w szpitalu dla zakaźnych chorych. (M., który odegrał później raz jeszcze dużą rolę w moim życiu, zginął w dziwnych okolicznościach. Po likwidacji getta Niemcy pozostawili go wraz z grupą ośmiuset Żydów „do sprzątania” opuszczonych mieszkań i warsztatów. Pewnego dnia wyjechał z kilkudziesięcioma robotnikami za miasto i już więcej nie wrócił. Całą grupę zgładzono w Chełmie). W każdym razie miałem dość umierających bez leczenia starców i obmacywanych zamiast leczenia kobiet. Zgodziłem się na przejście do „zakaźnego”, choć było to ryzykowne, a ponadto wszystkiego musiałem się uczyć od początku.

Na szczęście w bibliotece szpitalnej znalazłem podstawowy dla tej dziedziny medycyny podręcznik Karwackiego. Intensywnie wkuwałem więc treść podręcznika, mając bogatą praktykę na salach szpitalnych, i powoli zaczynałem odczuwać coś w rodzaju komfortu psychicznego. Polegał on na tym, że znacznie częściej niż na internie widziałem chorych, którzy wracali do zdrowia. Było to oczywiście związane z nie-normalnymi warunkami życia w getcie, ale niemniej wzbogacało praktykę lekarską o szczyptę optymizmu. Typowy wykres gorączki chorego na dur brzuszny napawał, mimo drutów getta, mimo głodu i beznadziejności, wiarą w niewzruszony porządek świata. Nie było właściwie w szpitalu dla zakaźnych chorych wypadków beznadziejnych. Przepraszam, poza gruźliczym zapaleniem opon mózgowych. Ale gruźlica rozpadowa zlokalizowana była w innym szpitalu — tutaj trafiały właśnie wypadki zapalenia opon mózgowych, którego charakter należało dopiero rozpoznać. Wszystko zależało od tego, jaki wygląd miał płyn mózgowo-rdzeniowy otrzymywany po nakłuciu lędźwiowym: mętny czy przeźroczysty. Ukazanie się płynu czystego oznaczało wyrok nieodwracalny. Dowodziło zapalenia opon typu gruźliczego, na co wówczas (nie tylko zresztą w getcie) nie było ratunku. Zdarzało się zresztą tych wypadków bardzo dużo, a sami chorzy nie byli na

szczęście świadomi faktu, iż wyrok zależał od wyglądu owej pierwszej kropli, która spadała do probówki...

Jeszcze tylko kilka słów o moich przełożonych, bo i to jest w tym wypadku dość istotne. Naczelnym lekarzem szpitala był dr Sz., przyzwoity szafar. Ordynatorem zaś, któremu bezpośrednio podlegałem — dr W. niemłody już lekarz, dobry fachowiec, który uważał, być może nie bez słuszności, że to on właśnie powinien kierować szpitalem. Na szczęście ambicja ta nie wpływała na tok pracy szpitalnej.

Jesień tego roku była pogodna, ostra i chłodna. Niebo, prawie stale bezchmurne, jak gdyby starało się przez swój nieskazitelną błękit wlać trochę nadziei czy może radości w ponury nurt toczących się między drutami getta spraw. Nie było jednak takiej pory roku, ani takiej pogody, które byłyby w stanie zneutralizować porcję gorczy, nieszczęść czy klęsk, która przypadała z niemieckimi łaski na każdego mieszkańca getta. Nawet nieliczne w getcie drzewa przystosowały się do tujejszych warunków: zieleniły się dopiero gdzieś pod koniec wiosny, a traciły liście już w sierpniu. Za szpitalem zakaźnym rozciągał się szeroki płat brudnoniebieskiego pola, z którego ten i ów usiłował wydobyć jakiś niedźwiz płon, ale ziemia także nie sprzyjała pariasom. Tędy wiodła zresztą droga do szpitala, gdyż był on tak dziwnie usytuowany, że tuż przy frontowej bramie rozciągał się druty stanowiące granicę getta i stał tu zawsze uzbrojony żandarm niemiecki. Żandarmowi zaś zawsze mogła przyjść ochota, by dla wprawy strzelić sobie do Żyda. Sprawozdania pogotowia wiele mogłyby na ten temat powiedzieć. Czasem zresztą jakiś mieszkaniak getta sam podchodził do SS-mana prosząc o zbawiającą kulę, chociaż przynależał do getta, że jak na warunki życia za drutami, podobnych wypadków było stosunkowo mało.

C.D.N.

Georgia obliczyła na mapie odległość z Monachium do La Spezii.

— Zakładając, że telegram doszedł do nich dzisiaj, to dwie godziny po wysłaniu, to jeszcze przed północą powinni się tu zjawić z mikrofonami.

Miała na myśli przedstawicieli „Wolnej Europy”. Duch ocenił sytuację bardziej sceptycznie. Opublikował kiedyś satyryczny wierszyk o tej rozgłosie, co spotkało się z atakiem z ich strony.

— Właśnie dlatego — twierdziła uparcie — jesteś dla nich bardziej wartościową zdobyczą, niż ktokolwiek inny. Zobaczysz, że najpóźniej jutro w południe zjawia się tutaj i proponują współpracę. Może nawet dostaniesz pełną etat, i będziemy sobie mieszkali w tym fantastycznym Monachium, najlepiej na Schwabingu...

Jan Duch zwierzył mi się kilka lat później, już w Kanadzie, że chociaż nie wierzył w możliwość nawiązania bliższych związków z „Wolną Europą”, to przecież nie odrzuciłby okazji do intymnego zapoznania się ze strukturą organizacji, z metodami jej pracy, z ludźmi. Zakiełkowała mu bowiem myśl, że — czemu nie? — można by pójść w moje ślady i po powrocie do Polski rąbnąć „Raport z English Garden”. Precedens, jeśli chodzi o tytuł, już był, ktoś zaraz po „Raporcie z Monachium” napisał „Raport z Hamburga”. Samo podpięcie tytułu nie gwarantuje powodzenia, Jan Duch jednakże był pewien, że publiczność, nawykła już do kolejnych raportów, z rozpadu i jego raport nabędzie.

Wysyłam panu pieniądze — powiada Giedroyc. — Już dzwoniłem do Zahorskiego w Rzymie, on do pana zadzwonił. Niech się pan z nim umówi, będziemy w kontakcie. Powodzenia.

Rzeczowość i spokojny głos Jerzego Giedroycia wpływały na Ducha znakomicie. Wbiega do pokoju, relacjonuje Georgii rozmowę z legendą uchodzącą opozycji.

— Najważniejsze, że jutro będziemy mogli coś wreszcie zjeść — podsumowuje go rzeczowo Georgia. — Mam nadzieję, że przesyłka jest telegraficzna.

Niestety, następnego dnia było święto państwowe, poczta zamknięta. Nie jedli nic, dosłownie nic, tylko pili wodę. Paluszki „Grissini” poszły rozrzuć poprzedniego wieczoru.

Trzeci dzień, to była niedziela. Ani kruszyny do jedzenia. Opanowało ich jakieś zaćmienie mózgu, mogli przecież jakoś wytłumaczyć właściciela hotelu sytuację, pożyczyc trochę lirów, czy po prostu poprosić ją o posiłek. Ale nie pomyśleli o tym.

W tym czasie były telefony od Zahorskiego z Rzymu i od Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z Neapolu. Zahorski do pracownik komitetu pomocy dla uchodźców, dziś już

się do Paryża, i opowiem o ich pobycie w Rzymie w miarę szczegółowo, teraz jednak czas na moją własną „story”.

Pojechałem do Maisons-Laffitte, żeby zobaczyć „Kulturę” opowiadanie pt. „Żywi”, które w 1965 roku miało być drukowane w „Twórczości”. Kiedy już numer był złożony i posłany do drukarni, w ostatniej chwili cenzura wstrzymała moją prozę. Numer opóźnił się o trzy tygodnie, Jarosław Iwaszkiewicz dał na miejsce „Żywych” swoją prozę o podobnych rozmiarach. Interweniowałem, szumiałem, aż wreszcie Jerzy Putrament wziął mnie pod ramię i macając mój biceps (zawsze lubiłem macać mój biceps, nie był pedalem, wręcz przeciwnie, ale imponowała mu siła i zdrowie) doprowadził do balkoniku w korytarzu pierwszego piętra Domu Literatury.

— Nie denerwujcie się — powiedział — to bardzo piękne opowiadanie, ale ja po przeczytaniu nie mogłem spać całą noc. Jeżeli ja nie mogłem spać, to pomyślcie, jakie szokujące wrażenie wywarłoby to opowiadanie na prostym czytelniku! Nie martwcie się, ono pójdzie, tylko nie teraz.

— A kiedy?

— Jak społeczeństwo dojrzeje. Może za pół roku.

— Za pół roku społeczeństwo dojrzeje?

Telefon z Maisons-Laffitte dawał nadzieję



Marek Hłasko, Maisons-Laffitte, 1968

Ale o tym dowiedziałem się dużo później. Na razie Jan Duch stoi przed wejściem do „Albergo Corallo”, na słonecznej ulicy, i wypatruje samochodów z RFN-owską rejestracją, szczególnie poluje na tablice z literą M. Nikt jednak z Monachium nie przyjeżdża. Jest już popołudnie, Jan Duch jest głodny. Georgia leży na łóżku w pokoju, głowa wtulona w poduszkę. Nie mają ani grosza.

Duch wraca do pokoju, pije dwie szklanki wody. Znajduje na nocnym stoliku napoczętą paczkę długich, stonych paluszków „Grissini”. Zjada kilka paluszków. Chrupanie denerwuje Georgię, pobudza ją do wygłoszenia komentarza na temat sposobu jedzenia, któremu Duch od lat hołduje, z tak zwanym glamaniem. Duch pomija milczeniem uszczypliwe uwagi byłej żony, byłej najbliższej istoty w jego byłym życiu.

— Przyjadą — mówi ona z przekonaniem. — Nie przyjadą — powiada Duch — ponieważ są głupcami. Ale nie są aż takimi głupcami. Są głupi, że mnie nie wykorzystają, dając mi przy okazji zarobić, ale są mądzy na dłuższą metę, ponieważ za jakiś czas bym im przypierdził, a by dym szedł. Niepotrzebnie do wałów telegrafowałem, gdybym tego nie zrobił, sami by przyszli. Tak, to wygląda na prowokację.

— Poeta prowokator — wzrusza ramionami Georgia.

— Skąd mogę wiedzieć, co za brednie im się na mój temat legną w zjeżdżających mózgach? — powiada obojętnie Jan Duch i w tym momencie rozlega się pukanie do drzwi.

— Signora Duk, telefono, prego — czy jakoś tam powiada konserżka i Duch skacze do drzwi.

— A nie mówiłam! — słyszy za sobą głos Georgii.

Telefon jest na dole, Duch o mało nie łamie nogę biegnąc. Ale opanowuje się, biorąc słuchawkę.

W odpowiedzi na swoje „hallo” słyszy spokojny, dystyngowany głos:

— Czy to pan Jan Duch?

— Tak, słucham.

— Tu Jerzy Giedroyc.

— Wspaniale, że pan dzwoni — powiada Duch z trudną do ukrycia radością. Całe napięcie ostatniej doby opada teraz z niego, czuje się tak, jakby w ciemności jakiejś preri de-strzegł światła domu.

pewnie od dawna emerytowany, a może już nie żyje — Grudziński zaś to felietonista „Kultury”, człowiek niesłychanie oczytany, piszący klinicznie pięknym stylem, obdarzony jednakoż cechą, która według jednych może być zaletą, według innych wadą — jest on mianowicie najbardziej zagorzałym antykomunistą, jakiego znam. Obaj panowie umówili się z Duchem w Rzymie, ale to nie zmieniło sytuacji kalorycznej Ducha i Georgii, byli głodni jak wilki, bilszy wyćnięcia. Czekali poniedziałku, jak wy-bawienia.

Przyjeżdżają poniedziałek i wtedy właśnie, od rana, pracownicy poczty zaczęli strajk. I ten strajk trwał, na szczęście, bardzo krótko, tylko trzy dni. Nie jedli nic, solidaryzując się ze strajkującymi, ale ci na pikiecie przed gmachem poczty wcinali kawały olejkającej olej-pizy, pomidory i bułki, pomarańcze, banany i lody.

W czwartek około południa Jan Duch odebrał z poczty przesyłkę. Staniając się na nogach, podrzymując oszołomioną Georgię, poszli ulicą i pierwszy sklep, który im się rzucił w oczy, to była taka kafejka uliczna, ludzie przy stolikach wcinali cassatę apumoni. Siedli, zamówili potrójne porcje, tych wspaniałych, krojonych szerokim nożem lodów. Pożarli to w mgnieniu oka. Następny sklep: winogrona, pomarańcze, jabłka. Kupili, zarli idąc ulicą do hotelu.

Pół godziny potem zaczęła się rewolucja, w wyniku której dwie łazienki na korytarzu były okupowane przez długie godziny. Następnie Duch i Georgia spędzili dwa dni w łóżku z powodu osłabienia. Mieli już forsę, więc signora przynosiła im z miasta leki i delikatne potrawy.

Szkoda, że mikrofony „Wolnej Europy” nie znalazły się wtedy w pokoju Ducha i Georgii. Wierni słuchacze w Polsce mieliby czego posłuchać.

Ja sam w tym czasie przebywałem już w Paryżu, więc historię Jana Ducha i Georgii znam z ich relacji. Minęły jeszcze dwa miesiące, zanim Duch z Georgią dostali

— No, to może za rok. Ale dojrzeje, nie martwcie się, i wtedy opowiadanie wam wydrukują.

Czekałem na to nie sprecyzowane bliżej dojrzenie społeczeństwa od roku 1965 do roku 1971, i oto jestem u Jerzego Giedroycia z „Żywymi”, ale okazało się, że czytelnicy „Kultury” też nie są zbyt dojrzały, Giedroyc miał opory, a po wydrukowaniu przyszła masa listów protestujących przeciw takim „świństwom”, ludziska zrywali prenumeratę.

Jerzy Andrzejewski zwykł opowiadać o swoich wizytach w Maisons-Laffitte z grymasem bólu na twarzy. Powodem były obiady, serwowane przez Zofię Hertz, żonę Zygmunta Hertza, dyrektora administracyjnego „Kultury” i brata poety, mieszkającego w Polsce, Pawła Hertza.

— Jak ona ci zaserwuje sztukę mięsa, to wyskakuj przez okno — powiedział. — Można sobie polamać zęby, a żołądek to lepiej sobie pożyczyc od strusia.

Kiedy słuchałem tych skarg Jerzego Andrzejewskiego, wydawało mi się, że słucham anegdot o czymś, co dzieje się na księżycu, nigdy bym nie przypuszczał, że będę właśnie w malej jadalni, w Maisons-Laffitte, miał przed sobą dokładnie taką samą sztukę mięsa, jak opisała przez Andrzejewskiego! Deżawu, jak mówi Francuzi, coś jakby realizacja niedobrego snu. Jadłem tę sztukę mięsa, zylasta jak Bruce Lee, i patrzyłem kątem oka na Giedroycia, który wyprostowany, z lokiami sztywno przy sobie, z serwetą pod brodą, z miną lekko wyniosłą i nieobecną, lykał kawałki tych ścięgien z taką łatwością, jakby od dziesięć lat niczym innym nie był karmiony. Po prostu cztery do pięciu ruchów szczęk i dyskretne przekłknięcie, i nowy kawał opony wędruje do ust księcia. Cóż to jednak znaczy być arystokratą!

Zofia Hertz, jeżeli jeszcze żyje, niech będą wybaczone te sztuki mięsa, te kulinarne anty-sztuki. W pociągu powrotnym do Paryża opowiedział mi trzy anegdoty o Marku Hłasko, które tu powtórzę — a opowiadała je w taki sposób, w jaki może mówić o zmarłym kobiecie, darząca go macierzyńską miłością.

Kiedy Marek mieszkał w Maisons-Laffitte po swoim wyjeździe z Polski, zwykł wracać późno z Paryża, mntel już więcej podgazowany (raczej to drugie), i wtedy wchodził bez pytania do sypialni Hertzów, ślał na łóżku, w którym już zwykły Zigmunt Hertz szykował się do snu, i opowiadał wrażenia z dnia. Hertz miał kłopoty ze spaniem, musiał co wieczór brać mocne prozki. Kiedy wziął prozki, Marek wychodził, bo wiedział, że Hertz, którego zwał wujciem, zaraz usnie. Któregoś wieczoru przyszedł trykniety nieco mocniej, ślał w nogach łóżka i tak nudził, że w końcu Hertz zasnął twardo. Hłasko patrzył, zastanawia się, poczem szarpie Hertza, z trudem go budzi i powiada:

— Wujciu, żebyś nie myślał, że jestem pijany. Zauważyłem, że zapominałeś wziąć prozki na sen...

Podczas kręcenia filmu według noweli Marka „Osmi dzień tygodnia”, Hłasko poznał odwrócić główną rolę, niemiecką aktorkę Sonię Ziemann. Pobrali się i było to dość burzliwe małżeństwo, jak łatwo sobie wyobrazić. Sonia kupiła willę w Szwajcarii, umeblowała ją ładnie i zostawiła w niej Marka w celach twórczych, a sama wyjechała do Stanów kręcić film. Marek był krótki w sztony akurat, więc zadzwonił po meblarzy, którzy zajmowali się skupem używanych gratów, i całe wyposażenie willi opylił. Po jakimś czasie funduszy zabrakło. Wezwał więc pośrednika handlu nieruchomości i zaczął negocjować cenę za dom. Jako małżonek był prawnym współwłaścicielem willi, miał więc prawo wszcząć pertraktacje. W każdym razie naciągnął agenta na pożyczkę. W tej właśnie chwili wróciła Sonia.

Godzinę później Marek był już w samolocie

do Paryża. I znów znalazł się w Maisons-Laffitte, bo gdzie mógł zatrzymać się bez forsy? Sonia wytrzymała kilka tygodni bez męża, i o to taka scena: obiad, tym razem kurczak pieczony, więc już nie tak zylasty. Marek w czystej koszuli, pod krawatem, marynarka — po obiedzie ma spotkanie w Paryżu z wydawcą, chce wyglądać jak cywilizowany Europejczyk. Nagle pisk opon na dziedzińcu, chmura kurzu, Porsche Soni staje deba przed wejściem. Wpada Sonia, ale zanim przeszła przez pomieszczenia, Marek już wiedział, że ona nadciąga. Zrywa z siebie marynarkę, krawat, rozrywa na piersi koszulę, aż pryskają guziki, w obie łapy bierze kurczaka, wgrza się w niego jak dziłkus, smaruje sobie twarz tłuszczem, kością drapie się po głowie, czochna się pod pachami, jedzi tą otłuszczoną łapą po klatce piersiowej — Sonia już od kilku chwil stoi w drzwiach jadalni, widzi to wszystko, ogarnia ją przerażenie, wybiega. Marek wstaje, znika na dziesięć minut. Wraca po prysznicu, w nowej koszuli, w nowym krawacie, nowy garnitur, włosy uczesane, uśmiecha się miło i grzecznie prosi o deser. Ta metamorfoza załatwiła Sonię lepiej, niż długi ping-pong wymówek, zarzutów i usprawiedliwień, i Marek znów miał spokój na parę tygodni.

Nie wiem, czy to takie dowcipne, ja tam bym się po głowie kurczakiem nie smarował, a Sonia prawdopodobnie jadłaby mi z rekł, bo akurat w te kłocki to Marek mocny nie był, wolał gorzalkę. Trzecia anegdota przydała mi się do noweli „Zmienna ogniskowa”. „Wolna Europa” urządziła bankiet, na który zaproszono Marka Hłasko. Było kilkadziesiąt szalenie godnych (czego?) osób, i w pewnej chwili, odpowiednio wyczekanej, Marek wszedł na stół, wyjął ptaka i wszystkich oszałał. Obojętnie. Chodził po tym stole, naczynia strącał nogą, i lał pa wleech. Ale to już, zdaje się, nie pani Hertz mi opowiadała, tylko syn jednego z dyrektorów „Free Europe”, przy kolacji w hotelu „Graf Berthold”, w mieście Fribourg w Szwajcarii, o wiele później. Zdaje się, że nazwa hotelu brzmi inaczej, nie pamiętam.

Wróćmy do biednego Jana Ducha. Sporo czasu upłyne, zanim stanie on, skromny poeta, przed obliczem księcia wielkiego litewskiego, Jerzego Giedroycia, który wszystkich klientów chłodnym okiem takuje pod kątem: przyda mi się ten stwór, czy okaże się zbędny?

Na początku każdy jest przydatny. Każdy do czegoś tam może być użyty Leszek Szymanski, założyciel i pierwszy redaktor naczelny „Współczesności” napisał mi do Brukseli z Kalifornii: „nie będziesz długo cieszył się łaskami pana Giedroycia, wykorzystam kilka twoich materiałów w celach propagandowych, bo on robi pismo polityczne, a nie literackie. Później odsunie cie tak samo, jak odsunął wszystkich, którzy nie pasowali do jego kregu, którzy nie byli przez niego wychowani. Nie licz na to, że dzięki współpracy z „Kulturą” zapewniasz sobie jakiś taki byt”.

Leszek miał rację, nie wiedział tylko jednego: zawsze sam dawałem sobie radę w życiu, zawsze brałem to, na czym mi naprawdę zależało. Na współpracy z Jerzym Giedroyciem mi nie zależało, tak samo, jak na współpracy z kimkolwiek. Byłem młody i zdrowy, mogłem utrzymać się z pracy rat, przynajmniej w ciągu kilku pierwszych lat — a potem zobaczymy. Od polityki zawsze trzymałem się z daleka. Jestem zbyt silny, by łączyć się z jakimkolwiek grupą. Jan Duch zgadza się ze mną pod tym względem.

W momentach krytycznych człowiek jednak garnie się do ludzi, ma do tego prawo, jeżeli ma coś tym ludziom do zaoferowania w zamian za pomoc.

Jerzy Giedroyc przysłał Janowi Duchowi, młodemu poecie polskiemu pieniądze, ponieważ fakt, że Jan Duch „wybrał wolność” był w całokształcie działań grupy „Kultury” elementem pozytywnym, potrzebnym. Jan Duch napisał expose, wydrukuje kilka wierszy piętnujących komunizm, czy po prostu pracowników Urzędu Bezpieczeństwa, i to wystarczy. Jan Duch spełnił swoją rolę, która warta jest to czy pięćset tysięcy lirów, a choćby i więcej. Potem już ta gorąca bułka ostygnie, a potem znacznie schnąć. Duch wiedział, że tak będzie. Ale wcale się tym nie przejmował. Miał swoje plany. Chciał mianowicie zostać, zupełnie serio, poetą kanadyjskim, piszącym i publikującym w języku angielskim.

— Wiersz zawiera o wiele mniej słów, niż powieść — tłumaczył mi po latach, kiedy jego pierwszy tom poezji w języku angielskim ukazał się w Toronto, — Rzecz najważniejsza, to wizja, to napięcie wewnętrzne, a do tego trzeba pojąć r-czej duszę języka, niż gramatykę, czy jakąś ogromną ilość słów. Kiedy poznam dwadzieścia tysięcy słów angielskich, będę już myślał po angielsku. A wtedy wiersze same zaczną ze mnie wylazić.

Kiedy ma się takie marzenia, takie zamiary, kiedy człowiek pragnie stać się kimś innym, kimś nowym, kiedy stara się zadziwić sam siebie — coż mu po jakiegokolwiek grze politycznej? To Jan Duch wykorzystał redaktora Jerzego Giedroycia, ponieważ dzięki niemu łatwiej przeżył początki emigracji, a korzyści, chwilowe i nikłe, jakie Jerzy Giedroyc odniósł z powodu przybycia Jana Ducha na Zachód, dawno już poszły w zapomnienie.

C.D.N.

Wiadomość, iż telewizja zamierza przedstawić sztukę pt. „Niech szczepa artyści”, zelektryzowała mnie. Z wypiekami na twarzy i nadzieją, że się intelektualnie objem, zasiadłem przed odbiornikiem i oddałem się na pastwę wyobraźni autora.

Onegdaj Tadeusz Kantor powiedział, że jego teatr to teatr „malarzski” i tak jest chyba w istocie, ponieważ obrazy przesłaniają treść. Akcja jest bardzo skom-

Kantor przedstawia tę sztukę siebie w różnych okresach swojego życia, przy czym wszystko kłębi się jednocześnie. I tak na przykład dzieckiem będąc i dopiero osuwając się z rzeczywistością, słyszy pieśń „My, Pierwsza Brygada”, a że obdarzony jest niepospolitą wyobraźnią, przedstawia siebie na kasztance, której grzbiet jakby wilcy zjedli, co może również stanowić metaforę. Obok sceny egzekucji, więc

stać Kanta na sztukę teatralną według klasycznych reguł. Jako szermierz awangardy i eksperymentator może na taką sugestię nie zwrócić uwagi, ale przecież Picasso, od którego się wszystko zaczęło, potrafił namalować taki akt, że można się było ewentualnie podnieść. Czyli wyobraźnia prekursorów awangardy rozwijała się chyba w ten sposób, że znudzeni tradycyjnymi środkami wyrazu wymykali się ustalonym szablonom i wędrowali psychiką w nowe rejony, ale formę cały czas trzymali na wodzy i to oni kontrolowali twórczość, nie nie powierzając przypadkowi. Każdy okres, kierunek w sztuce rozkwita, by potem poprzez nasładowców wyrodnąć i w końcu zatracić pierwotne zalety. Gdy na przykład widzę rzeźbę pt. „Kapiąca się”, która przypomina mi raczej klucz francuski albo oglądam „Kobiety” skonstruowaną z pogiętych i poskręcanych blach, gdzie ja się nawet cycka nie mogę domyślić, to już sam nie wiem, co o nas pomyślą dalecy potomni.

Kantor eksperymentuje, na szczęście przy znacznym wysiłku można jeszcze złapać sens, choć, jak sądzę, dar przekraczania wyobraźni nie został mu ofiarowany, zaś różne kruczki artystyczne wynikają po części z mody i snobizmu. Ale mogę się mylić.

TOMASZ KUBIK

TV

Przelknąłem Kantora

plikowana, to znaczy właściwie nie ma akcji. Scena oprowadzana jest przez postaci o skłonnościach epileptycznych, które z rzadka wypowiadają kwestię i odnosi się wrażenie, że słowo to również tylko fragment malarzskiej kompozycji.

Mniej więcej od połowy spektaklu powieki zaczęły mi się kleić niebezpiecznie, lecz wytrzymałem i to mi się opłaciło, gdyż dzięki napisom końcowym, a następnie dyskusji gości w telewizyjnym studiu, z których każdy napisał książkę na temat Kanta, dojrzałem niedostrzegalne gołym okiem pokłady wyobraźni krakowskiego twórcy.

Tak więc zorientowałem się, że

domyśliłem się, że chodzi o okupację, zaś obecność autora tuż przy scenie i nabożna gestykulacja w kierunku aktorów zdają się ukazywać stan bieżący.

Z relacji naszych publikatorów wynika, że popyt na Kanta na Zachodzie nie słabnie, a w kręgach intelektualnych elit jest nawet czczony. Być może bierze się to częściowo ze znudzenia racjonalizowaną rzeczywistością i potrzeby przewietrzenia umysłu poprzez zanurzenie się w takie par excellence wariactwo. Ale może Kantor tak zgłębia istotę bytu, że wywołuje w subtelny i rozbudzony intelektualnie odbiorcy egzystencjalny szloch.

Ciekaw natomiast jestem, czy

Marian Żalski dziękował niedawno Fenicianom, że wynaleźli pieniądze, szkoda tylko, że tak mało. Mimo tego dotkliwego defektu, pieniądze należą do tych wynalazków cywilizacyjnych, które zrobiły wielką karierę. Kto wie nawet czy nie największą? Za pieniądze ksiądz się modli, za pieniądze lud się podli — trątnie ujmując trwający od wieków stan rzeczy stare porzeczadło.

W dziejach pieniądza — oprócz historii namiętności, które zawsze wzniecały — być może szczególnie interesujące jest jego sukcesywne i konsekwentne odchodzenie od rzeczywistości. Najpierw pieniądz był, mając realną wartość, częścią tego świata, potem zmienił się w odpowiednio zadrukowane prostokąty papieru, których siła z dnia na dzień mogła spaść do zera, wreszcie stał się szeregiem abstrakcyjnych cyfr, wypisywanych w różnego rodzaju książeczkach, bądź wykrzykiwanych przez kapłanów-maklerów w trakcie niepojętego dla profanów misterium giełdy.

W tym punkcie pedanci mogą wtrącić, że cała rzecz nie dotyczy w istocie pieniędzy, ale tego, co można za nie kupić. Otóż nie jest to takie pewne. Idąc po ulicy i mając w kieszeni 20 tysięcy złotych, które zostały nam po opłaceniu świadczeń z uczelowej pensji, możemy sobie kupić 25 paczek „Marlboro”, nabyć po cenie komercyjnej benzynę wystarczającą na przebycie „maluchem” aż 1300 kilometrów, skosztować 50 torcików w „Grandce”, skorzystać z usług 3 panienek spacerujących w pobliżu, bądź podjąć heroiczną decyzję przeżycia do końca miesiąca. We wspomnianych 20 tysiącach zawierają się potencjalnie wszystkie te możliwości, możemy się nimi cieszyć równocześnie, jeśli zaś już jedną realizujemy, inne ulatnia-

ją się bez śladu i doznajemy przykrego uczucia, że życie nasze nagle zubożało. Nie bez powodu niektórzy uważają, że pieniądze zwracają młodość i nie chodzi tu tylko o banalny fakt sprowadzania sobie przez zamożnych starszków młodych panienek, ale miłe przypomnienie stanu dojrzewania, kiedy człowiek był wprowadzany nikim, ale mógł być wszystkim.

Myśli takie, chcąc nie chcąc, opadają widza najnowszego filmu Olivera Stone'a pod wszystko właściwie wyjaśniającym tytułem

Money!

„Wall Street”. Z przyjemnym dreszczykiem oglądamy świat wielkiej finansjery i dzieje młodego maklera, który, wysługując się potężnemu rekinowi, pnie się błyskawicznie po stopniach kariery, zdobywając po drodze pewność siebie, luksusowe mieszkanie, samochód i na dodatek miłość pięknej dziewczyny. Rozumiemy namiętność bohaterów do zdobywania coraz więcej i więcej dolarów i gotowi jesteśmy nawet wybaczyć im bezwzględność i cynizm, tym bardziej że główne role odtwarzają Michael Douglas i Charlie Sheen (syn Martina Sheena, którego pamiętamy z „Apokalipsy” Coppola). Nic tylko patrzeć, nucąc sobie pod nosem cytowany w filmie stary, świetny przebój „Fly me to the Moon”.

Sprawy komplikują się nieprzyjemnie dopiero, gdy na ekranie

— niczym duch ze starego filmu — pojawia się Sheen — ojciec. Swoim śmiesznym bagażem tracącym myślenie zasad moralnych i wiary w niezależność wartości człowieka od sumy pieniędzy, którą dysponuje, otumania on własnego syna (także filmowego) i przyczynia się do jego kompletnego upadku; świetnie zapowiadający się młody finansista nie dość, że bierze po głębie od swojego pryncypała i traci kochającą (autentycznie, przy rozstaniu ma łzy w oczach) dziewczynę, to jeszcze trafia do więzienia. Idea przyswiewiacą temu nieoczekiwanemu i denerwującemu zwrotowi wypadków jest bez wątpienia słuszna i budująca, a poza tym absolutnie czytelna. Tylko czy przekona się do niej obywatel, którego miesięczne pobory wystarczają na zakup 25 paczek „Marlboro”, czyli niecałej paczki dziennie, nawet jeżeli solennie obiecał sobie rzucić palenie? Każdy marzy o wzbogaceniu swojej osobowości kosztem rezygnacji z furi pieniędzy, tyle tylko, że jakoś ciągle mu się tej możliwości nie daje. Póki co musimy się zadowolić podziwianiem kapitalnego, nerwowego montażu scen „finansowych” w obrazach typu „Wall Street” i pogwizdywaniem przez zęby „Zabierz mnie na księżyc”...

RYSZARD NAKONIECZNY

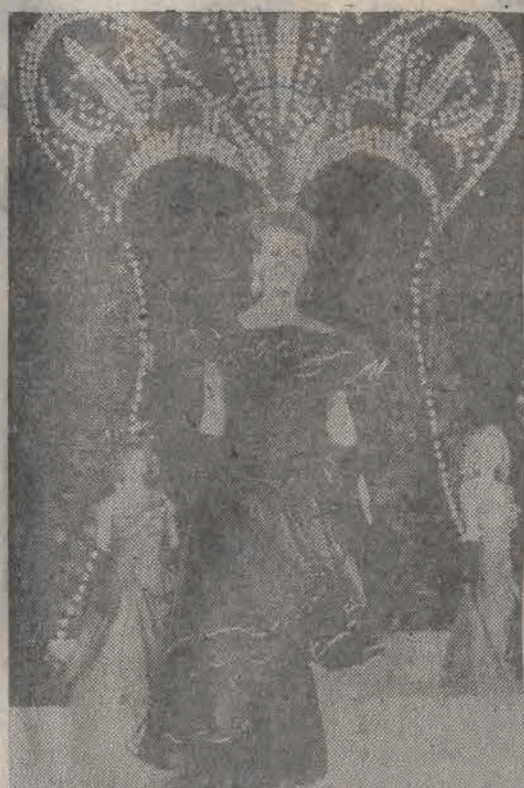
WALL STREET, scen. Stanley Weiser i Oliver Stone, reż. Oliver Stone, zdj. Robert Richardson, muz. Steward Copeland, aktorzy: Michael Douglas, Charlie Sheen, Martin Sheen, Daryl Hannah, Terence Stamp.

A może do kina?



Reklamowany przez chińskiego dystrybutora jako „szerokokranowy film Kung-fu” pt. „Zdrada i zemsta” w reżyserii Zhou Kangyu z pewnością zdoła będzie u nas ogromną widownię. Posiada dynamiczną, ciekawą fabułę osadzoną w realiach powstania Tajpingów z 1864 r. i wiele efektownych walk kung-fu w prawdziwie mistrzowskim wydaniu. Po stłumieniu powstania Tajpingów, w wyniku zdrady, ginie męczenną śmiercią jego wódz. Dziesięć lat później jego syn, znakomity wojownik, pragnie pomścić śmierć ojca.

GRZEGORZ GALASIŃSKI



• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

„JAK PISAĆ SKARGI?”

Ze Spółdzielni Mieszkaniowej „Teofilów” otrzymałem następujące pismo.

W załączeniu przesyłamy na ręce Obywatela Redaktora kopię pisma skierowanego do ob. A. Jeziornej i stanowiącą odpowiedź na Jej pismo, które wpłynęło do n. Spółdzielni po ukazaniu się artykułu „Jak pisać skargi?”, a także odpis pisma do PZPR Komitet Łódzki — Wydział Ekonomiczny z 1988.06.20 z prośbą o zapoznanie się z ich treścią i wyciągnięcie stosownych wniosków.

JANUSZ BANDEL
I zastępca prezesa do spraw
techniczno-eksploatacyjnych

Otrzymałem je wraz z kilkoma odpisami na skutek tego, że Aurelia Jeziorna, po moim komentarzu „Jak pisać skargi?” skierowała do Spółdzielni Mieszkaniowej „Teofilów” pismo następującej treści:

W nr 25 Odbiosów z 18.06.88 r. zamieszczony został artykuł napisany przez redaktora naczelnego Lucjusza Włodkowskiego. W artykule tym m.in. jest napisane, że mam prawo do spokoju i ciepła w swoim mieszkaniu i spółdzielnia prawie natychmiast musi mi to zagwarantować. Czekam już 4 lata. Czekam jeszcze nawet 1,5 miesiąca od ukazania się artykułu w „Odbiosach” i nic. Proszę odpowiedzieć czy i kiedy będę miała spokój i ciepło we własnym mieszkaniu?

Na krótką odpowiedź czekam tydzień.

A. JEZIORNA

Cytując powyższe pismo, opuściłem jedno zdanie, będące drugim pytaniem, gdyż jest ono obraźliwe wobec dwu ludzi wymienionych z nazwiska i zawiera bezpodstawną groźbę.

Do pisma Spółdzielni Mieszkaniowej „Teofilów” dołączone były te trzy odpisy pism, które poniżej publikuję.

Odpowiadając na kolejny list Obywatelki z 1.07.1988 r. nawiązujący do treści artykułu autorstwa red. Lucjusza Włodkowskiego pt. „Jak pisać skargi?” zamieszczonego w tygodniku „Odbiosy” z 18 czerwca br. uprzejmie wyjaśniamy, że:

1. Nie rozumiemy intencji Obywatelki zawartych w treści kolejnego listu skierowanego do naszej Spółdzielni. W ciągu wymienionych przez Obywatelkę 4 lat Spółdzielnia zajmowała się wielokrotnie sprawami zgłaszanymi przez nią załatwiając między innymi:

a) zamontowano dodatkowe elementy grzejne w mieszkaniu, mimo że temperatura pomieszczeń wynosiła zawsze plus 18 stopni C,

b) izolację rur wodociagowych i ich obudowanie, niezależnie od faktu, że we wszystkich budynkach średniowysokich przekazywanych w Łodzi do eksploatacji do końca 1978 roku był stosowany taki system konstrukcyjny sieci wodociagowej.

2. Zgłaszane w minionym okresie czasu przez Obywatelkę sprawy, były badane i realizowane przez pracowników Spółdzielni, a także przez Społeczny Zespół działający przy Komisji Ekonomicznej Komitetu Łódzkiego PZPR, Inspektorat Lustracji CZSBM w Warszawie, organa samorządowe Spółdzielni, a więc Rade Nadzorczą SM „Teofilów” oraz jej komisje.

3. Ze swej strony uważamy za słuszne zwrócić uwagę, że przekazane redakcji „Odbiosów” do wykorzystania „dokumenty” nie zawierały bieżącej aktualizacji stanu warunków zamieszkania, choćby o sprawy wymienione przez nas w punkcie 1.

lnż. JANUSZ BANDEL

Drugi odpis pisma pochodził z Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego.

Stosownie do postanowień art. 93 § 3 Ustawy „Prawo Spółdzielcze” z 16 września 1982 r. (Dz. U. nr 30/82 poz. 210), przedstawiamy ocenę działalności Spółdzielni na podstawie lustracji specjalnej przeprowadzonej w kwietniu 1988 roku.

Przedmiotem lustracji było zbadanie zasadności zarzutów zawartych w skargach ob. Aurelii Jeziornej dotyczących gospodarki zasobami mieszkaniowymi. W toku przeprowadzonych lustracji tutejszy Inspektorat nie dopatrzył się niewłaściwego stosunku organów samorządowych spółdzielni do zgłaszanych przez obywatelkę Aurelię Jeziorną skarg i interwencji.

W związku z powyższą oceną oraz biorąc pod uwagę treść protokołu Inspektorat Lustracji CZSBM w Łodzi odstępuje od wydania zaleceń w tym przedmiocie.

Zgodnie z art. 93 § 4 Ustawy „Prawo Spółdzielcze” prosimy z treścią niniejszej oceny zapoznać uczestników najbliższego zebrania przedstawicieli członków spółdzielni.

mgr TADEUSZ RAJPOLD
(Kierownik Inspektoratu Lustracji)

Trzeci odpis — to pismo Spółdzielni Mieszkaniowej „Teofilów” adresowane do KL PZPR.

W związku z ustawicznymi skargami i zażaleniami kierowanymi przez członka naszej spółdzielni ob. Aurelię Jeziorną zamieszkałą w lokalu nr 42 (V piętro) bloku nr 208 przy ul. Traktorowej 94 do różnych instytucji oraz organizacji społeczno-politycznych (w tym do: Komitetu Centralnego i Komitetu Łódzkiego PZPR, Komitetu ds. Radia i Telewizji (Ośrodek w Łodzi), prezesa Centralnego Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego i Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Łodzi, Ministra Budownictwa, Gospodarki, Przemysłu i Komunalnej, uprzejmie informujemy, że celem ostatecznego usunięcia wszelkich niedogodności w zamieszkiwaniu wskazanych przez ob. Jeziorną w swych wystąpieniach w roku 1988 obięto następujące działania:

— docieplono mieszkanie zainteresowanej poprzez zaistalowanie dodatkowo trzech elementów grzejnych (żeberek) — dwa w dużym pokoju, jeden w małym. Wykonano 1988.02.11.

— wyciszono pracę instalacji wodnej poprzez wykonanie odpowiedniej obudowy (ze szkła) wypełnionej watą szklaną na odcinku przebiegającym przez przedpokój ob. Jeziornej. Wykonano 1988.01.15.

— zabudowano od strony bloku pergole na pojemniki ze śmieciami wolno stojącą ścianką z elementów betonowych. Wykonano w dniu 1988.01.11.

— dokonano dezynfekcji oraz dezynsekcji szypów na śmieci wraz z jednoczesnym oczyszczeniem rur i szuflad. Wykonano 1988.02.26.

— wymieniono fragment (ok. 3 mb.) poziomej instalacji wodnej biegnącej na odcinku korytarza na V piętrze poprzez wstawienie nowego odcinka rury ocynkowanej o przekroju 32. Wykonano 1988.01.22.

Ponadto pragniemy zwrócić uwagę, że zasadność skarg ob. Aurelii Jeziornej jak również sposób i terminowość reagowania na nie przez SM „Teofilów” były przedmiotem kontroli dokonanej w grudniu 1987 r. przez Społeczny Zespół działający przy Komisji Ekonomicznej KL PZPR oraz lustracji specjalnej przeprowadzonej przez Inspektorat Lustracji CZSBM w kwietniu 1988 r. Zalecenia Społecznego Zespołu wykonano w pełni, o czym Zarząd Spółdzielni poinformował KL PZPR pismem z 1988.01.22, natomiast Inspektorat Lustracji uznaje za właściwy stosunek organów spółdzielni do zgłaszanych przez ob. Jeziorną skarg i interwencji, od wydania zaleceń odstąpił.

Uzupełniając mój komentarz „Jak pisać skargi?” mogę tylko dodać, że przede wszystkim trzeba pisać prawdę. Wprowadzanie kogokolwiek w błąd nie oplaca się, gdyż prawda i tak wyjdzie na wierzch.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WSPOMNIENIE Z WOJNY

Przeczytałem swego czasu w „Odbiosach”, że Adolf Hitler dopiero w roku 1944 zezwolił na werbowanie Polaków do Wehrmachtu. Chciałbym więc przytoczyć fakt z kwietnia 1945 r.

Byłem wówczas żołnierzem 1 Dywizji Pancerniej i wraz z kolegą przejąłem przekazaną nam przez Kanadyjczyków grupę żołnierzy Wehrmachtu. Ponieważ znałem język niemiecki przejrzałem ich dokumenty wojskowe. Utkwiło mi w pamięci nazwisko Feliksa Skórzewskiego (wpisane w tzw. Wehrpassie, książce wojskowej, według pisowni polskiej, z kreską nad o, obergefreitara pułku grenadierów pancernych, urodzonego w 1923 r. w Sochaczewie, narodowość „Pole” oraz „freiwillige” (ochotnik) z datą wstąpienia do Wehrmachtu 1943 rok. Feliks Skórzewski w rozmowie przyznał, że jest Polakiem, ochotnikiem, słabo mówił po niemiecku i robił wrażenie bardzo prymitywnego osobnika.

Nie wiem, co się z nim dalej działo — został przekazany do dyspozycji oficera II Oddziału Sztabu Generalnego. Personalna jego podaje na podstawie notatek, jakie sporządziłem na gorąco w czasie wojny. Dziwiło mnie, że jako Polak nie przeszedł wcześniej na naszą stronę, mimo iż pułk grenadierów pancernych miał kontakt bojowy z 1 Dywizją Pancerną już od walk w Belgii, a więc od września 1944. W tym czasie przechodziło na naszą stronę wielu żołnierzy Wehrmachtu — Polaków ze Śląska, wcielonych z przymusowego poboru.

Po wojnie, w miejscowości Meppen, widziałem oddział Policji Granatowej, umundurowanej w przedwojenne mundury. Ewakuowani prawdopodobnie z Generalnej Guberni. Jak mi opowiedzieli koleś, usiłowali oni nawet regulować ruch na ulicach miasteczka, ale przepędziła ich nasza żandarmeria. Nie wiem, co się dalej działo z tym oddziałem — zostalem bowiem przeniesiony do Paryża. Przypuszczam, że zostali przez Anglików internowani, którzy również internowali żołnierzy byłych jednostek rosyjskich kolaborantów, tzw. własowców. Jak wiem, warunki „internowania” były o wiele lepsze od niewoli.

LESZEK ZADURSKI
Sandomierz

Opisany przypadek nie zmienia faktu, że oficjalnie Adolf Hitler zezwolił na werbowanie Polaków dopiero w 1944 roku. Wcześniej mogły się zdarzać różne przypadki pojedyncze i wyjątki. Wehrmacht nie zawsze dokładnie przestrzegał wszelkich zaleceń.

WITOLD BOROWY

HARCERZE W WOJNIE

W związku z listem Symfonia Warteckiego (nr 27 „Odbiosów”) pragnę wyjaśnić, że należy rozróżniać PW (Przysposobienie Wojskowe) jako organizację paramilitarną i harcerstwo (ZHP) jako organizację wychowawczo-patriotyczną młodzieży.

Od wielu lat zbieram materiały dotyczące udziału harcerzy w kampanii 1939 r., a w szczególności prace pomocniczych np. kopanińców, rowów, plot, zaopatrywaniu wojska w napoje (sierpień 1939 r.), zbieranie medykamentów, środków opatrunkowych i toaletowych oraz ubrań cywilnych itp. Nikt przez 49 lat mi tych danych nie kwestionował. Czy Symfonia Wartecki uważa, że są to sprawy wyssane z palca?

Instytut powołania imienne do PW, zaś WPH działało raczej ochotniczo i spontanicznie i tak bardzo ściśle nie rozgraniczało wieku swoich członków. I w jednym, tak jak i w drugim działali harcerze (relacje nie żyjącego już komendanta WPH w Łodzi ówczesnego pfm. Romana Flisera). W pracach WPH brało udział wielu harcerzy. Nie ograniczaliśmy się one i nie skończyły z chwilą wkroczenia Niemców do Łodzi. Czy Symfonia Wartecki uważa, że władze o pomocy harcerskiej udzielanej dla naszych żołnierzy polskich — jeńców np. w szpitalu polowym przy ul. Narutowicza 80, albo wyprowadzaniu tych jeńców ze szpitala na wolność? Czy to też jest nieprawda?

Nie wiem jaka drużyna reprezentowała w WPH S. Wartecki, a przecież to właśnie byłoby miarodajne i ciekawe. Byłem wtedy chłopcem, członkiem ZHP i niektóre fakty przypominam sobie z perspektywy 49 lat. Może są one niezupełnie ściśle ze względu na luzy w pamięci. Byłbym jednak wdzięczny aby Symfonia Wartecki podzielił się wspomnieniami sprzed 49 lat.

Proponuję, aby dalszy ciąg dyskusji przenieść do Komisji Historycznej K.Ch. lub środowiska b. członków „Szarych Szeregów” w Łodzi.

MIECZYSLAW KOZAK

LUDZIE III MIĘDZYNARODÓWKI

Paweł Samuś pisze o działaczach III międzynarodówki. Wymienia sporo nazwisk. Część z nich jest zupełnie zapomniana, inne dopiero ostatnio przypominają się. Ale jest też parę nazwisk ludzi, którzy działali po drugiej wojnie światowej.

I tak Malyas Rakosi stał na czele partii na Węgrzech i faktycznie kraju do 1956 roku, odgrywając mało chwalebna rolę.

Wasył Kolarow był pierwszym p.o. głowy państwa po proklamowaniu Bułgarii republiką, potem krótko premierem do 1950.

Otto Kuusinen był przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej Karelo-Fińskiej SRR w latach 1940—1956, a w latach 1957—64 członkiem Prezydium i sekretarzem KC PZPR.

Elena Stasowa czynna była jeszcze w czasach Nikity Chruszczowa.

Umberto Terracini był do końca życia senatorem we Włoszech i czołową postacią życia politycznego.

CZESŁAW ZYLIŃSKI

CZY ZAWSZE WYKORZYSTYWAĆ UPRAWNIENIA?

Ma prawo mieć Piotr Sikorski odmienny pogląd na opisywaną przeze mnie sprawę 1,5-letniego „kombatanta”. Niepotrzebnie tylko rozwódzi się nad tym, że nie było nadużycia prawa. Oczywiście, że nie. Czego dowodem wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego. Przyznając jednocześnie, że sformułowanie moje ostatniego zdania z korespondencji było niezbyt szczęśliwe, z czego skwapliwie skorzystał mój adwersarz.

Ale nie czujemy się: nie o to chodzi. W pełni świadomy, że rozumieli przepisy dają nam szereg uprawnień, będą nadal twierdził uparcie, że oprócz strony formalnej (a tak to się miało w sprawie Jerzego K.) należy jeszcze mieć dodatkowo przeświadczenie o moralnym prawie do korzystania z nich. To jest m.in. sprawa „pazerności”.

Czy mam rozumieć, że gdyby Piotr Sikorski był w identycznej sytuacji jak Jerzy K. — to natychmiast i bez wahania ustawiłby się, w kolejkę po ulgi, zniżki, i przywileje? Winiąc dobrego samopoczucia!

Ja nie! Nie ośmieliłbym się stanąć w jednym szeregu z rzeczywistymi kombatanami i bojownikami. Kokolwiek by mówił o nadużyciu w „zakwalifikowaniu” do szeregu ZBoWiD, co nie jest przedmiotem artykułów prasowych i innych wystąpień. I tylko na tym, a może aż na tym polega, różnica w polowaniu przeze mnie i Piotra Sikorskiego tych spraw.

W.A.

ODPOWIEDŹ MPK

Nawiązując do felietonu Andrzeja Karola „Stalinizm w tramwaju”, „Odbiosy” nr 26 z 25.06.1988 r. informujemy, że cena przejazdu jednorazowego w środkach komunikacji miejskiej została określona na sześć zł. (Min. Finansów i Min. Transportu) natomiast zasady opłat w komunikacji łódzkiej (opłaty za bilety okresowe, opłaty za przejazdy na liniach podmiejskich itp.) ustalił organ założycielski, szczegółowy taryfy zawiera Zarządzenie nr 3/88 Prezydenta Miasta Łodzi. Wysokość opłaty za jazdę bez ważnego biletu wynosi 2.000 zł (§ 13 Zarządzenia).

Korzystając z okazji informujemy, że jest to najniższa tego rodzaju opłata w skali wszystkich województw. Poprzednio wynosiła 1.200 zł.

mgr DANUTA SŁAMACHA
(rzecznik prasowy)

REDAKCJA — CZYTELNICY

Mgr Jan W. Łódź-Bałuty. Sąd Wojewódzki, w którym sędzia Jerzy Frątczak pełni obowiązki rzecznika prasowego, mieści się przy placu Henryka Dąbrowskiego 5. Korespondencję adresowaną do sędziego Jerzego Frątczaka prosimy tam kierować. Redakcja nie zajmuje się przesyłaniem donosów.

JANINA ŁUKASIEWICZ, Łódź. Jesteśmy przeciwni otwieraniu wszelkiego rodzaju „kacików”, „okienek” itp. Z chęcią natomiast publikujemy listy Czytelników, jeśli mają coś istotnego do zakomunikowania innym.

JERZY BOROWSKI, członek zarządu Klubu Szachowego „Semafor” w Łodzi. Popieramy waszą prośbę o remont stolików szachowych w Parku Staromiejskim i zwiększenie ich ilości. Czynimy to wszakże nie bez pewnej obawy, gdyż dochodzą nas słuchy, że nie najlepiej dzieje się przy tych stolikach. Ale też nie uznajemy metody, że jak z czymś jest źle, to najlepiej zlikwidować. Niech więc będzie w Parku Staromiejskim więcej stolików, niech przy nich będzie porządek i rozwija się piękna gra w szachi. Powodzenia!

JAN KABAT, Łódź. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów listów, gdyż nie zawsze to, co ich autorzy uważają za ważne, jest ważne ze społecznego punktu widzenia. Tak postąpiliśmy z pana listem i tak będziemy postępować nadal.

Mimo milianych lat, jakie dzielą nas od zakończenia drugiej wojny światowej, wiele spraw nie zostało do końca omówionych. Mam nadzieję, że ukaże się więcej prac poświęconych wysiedlaniu Łożan przez Niemców. Jak do tej pory najobszerniej traktuje o tym książka „Łódź w cieniu swastyki”.

REDAKTOR DZURNY

KONKURS O „CZERWONĄ RÓŻĘ”

Klub Studentów Wybrzeża „Zak” ogłasza XXIX Ogólnopolski Konkurs Poezji Społecznej: Zaangażowanej o nagrodę „Czerwonej Róży”. Konkurs ma charakter otwarty.

Zestaw 3 wierszy lub poemat (ilość zesłań jednego autora — dowolna), w 4 egzemplarzach maszynopisu opatrzonego godłem wraz z zapieczętowaną kopertą zawierającą personalia autora, należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do 31 października 1988 r. pod adresem: Klub Studentów Wybrzeża „Zak”, 80-527 Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 1.

Utwory zgłoszone na konkurs nie mogą być wcześniej publikowane.

Jury konkursu przyzna nagrody: główną — 30.000 zł oraz statuetkę „Czerwonej Róży '88”. I wyróżnienie — 25.000 zł; II wyróżnienie — 20.000 zł. Przyznane zostaną także Nagrody Tradycyjne „Czerwonej Róży”: „Pierścienia” — za całokształt twórczości poetyckiej — 50.000 zł; „Peleryny” — za najlepszy debiut poetycki roku — 30.000 zł; „Pióra” — za twórczość krytycznoliteracką — 30.000 zł; „Pegaza” — za twórczość przekładową — 30.000 zł.

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone podczas „Spotkań Jesiennych” w KSW „Zak”, w listopadzie 1988 r.

KONKURSY DLA AMATORÓW

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi ogłasza ogólnopolski konkurs literacki im. Anny Domagali-Jakuć. W konkursie mogą wziąć udział twórcy-amatorzy, nie zrzeszeni w Związku Literatów Polskich, którzy nadesłali prace konkursowe w trzech egzemplarzach maszynopisu lub czytelnego rękopisu w terminie do 5 września 1988 roku pod adresem: Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi, ul. Kilińskiego 95, skr. poczt. 159.

Tematyka konkursu dowolna w dziale opowiadań, reportażu. Wiersze w zestawie minimum do 7. Proza — ponad trzy strony maszynopisu lub czytelnego rękopisu. Prace winny być oznaczone godłem, w oddzielnej kopercie podane nazwisko i adres autora, uczestnika konkursu.

Organizatorzy konkursu na nagrody, wyróżnienia i dyplomy przewidują ogólną sumę 80 tys. zł; do dyspozycji jury konkursu, z czego 20 proc. od nagród przeznacza się na książeczkę PKO dla syna patronki konkursu.

Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Klub „Pasja” przy Ozorkowskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Ozorkowie ogłaszają konkurs plastyczny na plakaty i winiety kalendarza pt. „Ochrona rzeki Bzury”.

Prace konkursowe twórców amatorów oznakowane godłem, z oddzielną kopertą zawierającą dane personalne autora prosimy nadsyłać w terminie do 5 września 1988 r. pod adresem: Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury w Łodzi, ul. Kilińskiego 95, skr. poczt. 159.

Organizatorzy przewidują szereg nagród i wyróżnień, które zostaną wręczone laureatom konkursu na zakończenie pleneru w Wiśniowej Górze 11 września 1988 r.

Klub Młodych „Exodus” w Mniechu, Wojewódzki Dom Kultury w Bielsku-Białej i Środowiskowe Centrum Kultury w Chybiu ogłaszają konkurs literacki, do którego zapraszają wszystkich twórców nie zrzeszonych w Związku Literatów Polskich.

Prace poetyckie (zestaw trzech wierszy) oraz prozatorskie (nowela, opowiadanie itp. o objętości do 30 stron znormalizowanego maszynopisu wydawniczego) winny być przygotowane w czterech egzemplarzach maszynopisu. Prace o tematyce dowolnej, dotychczas nie publikowane i nie nagradzane w konkursach literackich, opatrzone godłem autora, organizatorzy proszą nadsyłać w terminie do 30 września 1988 roku pod adresem: Klub Młodych „Exodus”, Mniech 375, 43-422 Chybie, woj. bielsko-bialskie — z dopiskiem na kopercie: „VI Konkurs Literacki”. Do każdej pracy należy dołączyć kopertę, opatrzoną takim samym jak praca godłem, zawierającą imię i nazwisko, wiek oraz dokładny adres autora.

Organizatorzy przewidują przyznanie nagród i wyróżnień na łączną kwotę 65 tysięcy złotych w dziale poezji i również 65 tysięcy złotych w dziale prozy.

Uroczystość rozstrzygnięcia konkursu i wręczenie nagród laureatom nastąpi w listopadzie 1988 roku w Środowiskowym Centrum Kultury w Chybiu.



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia – podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36 77 70

Na Twój telefon czekają redaktorzy:

28 lipca — JERZY KWIECIŃSKI — godzina 10–15.
4 sierpnia — PAWEŁ TOMASZEWSKI — godzina 10–15.

RELACJA Z DYŻURU W DNIU 21 LIPCA 1988 R.

Bardzo dużo telefonów, sporo spraw wcale niebiałych, choć to sezon urlopowy, czyli dziennikarskie „ogórki”. Okazuje się, że wyłącznie teoretycznie, a życie nie zna wakacji...

Pani Alicja Urbanska, mieszkająca w osiedlu Retkinia-Zagrodniki żali się, iż nikt nie zamierza otynkować lub pomalować ścian bloków ocieplonych warstwą azbestu. Wizyta u prezesa spółdzielni „Polesie” też niewiele dała, wręcz — nie, bowiem pan prezes bagatelizując sprawę, obarczył winą tak zwaną szkodliwą propagandę, podpierając się przykładem margaryny, „o której też kiedyś pisano, że zdrowiu nie służy”...

Pani Zofia Turska (zam. ul. Deotymy 3) od wielu lat nie może się doprosić usunięcia „usterek”, w postaci zalanej wodą suzarni. Mieszkanie naszej Czytelniczki usytuowane tuż nad nią jest w związku z tym zimne, wilgotne. I mroczne; nadmiernie wybujałe, od lat nie przycinane drzewa uniemożliwiają nawet w słoneczne dni „ogrzanie” pokoi. Efektem licznych interwencji, między innymi w Przedsiębiorstwie Gospodarki Mieszkaniowej przy ulicy Lubelskiej były co prawda wizyty jakichś komisji i — na tym się skończyło...

Pan Janusz Kowalski (Widzew-Wschód, ul. Elsnera) w długim monologu o gospodarności i ekonomice naszego życia krytykował pomysł dodatkowego ocieplania ścian budynków w swoim osiedlu. Pomijając już stronę ekonomiczną całego przedsięwzięcia, szybkość i jakość wykonania, zżyma się nasz Czytelnik nad pozornym drobniactwem: niesamowicie zachłapanymi oknami u tych lokatorów, którzy w porę nie zasłoniли szyb papierami. — Czy tak trudno wykonać szablon pasujący do typowych prześcien? Kto w ogóle powinien zadbać o zabezpieczenie szyb, czy nie wykonawca?

Pani Irena Z. (nazwisko i adres do wiadomości redakcji) zastanawiała się głośno, jaka jest recepta na zlikwidowanie „stacy” przed sklepem „Teofilowa” przy ulicy Piotrkowskiej. Sklep wciąż obłożony „stacjami” siedzą na ładach, często rozrabiają. Wizyty milicji niewiele pomagają. Recepta jest prosta. (tylko, niestety, pozornie...) taka ilość materiałów w sklepach, by „stacjom” nikt nie dał zarobić...

Pani Lucyna Gaikiewicz, która dojeżdża do pracy ze Smardzewic, pyta dlaczego akurat w godzinach największego szczytu komunikacyjnego tak zwane „jednostki” PKP jedzą pojedynczo. Nie wiemy. Nie wiemy nawet czy Szanowne PKP odpowiedzą na to pytanie...

Pani Joanna Borowiec ostrzega natomiast wszystkich pasażerów PKS, aby w razie jakiegokolwiek scysji w autobusie nie próbowali interweniować, odwoływać się czy wykonywać tym podobne manewry. Są one bowiem z góry skazane na niepowodzenie, czyli — ciszę. Nasza Czytelniczka przekonała się o takim

stanowisku II Oddziału PKS (siedziba przy ulicy Smutnej), gdzie w ostatnich dniach czerwca pozostawia pismo opisujące jej i męża przygodę w autobusie, którym wracali z Kudowy do Łodzi. Kierowca walczył jak lew, by nie wpuścić ich do wozu z plecakami (dziwnym trafem tylko im kazał wykupić bilety bagażowe...). We Wrocławiu zaś wezwał kontrolerów, którzy krnąbrnym pasażerom wymierzili stosowną karę... Widać szefowie PKS wolą nie komentować stylu pracy swoich podwładnych.

Dla pracowników ROM nr 10 przy ulicy DREWNOWSKIEJ sprawą nie do „przekoczenia” jest prośba 72-letniego Tadeusza Nowackiego, by w domu przy ulicy Harnama 9 wymienić żarówkę na klatce schodowej. Bez komentarza...

Sylwester K. (nazwisko do wiadomości redakcji) złożył się, iż milicjanci z „drogówki” nie zawsze znajdują się tam, gdzie kierowcy najbardziej ich potrzebują. Zmieniono dla przykładu porządkowanie ulic w tak niewłaściwym miejscu jak skrzyżowanie ulicy Kilińskiego i Przybyszewskiego, patrolu MO ani śladu, a niemal przez cały dzień panuje tam ścisła, bałagan „korki”. To akurat prawda, sam tamtejszy patrol podrokuje. Natomiast na ulicy Rzgowskiej, w okolicach Szpitala-Pomnika na radiowóz z radarem może pan liczyć przez cały dzień...

Bodajże jeszcze w styczniu pisaliśmy w „Ogłoszeniach” — o czym przypomniał nam pani Irena Augustyniak — o przychodni stomatologicznej przy ulicy Myśliwskiej 9, w której brakuje lekarzy, a obecnie terminy przyjęć wyznaczane są na wrzesień. Jak widać — nic się nie zmieniło...

Pan Grzegorz Biernacki (zam. W. Pola 46/48) szczegółowo opowiedział o makabrycznej przygodzie, która dla jego dwuletniego syna omal nie zakończyła się tragicznie. Wezwana do chorego chłopca (ból brzucha, temperatura, ogólne osłabienie) w dniu 21 grudnia 1987 roku lekarka z przychodni przy ulicy Wielkopolskiej stwierdziła... zapalenie jamy ustnej i zaordynowała smarowanie pyoktaniną. Po godzinie dziecko zaczęło tracić przytomność, wzywany prywatnie inny lekarz kazał natychmiast wieźć dziecko do szpitala. Małec, już „na sygnale” przetransportowany zostaje na ostry dyżur do szpitala w Pabianicach i natychmiast operowany. Rozpoznanie — zapalenie otrzewnej, gangrena jelit. Chłopca uratowano, jeszcze przez miesiąc pozostawał w szpitalu. Nasz Czytelnik złożył skargę w ZOZ-Bałuty w styczniu 1988 r. W odpowiedzi dowiedział się, że nie dopatrzone się najmniejszych uchybień w pracy lekarki. Odwołanie do Wydziału Urzędu Miasta ugrzęzło tam na dłuższy czas, bo od marca do tej pory — państwo Biernacki nie otrzymali żadnej odpowiedzi. Tylko z rozmowy telefonicznej zorientowali się, że sprawa z pewnością będzie umorzona, bo nie ma żadnych podstaw, nic się nie stało i tak dalej...

— Proszę, niech pan napisze — zakończył rozmowę pan Grzegorz Biernacki — niech pan ostrzeże innych rodziców, by domagali się od lekarza, który przychodzi do dziecka dokładnych badań, precyzyjnej diagnozy, by nie pozwalali na krótkotrwałe, pobieżne oględziny...

I jeszcze dwa słowa. Sprawa, w którą „wdepnął” tuż przed dyżurem niżej podpisany. Przez ponad godzinę zapoznawałem się z opiniami w Rejonowym OBOP. Rozszyfrowałem: Rejonowy Ośrodek Badania Opinii Publicznej. Gdzie się mieści? Przed każdymi dniami wolnymi od pracy w każdej kolejce. Tym razem stołem „za chlebem”. Niestety, opinie o kilku osobach, gospodarce, naszej ekonomii — nie nadają się do mówienia. A te kolejki polecam wszystkim specjalistom od badania naszych opinii...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Korespondencja z Cannes

Ciekawostki, sensacje, skandale

1. Pierwszy dzień festiwalu nie odbiegał organizacyjnie od podobnych imprez organizowanych w Polsce. Bałagan był chyba jeszcze większy. Setki osób poszukiwało swoich kart akredytacyjnych, gdyż dla wygody organizatorów zmieniono miejsca, w których od lat je wydawano. Pociąg Paryż — Cannes przywiózł co bardziej znane gwiazdy kina francuskiego. Nieoficjalnie festiwal rozpoczął się o 15 na dworcu w Cannes. Potem zaczął padać deszcz i wszystko poszło do brzo. Festiwal rozpoczął film francuski o morzu, delfinach, miłości, który trwał ponad dwie godziny i był bardzo złym filmem.

2. Nie ma to jak plotki. Jedna z nich głosi, że na schody Pałacu Festiwalowego przygotowano nowy dywan. Są też plotki wokół filmu Andrzeja Żuławskiego „Na Srebrnym Globie”. Jedni mówią, że to dobre, że Andrzej Żuławski nakręcił ten film w Polsce, a nie we Francji, gdyż we Francji wystarczająco dużo się kręci złych filmów. Drugi natomiast mówili o „zapomnianym arcydziele”. W ciągu trzech dni rozdano 7 ton prospektów i reklamówek. Krytyków zaproszono na wielki „cocktail”, na który dostali się tylko ci, którzy przyszli punktualnie. Spóźnialscy mieli niespodziankę. Do Pałacu Festiwa-

lowego przyjechała Patty Hearst, bohaterka głośnej niedawno sprawy porwania, członkini grupy terrorystycznej w latach siedemdziesiątych. Ale film „Patty Hearst” P. Schrader’a wszystkich rozczarował.

3. W Cannes pokazała się Ciciolina. Najpierw chodziła ubrana. Wieczorem była ubrana w przebranie z trzema paskami, przyciskała do siebie ulubioną maskotkę — misia. Paski były pechowo założone, krzyżowały się na piersi, a dolny się trochę przesunął i Ciciolina prezentowała się wszystkim tak, jakby pasków nie miała. — Skandal — mówiły panie po pięćdziesiątce parujące w mini — jak można tak się rozebrać? To obrażające, to demoralizujące, to brak dobrego smaku.

Prasa festiwalowa incydent ten potraktowała jako niebyły.

4. Pobito dziennikarza z USA, ponieważ chciał wejść na konferencję prasową Roberta Redforda. Wejście z lewej, a nie wejście z prawej. „Bramkarze” słabo znali angielski, dziennikarz słabo znał francuski. Ponowił próbę wejścia na salę właściwym wejściem i pobito go ponownie. Dziennikarz złożył skargę i protest.

Konferencja z Robertem Redfordem przebiegała spokojnie, choć nadgorliwi „bramkarze” brutalnie strofowali fotoreporterów, że nie wolno chodzić im po sali i robić zdjęć.

„Cale szczęście, że film Roberta Redforda był pokazywa-

ny poza konkursem, gdyż na pewno nie dostałby nagrody i trzeba by było szukać sposobu, aby Amerykanin nie na Cannes nie obraził” — napisał francuski dziennikarz.

Klaus Kinsky zorganizował konferencję prasową poświęconą filmowi „Paganini”. Dziennikarze i fotoreporterzy rozpoczęli konferencję od degustacji potraw i trunków zapominając o czekającym na pytania aktorze. Klaus Kinsky zaczął więc opowiadać o różnych sprawach związanych z filmem, lecz nikt go nie słuchał.

Zaczął więc prowokować dziennikarzy, krzyczał, zwymyslał organizatorów, wszystkich obecnych, rzucił mikrofon i przewracając stolik opuścił salę, powtarzając, że wszyscy obecni w Cannes to „analfabeci, krety, imbecyle, a cała ta impreza to wielkie...”

— Wreszcie powstał wielki śmiech — ucieszył się dziennikarz. Miał też konferencję prasową Krzysztof Kieślowski. Pytał go: — Dlaczego nakręcił ten film? Czy to wyznaczenie „pięćdziesiątka”? Czy mógłby ten film nakręcić dziesięć lat wcześniej? Czy jest chrześcijańskim?

Krzysztof Kieślowski nie tracił spokoju. — Bardzo dziękuję za pytanie, nam państwo nie przyłożyli — powiedział. — Zrobiliśmy tak okropny film, okropny i nudny, nieładny. A w ogóle jesteście nas nie rozstrzelali. Dlaczego? Po co myślimy się tyle narobić? Wszystko na marne. Mam nadzieję. Dziękuję bardzo.

5. Odbyła się sesja poświęcona systemowi komunikacji tele-

wizyjnej w krajach EWG. Podczas przerwy przedstawiciele policji poinformowali dziennikarzy, że co roku na czas trwania festiwalu do Cannes przyjeżdża około 3 tysięcy zawodowych złodziei i średnio 300 osób chorych umysłowo. Nie stanowią oni większego niebezpieczeństwa. Najczęściej starają się zwrócić na siebie uwagę czy to strojem, czy zachowaniem. Za to jeśli chodzi o złodziei, to policja jest bezradna. Biorą wszystko — od torebek po sprzęt telewizyjno-filmowy.

6. Sensacyjna wiadomość. Serge Silberman, wielki producent filmowy podpisał umowę z reżyserem Davidem Lean „Most na rzecze Kwai”. „Spotkania”, „Doktor Żiwago”, „Droga do Indii”. Mają zrealizować adaptację powieści Josepha Conrada „Nostromo”. Serge Silberman urodził się w 1917 roku w Łodzi.

Film M. de Oliveira „Kani-bale” zadowolony tylko wyrażoną odporną część publiczności. Około 70 proc. widzów wyszło w czasie projekcji.

Krytycy nazwali 41. Festiwal w Cannes Festiwalem „Przejęściowym”, gdyż według nich jeszcze trwa proces tworzenia nowej formuły kina. Powoli następuje krzepnięcie podziału tematycznego oraz stylistycznego między twórczością telewizyjną, wideo i kinową. Zadowolony został gwałtowny spadek widzów w kinie i kinomani powoli zaczyna odzyskiwać swoją publiczność oraz znaczenia jakie miało w latach sześćdziesiątych. Lecz jest to dopiero początek tego procesu.

MARIA WŁODARSKA

Bruce Kent idzie z Warszawy do Brukseli

Idąc jest przeciw

Bruce Kent idzie. Idzie z Warszawy do Brukseli. Idzie od 11 lipca 1988 roku codziennie po 22 mile (35 kilometrów). Drogę skończy po ośmiu tygodniach 31 sierpnia, a w rocznicę dnia, w którym spadła bomba na Nagasaki.

Bruce Kent idzie. Nie ma nic przeciwko temu, aby ktoś przylączył się do niego. Chętnie opowiada o swoim przedsięwzięciu. Rozmowa ta odbyła się właśnie w takich okolicznościach.

— Podobno radio „Wolna Europa” podawało informację, że na początku panu pobytu w Polsce nie było się bez niego zgrzytu — musiał pan odwołać, motywując to względami politycznymi, oficjalną konferencję prasową i zwołać swoją własną.

— Rzeczywiście spotkanie z prasą, na którym przedstawiłem cele marszu zostało przeniesione powiadomieniem o innym lokalu, ale spowodowane było to względami technicznymi, a nie natury politycznej.

— A więc jest nawet nie jeden cel, a kilka, my w Polsce mówimy w takiej sytuacji, że ktoś chce upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu...

— A dlaczego nie, jeżeli może się udać. Przede wszystkim chciałbym, abyśmy uświadomili sobie, że istnieje pilna potrzeba działania nas wszystkich na rzecz stworzenia Europy wolnej od bloków militarnych i zagrożenia atomowego. Nie przez przypadek wybrałem właśnie Warszawę jako miejsce, w którym rozpocząłem marsz. To właśnie w tym mieście podpisany został Układ Warszawski. Kończąc marsz w Brukseli, gdzie był sygnowany Pakt Północnoatlantycki NATO, drugi pakt militarny.

Musimy przestać żyć w ich cieniu. Trzeba dążyć do stworzenia świata, w którym sprawa Organizacji Narodów Zjednoczonych stanie się środkiem rozwiązywania konfliktów w sprawliwym i pokojowym sposób.

— To jeden cel, a drugi?

— Stworzenie powiązania Północ-Południe. Mam na myśli głód południa i żyjącej dostatecznie północy. W dzisiejszym świecie wydaje się na zbrojenia prawie tyle, ile na służbę zdrowia i edukację łącznie. Wstrząsające, że jeden na trzy zgony, to zgon dziecka w wieku poniżej sześciu lat, który nastąpił z powodu głodu lub braku lekarstw.

— Marsowi towarzyszy duża akcja propagandowa, kilka razy w tygodniu udziela pan wywiadu angielskiej stacji radiowej.

— Zależy nam, aby ludzie dowiedzieli się o tej inicjatywie, zbieramy pieniądze na pomoc dzieciom w Afryce, szczególnie małym ofiarom wojen w Mozambiku i Nikaragui. Już w tej chwili wiele tysięcy ludzi jakby „sponsorowało” marsz placąc ustaloną przez siebie stawkę za każdą przebytą przeze mnie milę. Te dobrowolne składki wspomaga również prace brytyjskiej organizacji Campaign for Nuclear Disarmament (Kampania na Rzecz Rozbrojenia Atomowego), w Polsce chyba bardziej od tej nazwy znany jest jej skrót: CND.

— A jeszcze bardziej jej znak graficzny. Liczy pan również na zainteresowanie ludzi w krajach, przez które przebiega trasa marszu, Niemców, Belgów, nas. Jak Polacy mogą wesprzeć cel całego przedsięwzięcia.

— Mogą zwrócić się do Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Organizacji Narodów Zjednoczonych, którego siedziba mieści się w Warszawie przy ulicy Wareckiej 1 A. Tam uzyskają potrzebne informacje.

— Działalność tego towarzystwa propagującego zasady karty ONZ nie jest u nas powszechnie znana, jego działalność skupia się na środowisku studenckim. Dlaczego wybór padł właśnie na to towarzystwo?

— Zależało nam na znalezieniu jak najautentyczniejszej organizacji. Są naszymi opiekunami w Polsce.

— Pana przybycie do Łodzi wiąże się z pewnym nieporozumieniem. Łódzka prasa codzienna podała informację, że do naszego miasta przyjdzie ksiądz pacyfista.

— Nie określiłbym siebie jako pacyfisty. Wydaje mi się, że nie jestem nim przynajmniej w angielskim znaczeniu tego słowa. W Anglii pacyfista, to ktoś kto nie weźmie broni do ręki, nie chce walczyć nawet o wolność swojej ojczyzny. Tymczasem dla mnie problem ten nabiera jakby innego wymiaru. To już nie chodzi o to, aby uwolnić pojedynczą jednostkę od konieczności zabijania, czy udziału w zabijaniu, ale rozbroić cały świat. Nie jestem również księdzem. Pracuję w CND.

— Chyba przez skromność nie mówi pan, że kieruje tą organizacją będąc jej prezesem. Jak znalazł pan czas jeszcze na taką akcję?

— W Wielkiej Brytanii też często wyjeżdżam poza Londyn, na wieść czy do małych ferm, gdzie organizowane są spotkania. Rozmawiamy o prawie do życia w pokoju, o zagrożeniu nuklearnym i możliwościach porozumienia narodów. Ludzie muszą chcieć rozbrojenia i muszą zdążyć sobie sprawę, że wiele zależy od ich aktywności.

— Czy również w Polsce rozmawia pan na te tematy z mianymi po drodze ludźmi?

— Nie tyle ile chciałbym. Zależało mi, że w ciągu ośmiu tygodni przejdę 1000 mil (1600 km), co wymaga zachowania sztywnego reżimu ilości mil przebytych w ciągu jednego dnia. Oprócz niedziel, które przeznaczone są na odpoczynek i regenerację sił muszę codziennie przebiec 22 mile. Nie zawsze znajduję więc czas, aby się zatrzymać i porozmawiać z mijanymi ludźmi, tym bardziej, gdy często od początku trzeba tłumaczyć kim jestem, skąd, do co i dokąd idę.

— Co najbardziej zaskoczyło pana w rozmowach z Polakami?

— Od paru osób usłyszałem, że Margaret Thatcher jest znakomitym przywódcą, gdy tymczasem my uważamy, że jej rząd powoduje zubożenie znacznej części społeczeństwa.

— Sądzę, że pana rozmówcy mieli na myśli fakt, że funt bardzo dobrze stoi, państwo jest silne ekonomicznie i ma wysoką pozycję w świecie.

— Silne i uzbrojone, ale ja jestem zwolennikiem rozbrojenia.

— Czy już wcześniej podejmował pan podobne przedsięwzięcia jak ten marsz?

— Dwa lata temu przeszedłem ze Szkocji, z bazy gdzie są łodzie podwodne o nuklearnym napędzie do podobnej bazy pod Londynem. Przeszedłem tę samą drogę, jaką przebywają głowice nuklearne przewożone z bazy w Szkocji do tej pod Londynem. Podlegając tam jakimś zabiegom technicznym i znów tą samą drogą wracając do Szkocji. Przebyłem wtedy odległość 500 mil.

— Sądzę, że lubi pan wędrówkę i udało się połączyć w ten sposób przyjemne z pożytecznym.

— Lubię też chodzić po górach. Wędrówka jest dla mnie rzeczwiście przyjemnością. Staram się w życiu nie robić niczego wbrew sobie.

Rozmawiała Idąc:
ZOFIA KEDZIORA

Niedawno zdarzyło mi się wystąpić przed gronem wykształconych ludzi (rzecz się wydarzyła na wyższej uczelni) z odczytem czy raczej pogawędką na temat funkcjonowania prasy w Polsce współczesnej. Otrzymałem kilka pytań, na które odpowiadałem jak umiałem. Jedno wszakże pytanie nurtuje mnie do dziś i sam nie bardzo wiem sobie na nie odpowiedzieć. Zapytano mnie mianowicie mniej więcej w ten sposób: — dziennikarze w ostatnich latach mają więcej niż kiedykolwiek swobód i możliwości wypowiedziania się. Uprawiają zatem dość odważną krytykę, formułują także swoje wnioski, koncepcje i pomysły na usprawnianie, ulepszenie naszego życia czy to gospodarczego czy społecznego, czy wręcz politycznego. Ale co z tego wynika? Kto tych głosów wysłuchuje? Kto traktuje je poważnie w formułowaniu np. partyjnych programów czy też w projektowaniu ustaw, uchwał i innych decyzji i dokumentów kształtujących rzeczywistość? Krótko mówiąc: czy władza bierze pod uwagę głosy prasy? Czy to tylko pisanina sobie a muzom i tzw. groch o ścianę?

Odpowiedziałem mniej więcej tak, że obawiałbym się takiej sytuacji, w której moje krytyczne uwagi czy postulaty byłyby natychmiast wcielane w życie. Bałbym się posiadania takiej władzy i takiej odpowiedzialności. Dziennikarz, choćby nie wiem jak wykształcony i odczytany w określonej tematyce, pozostaje tylko mniej lub bardziej wszechstronnym, ale zawsze dyletantem, którego wiedza i pole obserwacji a zwłaszcza konkretne doświadczenie zawodowe zawsze będzie mniejsze od zakresu świadomości profesjonalisty. Można by zaryzykować stwierdzenie, że dziennikarze tak naprawdę mają się tylko na... dziennikarstwo. Prawdę powiedziawszy często się zdarza, że ktoś obrażony na krytykę prasową reaguje w ten właśnie sposób: przecież redaktor, który mnie (nas) skrytykował nie zna się na materii naszej działalności, jako taki w ogóle nie ma prawa do oceniania naszej pracy!

Dalej mówiłem jeszcze, że za zadanie dziennikarza uważam „urabianie”, kształtowanie opinii społecznej, opinii tzw. mas czytelniczych, które to masy są przy okazji, także masami obywatelskimi. One mogą przyjąć lub nie przyjąć przedstawione w prasie poglądy, mogą się z nimi zgodzić lub nie, a jeśli się zgodzą, mogą dawać im wyraz w różnych płaszczyznach społecznego działania — w publicznych dyskusjach, w spotkaniach z posłami czy radnymi itp.

Są pytania!

Groch o ścianę czyli co robi rzecznik?

Nie muszą chyba dodawać, że ostatnie zdanie zostało przez mnych słuchaczy potraktowane z uśmiechem... A ja — tak naprawdę — nie wiem, czy tak jak jest, jest dobrze, czy może nie za bardzo? W końcu piszemy dla wszystkich. Gdybyśmy pisali dla decydentów nie byłoby potrzebne gazety, wystarcząby biuletyny w kilkuset egzemplarzach docierające na właściwe biurka. Skoro więc zabieramy głos publicznie, niejednokrotnie „bardzo publicznie” — nasi koledzy z TV przemawiają, bez przesady, do kilkunastomilionowych audytoriów, to czy polityk, decydent, no, dajmy na to minister, ma prawo nasz głos ignorować? A jeśli nie ignoruje, to jak ten głos wykorzystuje?

Wiadomo, że są sprawy wywołujące daleko idącą polaryzację opinii społecznej. Dziennikarze także mają opinie spolarizowane, przeciwnie i dając im wyraz przyczyniają się do dalszej polaryzacji stanowisk w społeczeństwie. Żeby nie być gołosłownym: ostatnia decyzja o komercyjnych cenach benzyny. Jedni są zachwyceni, inni plują. Albo sprawa cen samochodów, żeby pozostać w branży motoryzacyjnej. Czy ceny równowagi, likwidujące nieco podejrzany handel giełdowy, a także przywiele tych, którzy dostają prezenty w postaci asygnt. Prezenty o wartości setek tysięcy złotych... czy też zostawić wszystko po staremu zastępując się argumentem, że samochód jest jednak dostępny dla przywole i uczciwie zarabiającego pracownika gospodarki społecznej?

I co ma zrobić odnośny minister czy odnośna komisja sejmowa? Przyjąć argumentację redaktora X, który gromkim głosem opowiada się za maksymą „żeby rynek był rynkiem” czy też redaktora Y, który głosi: „samochód dla świata pracy”?

A przecież takich kontrowersji jest mnóstwo. I chyba nikt nie wyobraża sobie, że bedziemy co kwartał robić narodowy plebiscyt, czy wręcz referendum, na temat cen masła i mebli albo, czy zapalić zielone światło dla prywatnych szkół, czy też w imię pryncypiów ustrojowych nie zapalać?

Z ust wysoko postawionych i miarodajnych osób słyszeliśmy niejednokrotnie zapewnienia, że władze wsłuchują się uważnie i głęboko w głosy opinii publicznej, w tym zwłaszcza w głosy prasy. Tylko że pomiędzy tym twierdzeniem a twierdzeniem Piłsudskiego jest ta różnica, że tylko to drugie daje się precyzyjnie udowodnić...

Pozostaje jeszcze taka kwestia techniczna: w jaki sposób określić osobę, czy określoną osobę, ma zasymalizować społeczeństwu (w naszym przypadku — prasie), że głosu wysłuchali, że bierze go pod uwagę przy formułowaniu decyzji? Przecież nie sposób sobie wyobrazić, żeby każdy minister, każdy szef urzędu centralnego bądź wojewódzkiego wypisywał setki, ba! — tysiące listów: „Zapoznałem się z artykułem ob. redaktora, wezmę pod uwagę zawarte w nim sugestie. Kreślę się z szacunkiem...”

Prawo prasowe wyraźnie i obligatoryjnie wymaga — całkiem słusznie! — odpowiedzi na artykuły krytyczne, których tekst został odnośnej jednostce przesłany przez redakcję. Artykuł problemowy, nie krytyczny a tylko postulatowy? Jak się dowiedzieć, czy znalazł się na właściwym biurku, zwłaszcza kiedy został opublikowany up. w prowincjonalnych „Ogłosach” a nie na stołecznych łamach „Trybunu Ludu” czy „Polityki”?

Od myślenia głowa mi trzeszczy i wciąż nie wiem, czy mam do czynienia z „arogancją władzy” czy tylko z problemem niedoświadczenia informacji? Czy jako autor artykułu o, na przykład, ograniczeniu świadczeń socjalnych w PRL powinienem być czytany tylko przez zwykłych czytelników, inkasujących renty i zasiłki, czy też przede wszystkim przez prezesa ZUS i ministra finansów? A jeśli tak, to jak się dowiedzieć, czy prezes i minister przeczytali co napisałem i czy się ze mną zgadzają czy nie?

Rozpletniłem nam się ponad istotne potrzeby rzeczniczy prasowy. Ma rzecznik — etatowego — MPK w Łodzi, mają spółdzielnie pracy, ma podobno nawet miss Polonia. Sceptycznie patrzy na robotę tych dżentelmenów. Na robotę pań rzeczniczek też... Wyjdzie mi się, że poza biurem rzeczniczek rządu, nie może jeszcze rzeczniczka KG MO. Prokuratury Generalnej, ministra sprawiedliwości i rzeczniczka MSZ, wszyscy, noszący to nobilitujące miano, z pewnością zbijają bakła. A przecież to, o czym mówię, winno być ich codziennym obowiązkiem. Czy nie?

ANDRZEJ KAROLCZAK

NR 31 (1583), 30 LIPCA 1988 R.

1

Osądzmy sami

Do psychotroniców, radiestów, różdżkarzy mam stosunek otwarty, ciepły, wprost czuły, acz nie pozbawiony odrobiny respektu dla ich tajemnej wiedzy, która już chyba nie jest czarami, ale również nie jest nauką. Moja sympatia bierze się stąd, iż srodowisko to przede wszystkim składa się z osób niebanalnych, poszukujących, dociekliwych, o naturach poetycznych, a nie rzadko i infantylnych. Po prostu wolę ludzi nawiedzonych, niż wyrachowanych, choć wcale nie wykluczam, że wyrachowani też się wśród nawiedzonych mogą trafić.

Jednakże od czasu, kiedy niektórzy medycy z tego grona zaczęli odważnie twierdzić, że nauka jest bardzo prymitywną formą wiedzy, moja sympatia do tego towarzystwa nieco zmalała i pogłębił się mój sceptycyzm do ich praktyk. Być może do nauki mam stosunek przesadnie uniżony, lecz kto się o niej wyraża zbyt lekceważąco, niech nie liczy zaradko na moją życzliwość. Jestem pełen rezerwy wobec osobników, którzy są pełni rezerwy wobec osiągnięć nauki i chyba jest to postawa oparta na sprawiedliwych zasadach. Każdy kto profesjonalnie drży ludzką psychiką, od kapłanów poczynając, a na psychiatrach kończąc, przynajmniej, że zachowania ludzkie są rzeczywiście czasem dość irracjonalne, ale to wcale nie oznacza, iż nie da się ich wytłumaczyć w sposób naukowy.

Niedawno pewna niewiasta prowadząc forda, spowodowała na łuku drogowym w pobliżu Belchatowa czołowe zderzenie z małym fiatem. Przewaga forda nad maluchem okazała się drugoczą, w wypadku zginęło małżeństwo, a ich dwie córki zostały kalekami. Sprawczyńi tragedii na szosie okazała się osobą o nieposzlakowanej opinii, przyzwolta, odpowiedzialna, przytomna, a jako kierowca sprawna i doświadczona, ponadto wiozła także dwójkę własnych dzieci, co niejako automatycznie motywowało ją do ostrożnej jazdy.

Sąd Rejonowy w Belchatowie nie będzie miał łatwego zadania. Broni pechowej kobiecie znany z telewizyjnego programu „OSADZMY SAMI” mecenas Jacek Kondracki. Prokurator podkreślił nadmierną prędkość, z jaką oskarżona prowadziła pojazd (90 km/godz.). Rzeczoznawca motoryzacyjny po skomplikowanych badaniach energokinematycznych ocenił szybkość tę na 78,3 km/godz. Rzecz interesująca, iż huk zwozy, czyli miejsce wypadku, czyli wrażenie bardzo łagodnego, choć w istocie wcale taki nie jest. Mogło to osłabić nieco czujność kierowcy.

Skład sędziowski w Belchatowie będzie musiał odpowiedzieć na pytanie, jak daleko mogą sięgać okoliczności łagodzące. Sprawczyńi wypadku nie uciekła z miejsca zdarzenia i całkowicie przyznaje się do winy. Jedyny cień, jaki na nią pada, to ten, że absolutnie obojętny jest los osieroczonej dziewcząt, które już nigdy nie będą mogły poruszać się o własnych siłach.

Oskarżona za wysokim poręceniem finansowym odpowiada za wolnej stopy. I co najciekawsze, do obrony jej, obok wytrawnego adwokata, przystąpiło trzech radiestów z pewnej warszawskiej spółdzielni. Sobie tylko właściwymi metodami przebadali jej stopień wrażliwości na biopatrę i biopola, a miejsce wypadku nazwali „szczególną strefą geopolityczną”. Ich zdaniem na tym fatalnym łuku znajdują się podziemne żyły wodne, mogące mieć wyraźny wpływ na sprężność osoby kierującej pojazdem.

Żeby nie uchybić liście ani duchowi kodeksu karnego oskarżona zbadana została także przez psychiatrów. Nie stwierdzili oni, by w momencie wypadku ich pacjentka miała

zmioną świadomość swoich czynów.

Tak więc wszystko w tej smutnej sprawie jest jasne, proste, czytelne i jednoznaczne, ale wcale nie oczywiste. W świetle ustawy o zawodzie lekarza, prawo wyrokowania o ludzkim zdrowiu, posiadają na terenie PRL wyłącznie lekarze. Radiesteci mimo swych najlepszyczych intencji (i być może nawet kwalifikacji) występują tu jako uzurpatorzy. Wiedza o ludzkich zachowaniach nie jest jeszcze zapewne doskonała, ale wiedza radiestów w obecnej sytuacji prawnej nie może być brana pod uwagę. Możliwe, że w przyszłości psychotronicę będą występować w sądzie obok psychiatrów i psychologów, dziś jest to działanie bezprawne. Czy jest to słuszne, czy nie — osądzmy sami. Oczywiście cały czas zakładając, że mamy do czynienia z ludźmi uczciwymi, choć być może błądzącymi, a nie z szarlatanami.

KAROL BADZIAK

2

Pod prąd

Dlaczego nie chcę więcej zarabiać?

Rozmawiałem niedawno z właścicielem prywatnego zakładu stolarskiego. Młody inteligentny człowiek z wyższym wykształceniem, a przy tym sympatyczny i otwarty. Bazując głównie na umowach z państwowymi firmami i instytucjami, z których wiele wciąż jeszcze nie ma najmniejszego pojęcia, co to jest oszczędność i racjonalna gospodarka, obraca on milionami złotych. Kilka z tych milionów trafia rocznie do jego kieszeni — jak to się mówi — na czysto. Żyje więc sobie całkiem dobrze, niczego nie żałuje... Ale nie o to chodzi.

Rzecz w tym, że robotnicy pracujący u niego w zakładzie zarabiali miesięcznie tylko po około osiemdziesiąt tysięcy. Tylko — w porównaniu z nim. Ale i tylko — z możliwościami, bowiem — jak twierdzi ich pracodawca — mogliby zarabiać po sto, po sto dwadzieścia tysięcy, gdyby pracowali dłużej niż 6 godzin dziennie, więcej niż 5 dni w tygodniu i nie „odpuszczali” sobie po kilka dniówek w miesiącu z powodu kaka. Roboty, jak na razie, nie brakuje, materiał też można kupić w taki, czy inny sposób, a szef sam stara się nakłonić ludzi do większego wysiłku, obiecując nawet ekstra premie — oczywiście z raczki do raczki, poza listą płac. Ale robotnicy — mówi — nie chcą więcej pracować i zarabiać. Biorą te swoje osiemdziesiąt „kawalców” w kieszeń i idą pić, a do domu przynoszą pewnie tyle ile dostali by na państwowej posadzie.

Dziwne, prawda? Mogliby, a nie chcą. Tym bardziej dziwne, że nie spotkałem ostatnio nikogo, kto powiedziałby, że zarabia akurat tyle, ile mu potrzeba na dostanie życia, albo — nie daj Boże! — za dużo. W zasadzie każdy mniej lub bardziej narzeka, że na coś tam go nie stać. A tu — proszę.

Co prawda, zawsze byłem przeciwny próbom upowszechniania zasady — co niektórzy czynią z godnym współczucia unodobaniem — że w Polsce pensje powinny być takie, aby nie dało się z nich żyć; i dlatego trzeba było dorabiać po godzinach albo też siedzieć na dwóch stołkach. Uważam, że lepiej na jednym etacie pracować naprawdę wydajnie i za godziwe pieniądze, niż za tyle samo na dwóch, czy półtora, ale — po lebkach, gdy w sumie wszystkim nam bardziej się to opłaca. Zresztą pisałem już na ten temat nie raz. Trudno wszakże uwierzyć, aby robotnicy z owej stolarni nie chcieli więcej zarobić tylko dlatego, że tak bardzo trafili im do przekonania moje felietony, wątpię nawet czy je czytali.

Czym więc wytłumaczyć ten postawę? Wrodzonym lenistwem? Złotymi nawykami z lat ubiegłych? A może tym, że wie-

ści pracując, nie miałby już czasu na nicie wódek?

Szczerze, mówiąc, żadna z tych hipotez nie wydaje mi się do końca przekonująca. Proponuję przeto, aby sprawę gruntownie przebadać, powołując do tego celu jakąś specjalną komisję, bo bez komisji — jak uczę doświadczenie — w dzisiejszych czasach ani rusz. Proponuję też, aby komisja ta w pierwszym rzędzie zajęła się problemem, co można w Polsce zrobić z zarobionymi pieniędzmi. Problem pozornie tylko paradoksalny w naszej sytuacji, albowiem wysokie, w porównaniu z innymi krajami, koszty utrzymania, a głównie żywności, i jeszcze wyższe ceny tak zwanych dóbr luksusowych nie skłaniają wcale aż tak bardzo do wzmoczonego wysiłku za trochę tylko większe pieniądze. Wiem to sam po sobie.

Gdybym mógł, więcej pracując, na przykład w ciągu dwóch lat odłożyć z pensji tyle, aby kupić samochód, a nie obniżyć by to zbytnio mojego standardu życia, pewno wykrzesaliby z siebie jeszcze tyle sił, żeby więcej zarobić i spokojnie kupić to auto. Ale przecież mogę się ze...starzeć w najgorstszym sposób, a nawet zejść z wysiłku, a i tak nie zbieram chodby na nowo, pełnego usterek malucha, bo musielibyśmy chyba z żoną prawie nie nie jeść przez te dwa lata. Podobnie — na działce z domkiem letniskowym, wczasy w Grecji bez handlowania (prawdziwe wczasy, a nie marny camping), czy też niechby na głupi magnetowid. Po co mi zatem te pieniądze, co dwadzieścia tysięcy więcej na miesiąc, skoro ani się dzięki nim nie wzbogacę, ani bez nich zbytnio nie zbiednieję? Czy warta skórka za wyprawkę?

Dlatego żyję, jak żyłem, pracuję, jak pracowałem i trudno mnie będzie namówić na dodatkową robotę. Tym trudniej, że nie lubię wódek.

JÓZEF
RETMAN

3

Szukajmy mieszczucha

Termin „drobnomieszczactwo”, który oznaczał pierwotnie tylko drobna burżuazję, sklepikarzy, rzemieślników itp. zrobił w polszczyźnie większą chybą niż w innych językach karierę — już w dwudziestolecu międzywojennym, a może nawet wcześniej, oznaczał nie tylko warstwę społeczną ale także określoną formację obyczajowo-kulturową, był niemalże synonimem takich obrazliwych wręcz słów jak „kołtuństwo”, „dulszczyzna” i innych, zawsze konsekwentnie oznaczonych znakiem „minus”. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych drobnomieszczactwo było i groźne i... śmieszne — drobnomieszczanin to był wróg „na usługach” imperializmu, relikwii klas posiadających. Drobnomieszczanin to był skazany na wymarcie „prywatyz”, „badylarz” i „kramikarz” — mały ale groźny i dokuczliwy krwiopicja, bezczelnie szanujący swoimi pieniędzmi, snobizmem, nowobogackim stylem życia. Krakowski „Przekrój”, bardzo konsekwentnie ośmieszający drobnomieszczanina czy to piórem K. I. Gałczyńskiego czy to kreską Ferstera (kto pamięta Augusta Bęc-Walskiego?) sam się w końcu narażał na epitet „drobnomieszczackiej trybuny”. Mistrzowi Hłedonowski też się dostało, nazwany został „drobnomieszczackim kanarkiem”.

* Ostatni raz na serio drobnomieszczactwem zajął się jeden ze stołecznych tygodników w latach siedemdziesiątych. Rozpoczął dyskusję publicystyczną, która jakoś przedko zdechła. Pamiętam tylko głos jednego z myślicieli reprezentujących orientację nazywaną „paleomarkizmem”. Przypominał ów myśliciel, że formacja społeczno-ekonomiczna pt. drobnomieszczactwo

istnieje i nadal, że tej baza społeczna jest nierzawna inicjatywa, a jej wzorce mentalne i kulturowe ogarniają — niestety! także część inteligencji a nawet — horrible dictu! — klasy robotniczej, zorientowanej konsumpcyjnie.

Jakob współcześnie zniknął nam ten termin z publicystyki, czego osobście żałuję, bowiem uważam, że jest nadal nośny. No, może nie w polityczno-ekonomicznym znaczeniu. Dzisiaj przywierać to, do pierwszej jednostka pozytywna. Jeden z motorów reformy i wzór społecznych cnót, takich jak inicjatywność, innowacyjność i co tam jeszcze na „in”. Ponadto nie jest to kulturalny kołtuń: ma wyższe studia nierzadko doktorat, po pracy chadza do filharmonii i czytuje literaturę iberoamerykańską, nadwyżki forsy przeznaczają na szlachetne, patriotyczne cele a także na restaurację zabytkowych dworców albo zakup dzieł sztuki.

Natomiast drobnomieszczanin jako typ wsteczny, konformisty, przyziemnego groszora zapatrzony na cały dwudziestowieczny blichtr komputerowo-samochodowo-magnetowidowy, nastawionego wyłącznie na „mieć” z całkowitą pogardą dla „być” funkcjonuje w naszej rzeczywistości, ho, ho, jeszcze jak funkcjonuje!

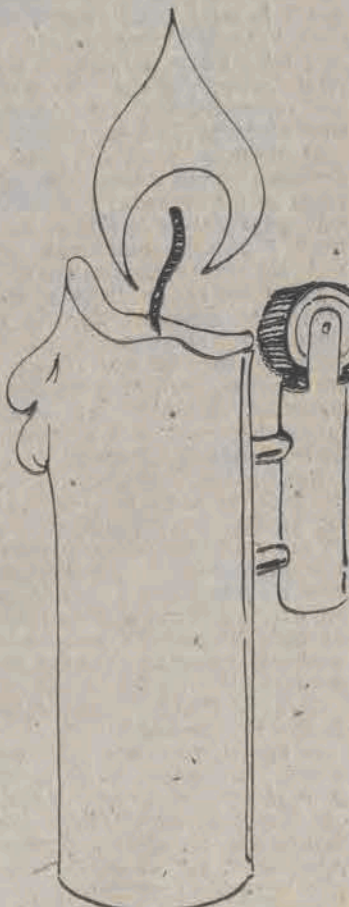
Nie jestem filozofem ani socjologiem, miałbym duże trudności ze sformułowaniem definicji współczesnego polskiego drobnomieszczanina ze zlokalizowaniem jego bazy społecznej, ale spróbuję to zrobić po amatorsku, zastępując publicystę-socjologa

Drobnomieszczactwem, jak wskazuje historia Europy dwudziestego wieku, była — przynajmniej w krajach demokracji burżuazyjnej — warstwa najbardziej podatna na wszelkie polityczne ekstremizmy: od fałszywego do ultralewicowego. Przyczyna tej podatności, jak i historycznego uwielbienia dla wszelkich demagogów i dyktatorów był w tej warstwie społecznej strach.

Strach przed utratą skromnego stanu posiadania, pozycji społecznej, przed dominacją wielkich, mocnych klas społecznych: burżuazji i proletariatu. Ten strach uzewnętrzniał się raz jako konformizm, innym razem jako histeryczny wrzask, agresja, tene skandowanie ekstremistycznych hasel i pełne podporządkowanie się kabotynskiemu wodzom lub tylko kandydatom na wodzów.

Po tym historycznym wstępie wracam do naszej współczesności i pytam nieśmiało: kto w PRL w końcu lat osiemdziesiątych odczuwał strach przed tym, co się wokół nas dzieje? Kto boi się utraty pozycji i stanu posiadania kto reaguje na wszelkie „nowinki” polityczne, ekonomiczne, społeczne i obyczajowo-kulturowe histerycznym wołaniem o zachowanie pryncypiów? o interes klasy robotniczej, o wierność wobec klasyków i dystans wobec zmiłego kapitalizmu? No kto?

JAN JANECEK



Rys. Sławomir Łuczyński

ODGŁOSY 15

Zbladł Oli Powala, gdyż miał dopiero czterdzieści lat. Wyjął jednak miecz z pochwy i na oczach wszystkich trzema uderzeniami miecza odrąbał głowę Dunina Brodatego. Wówczas to Dago Piastun w kałuży krwi Dunina umazał swoją rękawicę i krwią naznaczył twarz Herima i Ludki i całej swojej czeladzi. Powiedział:

— Teraz wszyscy jesteście pomazani krwią Duninów i nikt tu nie będzie się nikogo brzydził. Zagrajcie — ponownie rozkazał muzykantom.

Zagrali a Ludka zatańczyła okręcając się w koło, przeginając wiotkie tułowy. Tymczasem morderca walczył wytoczył się z dworu i rozpętała się rzeź na podwórku warowni. Zaskoczeni napastnicy wojownicy w bieżących kaftanach porzucali na ziemi swoje miecze, kilku z nich usiłowało bronić się w stajniach. Zamknięto jednak wierzaje warowni, nikt nie mógł uciec i kto nie porzucił miecza, padł martwy.

Ludka wyginała się w tańcu, drobne kroki w takt uderzeń bębniów, jej drobne stopy w skórzanych sandałach rozmywały krwawą pianę na podłożu. Dago patrzył na nią ciężkim wzrokiem, Herim pożałował obliźniętą językiem wargi. Obydwaj wyobrażali sobie to samo: nagie smukłe uda poruszające się pod ciemnozieloną suknią haftowaną srebrną nicią, dziewczęce małe piersi w białym jedwabnym kaftanie, na którym dzwoniły trzy złote łańcuchy. Kiedy, w tańcu jej ręce unosiły się do góry i poruszały jak dwie żywe istoty, wówczas szerokie rękawy kaftana zesuwały się w dół i widzieli jej białe ramiona.

— Przyprowadź ją do mojej komnaty — powiedział Dago do Herima.

Znał mowę oczu, dlatego wpół swój wzrok w oczy Herima. Ujrzał w nich nienawiść i lek. Leku było jednak więcej i dlatego Dago nie wyciągnął z pochwy swojego Tyrfinga.

Ruszył przez sien, oświetloną ruchliwym płomieniem pochodni. Wszędzie wałowały się zwłoki ludzkie, kobiet i mężczyzn; z każdego kąta dochodziło rzękanie konających.

Wszedł do swej komnaty ciągle strzeżonej przez dwóch ludzi Spicimira. Porzucił na podłogę skrawiony płaszcz, zdjął pancerz, pancerz i rękawice z wiszącym na nim mieczem. Rozpiął kaftan z koronkowym zakończeniem rękawów, gdyż wydawało mu się, że i na nim dostrzeże ślady krwi. Po patrzył na swój nagi tors — był czysty i biały.

Otworzył się drzwi i weszła Ludka, potem drugi znowu się zawarli. Jej policzki zdawały się płonąć, usta były czerwone jak gdyby napiła się krwi rozlanej w sien, przez którą musiała przechodzić i widziała morderców. Nozdrza miała rozchylone, w oczach Ludki ujrzał pożądanie.

Powolnymi ruchami zrzuciła czepek małżonki i rozpuściła swoje ciemnoniebieskie włosy jak pannę. Wsunęła się między kolana Piastuna i delikatnie zaczęła głaszcze jego białą głowę. Wtedy on podciągnął jej suknię aż po pępek i w chłodnej komnacie ogarnął go omdlewający i budzący żądze ciepły zapach kobiety. Później odwrócił ją i pochyliwszy ku dołowi jej plecy, wszedł w nią od tyłu jak ogień wchodził w klacz. Ona pierwsza doznała rozkoszy i aż wygięła plecy w pałąk, dygocząc całym ciałem. On zaś długo w nią wchodził i wychodził, gdyż dawno nie miał kobiety i żądała pozostawała w nim jak gdyby przycimiona.

Przed świtem po drewnianym pomoście przeszedł prosto z dworu na wale obronne, gdzie zaczął go chłostać zimny i kąśliwy wiatr przedwiosenny. Bezczelnie pojawił się obok niego Spicimir, a po chwili także Jaszczółt i Herim.

Dago polubił Jaszczółta, a teraz czuł, że kocha go jak brata, którego nigdy nie miał. Ale to nie znane mu dotąd uczucie miłowania kogoś — budziło w nim nieufność. Zgodnie z nauką, którą pobierał u Rhomajów, należało niewustannie sprawdzać wierność człowieka, którego się polubiło.

Podniósł ręce i pokazał Jaszczółtowi puste dlonie.

— Znowu nie mam nic dla ciebie, Jaszczółcie, choć to ty pomogłeś mi opanować Poznanię. Zdecydowałem jednak, że będzie nią zarządzał Krzesomysł, gdyż zabijał moich wrogów szybciej i sprawniej od innych.

Jaszczółt wzruszył ramionami.

— Nie chciałem Poznani. Lubie walczyć, a nie zarządzać gospodarstwem. Nudziłem się w Gnieźnie i tylko, gdy jes-

tem przy tobie, panie, czuję, że naprawdę żyję.

— Będiesz zawsze przy mnie — powiedział Piastun i prawym ramieniem objął Jaszczółta, ściskając go mocno.

Wtrącił się między nich Spicimir:

— Co zrobić z trupami, panie. Trzeba je chyba uprzętać. A może wolisz pokazać ludowi, aby czuł strach przed tobą?

— Co radzisz, Herimie? z drwiną w głosie zwrócił się Dago do swojego kanclerza.

Wczoraj kazał Spicimirovi, aby go zabił za to, że był bliżej Zytiki niż on sam. I za to, że porwał Ludkę, nie bacząc, że może wzbudzić gniew Duninów i narazić Piastuna na niebezpieczeństwo. Ale tamten włożył głowę pod jego płaszcz i Dago wspominał chwilę, kiedy obydwa wędrowali przez puszcze w drodze do uśpionych obrzymów. On, Herim, pierwszy uwierzył w potęgę Dagona. Nie tak łatwo rozstać się z takim człowiekiem tylko dla jego słabości do kobiet.

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex

Herim czuł strach. Wiedział, że Dago kazał go zabić, ale potem odwołał swój rozkaz. Wiedział też, że zdradził Dagona przez swoją miłość do Zytiki.

— Co zrobić z trupami — powtórzył pytanie Spicimir.

To nie było zwykłe pytanie, ale sprawdzian wierności i poczucia winy. Tylko jego biały płaszcz nie był splamiony krwią. Czy nie oczekiwali od niego czegoś, co przetrze ich swym okrucieństwem?

Należą trupy pomordowanych rzucić między kry na rzecze. Wszystkich. Mężczyzn, kobiet i dzieci. Niech je zmiatają zwały lodowe i poniosą tam, gdzie jeszcze nie sięga twoja władza, Piastunie. Władca musi budzić lek.

Tak rzekł Herim i Dago skłonił głowę.

— Masz rację. Obudź żołnierzy i zróbcie to do świtu. Po tem wezwij kobiety z podgrodzia i niechaj umyją podłogi i schody we dworze. Zaczyna mnie mdlić od zapachu krwi. A wieczorem przygotuj ucztę Herimie, ponieważ odnieś się z Ludką, która czeka na ciebie w mojej komnacie. Porwałś tę kobietę, więc chyba bardzo jej pragniesz.

Skłonił się Herim i po drewnianym pomoście wrócił do dworu, aby budzić żołnierzy i zrzucić trupy do rzeki.

Wiadomość o śmierci Duninów obydwa podgrodzia przyleciała z zadziwiającą radością. Ulice i targowiska miejskie rozbrzmiewały przenikliwym głosem płaczących i głuchymi uderzeniami bębniów. Bogaci kupcy wytoczyli z piwnic beczki z piwem i częstowali nim każdego, kto tylko miał ochotę pić. Spiewano głośno i tańczono na ulicach, uczciwano po domach.

Trzy dni i trzy noce trwało wesele Herima i wdowy po Duninie Grubym. Przybyli na nie do warowni i jego dworzyszka najwięksi kupcy i rzemieślnicy, a nawet wielu z tych, co wczoraj jeszcze dowodzili oddziałami wojsk Duninów. Do nich to i do swoich Lestków rzekł Piastun:

— Oto do czego prowadzi chęć wywyższenia się nad innych i przyjmowania tytułów Komesów i Książąt. Zawsze kobiety się ona łamaniem starodawnych obyczajów. Czyż nie jest bowiem naszym obyczajem, że gość przybyły w dom wasz staje się nietykalnym? Czy nie karmi się go, gdy jest głodny, nie pol się go, gdy jest spragniony, nie oddaje mu się własnej żony lub córki, gdy potęda? Cóż ja, gość Duninów, ich ojciec i ich matka, otrzymałem od swoich gospodarzy? Zdradę i spiski. Dwa razy mojemu życiu zagroziło niebezpieczeństwo i tylko przenikliwość mojego kanclerza, Herima, zawdzięczam, że żyję. To on, uniesiony gniewem rozkazał zabić Duninów i ich potomków. Przysięgam wam, że nigdy nie stanę się komesem ani księciem, ale pozostanę dla was dobrym Piastunem.

I cieszyli się ludzie, że oto ich nowy pan nie będzie się wywyższał. Podziwiali też Herima, który uratował życie Piastunowi i słusznie pojął za

śloną kobietą po Grubym Duninie, ponieważ była młoda i piękna, a takiej szkoda zabijać.

Pod koniec trzeciego dnia wesela, wezwał Dago do siebie Herima i tak mu powiedział: — Wezmiesz dwudziestą Lestków i ruszysz natychmiast do Gniazda. Zytika wkrótce urodzi mi dziecko, chce od ciebie otrzymać wiadomość, czy będę miał następcę.

— To moje wesele, panie. Nie pozwolisz mi z Ludką spędzić choćby jednej nocy? — zdumiał się Herim.

— Co jest ważniejsze, Herimie. Twoja noc z kobietą, czy sprawy państwa?

— Mogę wyjechać jutro. Pozwól mi jednak, panie, choć jedną noc spędzić z moją żoną.

— Porwałś ją, Herimie, nie bacząc, że na mnie spadnie niesława i gniew Duninów. Potem za twoją głowę zapłacił ci twoja żona. Na twoim miejscu już w tej chwili szłybyś się do drogi, ponieważ nie mogę zapomnieć, że to ty pomogłeś Zytice dowie-

dożyć się naga na łożu pokrytym szczytami skórami młodych owiec. Ręce położyła pod głowę, rozchyliła nogi, odrobnie zglinając je w kolanach. Nawet w słabym świetle jednego kaganka musiał Dago widzieć jej białe ciało z pełnymi okrągłymi piersiami, ładnie zarysowanymi brzuch, pełne uda i między czarną kępką włosów różowe wejście do łona. Na łożu nie wydawała się mała, jej rozwinięte ciało kobiety, jasne włosy rozpuszczone na futrze i zębów błyszczące w ustach rozchylonych pożądanem, kazały zapomnieć o przeszłości. To, co było kiedyś stało się znowu tylko snem, a rzeczywistość pozostała nagle kobiece ciało, które od czasu do czasu aż dygotało z pożądania.

Opadł na ziemię jego płaszcz. Gwałtownym ruchem zdjął z siebie bluzę z koronkami i ściągając kalesony. Podszedł nagle do łoża i klęknął między jej rozchylonymi udami, a wtedy ona chwyciła go rękami za kark i przywarła ustami do

jego ust. Wszedł w jej rozpalone wnętrze i zdumiał się, że jest tak samo głęboko jak duże kobiety. Zapiszczała radośnie od pierwszego pchnięcia, jej paznokcie zaczęły mu drgać plecy. Czując jak Miłka kurczy się w środku i otwiera, jak drga ją mięśnie jej brzucha, jak stara się podnieść coraz wyżej nogi, aby wszedł w nią jeszcze głębiej. Stękać zaczęły ruchami bioder poddawała mu siebie i kaleczyła zębami jego wargi. Aż zapadł się w uczucie rozkoszy i hamował swoje pożądanie, aby ich złączenie trwało jak najdłużej. Aż w końcu stała się bezwładna i legła z odrzuconymi na boki rękami, on zaś wreszcie uderzył w nią swoim nasieniem.

Leżał na niej krótko, gdyż jak zwykle po chwili szczęścia z kobietą, stawał się czujny i ostrożny. Wstał z łoża i narzucił na siebie płaszcz, kazał, aby wyszła z komnaty. Ona go jednak nie słyszała; wydawało się, że na krótko straciła przytomność. Gdy się ocknęła zobaczyła go stojącego w pobliżu okna i patrzącego na nią wrogo.

— Spełnię przyrzeczenie — ażepełnia.

Ubiórła się bezzadnie, ponieważ brakowało jej sił. Na wiotkich nogach podszedła do drzwi, otworzyła je bez słowa i nie oglądając się za siebie, zniknęła w sien. On zaś sięgnął po dzbanek z miodem i wysiorbał go do dna. Wargi go piekły, jak przypalone węglem, czuł, że powoli opada z sił. Dowiódł się do łoża i padł na nie tylko okryty płaszczem. Spał mocno, bez snów.

Rankiem Spicimir powiadomił go, że Miłka otrzymała mieśzek ze złotymi solidami, dobre go konia i czterech czarnopłaszcznych wojowników, którzy ją mieli doprowadzić bezpiecznie do granicy państwa Skrzydlatych.

Nie chciał się przed sobą przyznać, że wspomnienie miłowanej nocy znowu obudziło w nim pożądanie. Niepotrzebnie chyba z takim pośpiechem Spicimir wysłał Miłkę do Helgundy. Pomyślał, że może ojciec jego obrzym. Boza nie bez przyczyny polował na karłowate kobiety, gdyż one dawały większą rozkosz niż kobiety duże i rosłe.

W południe zapomniał o Miłce. Przybył goniec z Gniazda z wiadomością, że jego żona Zytika powiła dziecko płci męskiej.

— A co z nią? — zapytał z niepokojem.

— Zdrowa, panie. Urodziła dziecko tak łatwo jak kocica legnie kocięta.

Zaczął usta i jego twarz wykrzywił jakiś dziwny grymas, ni to wstrętu, gniewu czy pogardy. Rozkazał natychmiast aszykować się do drogi i jeszcze przed wieczorem wyruszył do Gniazda na czele ogromnej karawany wozów wypełnionych skarbami Duninów i

mieszkańców Poznani, na czele dwustu Lestków i pięćdziesięciu czarnopłaszcznych żołnierzy Spicimira.

Dziki Kobiety rodziły szybko i bez trudu. Zytika oczekiwała męża w swojej komnacie ubrana znowu w męski strój saurumackiej wojowniczk.

Dago wkroczył do komnaty nagle, bez żadnej zapowiedzi ze strony służby. Czerwone buty i biały płaszcz miał zabłocone, gdyż rozpoczęły się już wiosenne roztopy i w drodze do Gniazda kopyta koni brzygały błotem. Twarz miał poszarzałą od zmęczenia podróżą, a może z gniewu. Tylko na głowie niezwykłe jasno błyszczał złoty kamień Świętej Andali.

Tuż za Dagonem wszedł do izby Herim i Spicimir, jak gdyby chciał mieć świadków swego spotkania z żoną i synem.

Stanął przed nią na szeroko

(12)

— Zle, panie, obszedłeś się ze swoim koniem — powiedział karcząco ów mężczyzna. — To piękny i drogi ogier. Nigdy nie widziałem piękniejszego. Ale ty, panie, też potrzebujesz odpoczynku...

Dago zachwiał się na nogach. Był zmęczony podróżą z Poznani, a potem reszcie sił odebrała mu szaleńcza gonitwa przez pola i lasy. Byłby upadł na ziemię, gdyby go kolodziej nie chwycił wpół i niemal zaniósł do ciepłej izby, gdzie płonęły trzy staćtytowane kaganki i ogromna kobieta, ubrana tylko w lnianą koszulę podsycała ogień w palenisku pod piecem.

— Czy spotkała cię, panie, jakaś żół przęgada? — zapytał go kolodziej.

Podniósł głowę, odjął usta od dzbanu i popatrzył im w oczy. Nie wyczuł w nich zdrady, ani chciwości na jego mienie.

— Urodził mi się karzeł — wyznał, a potem głowa bezwładnie opadła mu na stół.

Siedzieli obok niego bardzo długo, podsycając ogień na palenisku. On zaś wkrótce się ocknął, rozglądając się wokół wzrokiem tak pełnym życia, jak gdyby spał całą dobę.

— Kim jesteście? Jak się nazywacie? — zapytał władco.

Mężczyzna wyglądał na trzydziści lat, kobieta — rosła i z ogromnymi piersiami, które poruszały się pod luźną koszulą — miała chyba znacznie mniej lat. Swoją urodą, jasnymi włosami i rosną figurą, przypominała Zely. Ale była od niej przynajmniej o dziesięć lat młodsza.

— Jestem, panie, kolodziejem, który mieszka przy głównej drodze do Gniazda. Nazywają mnie Piast, ponieważ piasy do wozu dobrze naprawiam i robię najlepsze w całej okolicy. A to moja żona. Trzecia już, bo dwie mi zmarły. Ma dwadzieścia pięć lat i nazywa ją Zepicha, gdyż jej ciało jest jedne i twarde jak rzepa. Dzieci nie mamy i ludzie się śmieją ze mnie z tego powodu, dlatego osiedliłem się na uboczu. A ty kim jesteś, panie?

Dago uważnie popatrzył na kobietę kolodzieja, na piękną cerę jej policzków, mocno zarysowane łuki czarnych brwi, jasne bujne włosy, szerokie ramiona i duże piersi tak wyraźne nawet pod luźną lnianą koszulą.

Odpiął od pasa mieśzek pełen złotych solidów i położył go na stole.

— Dasz mi na noc tę kobietę, kolodzieju? — zapytał. — Może mnie się poszczęści i urodzi ci się syn albo córka. Jeśli zaś urodziłby ci się syn, to gdy będziesz czynił podstrzyżyny, przyjeżdż do Gniazda i każ się przyprowadzić przed oblicze Piastuna. To on, władca tego kraju, przybedzie tutaj, aby twojemu synowi nadać prawdziwe imię i podciąć mu włosy. Weź ten mieśzek ze złotem i daj mi na noc tę kobietę.

C.D.N